KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 6/164** **1961**



• «La Culture» • Revue mensuelle •

LITERATURA EMIGRACYJNA W WIEŻY BABEL JĘZYKÓW

T. NOWAKOWSKI : **WENUS Z MILANÓWKA**

Zb. JORDAN : **W LABIRYNCIE IDEOLOGII**

A. KAWAŁKOWSKI : **ALGIER**

SPIS RZECZY



WIERSZE

ARCHIWUM POLITYCZNE

SPRAWY AFRO-AZJATYCKIE

KRAJ

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KSIĄŻKI



KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec – Juin 1961

INSTYTUT  LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Bohdan Mieczkowski, New York, (USA) .... 75 NF
Andrzej Korboński, New York (USA) .... 75 NF

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.

Literatura emigracyjna w wieży babel języków

Przebywający na emigracji pisarze znajdują się już od 20 lat z dala od kraju; używają na co dzień jednego lub kilku języków obcych; wielu ma rzadko tylko możność mówienia po polsku. Sytuacja ta wywołuje różne pytania. Jak długo trwać może literatura pozbawiona kontaktu z żywą mową? Czy językowi jej nie grozi skleroza? Czy obecna żywotność jej nie jest zjawiskiem przemijającym, związanym z obecnością autorów, którzy zaczęli pisać już przed wojną? Czy istnieją dane do przypuszczenia, że do weteranów mogliby dołączyć się młodzi, nie mający za sobą dłuższego pobytu w kraju? Na pytania te dawano już różne odpowiedzi. Najwięcej światła rzuciła na nie dyskusja podjęta przez młodych pisarzy zgrupowanych w londyńskich „Kontynentach" (1).

Autorzy zmuszeni do posługiwania się na co dzień językami obcymi próbowali także w nich pisać. Zjawisko dwujęzyczności czy wielojęzyczności — zaprzeczające mniemaniu, że język jest fatalnością narzuconą pisarzowi przez urodzenie — wywołuje nowe pytania. Jak powstaje u pisarza potrzeba szukania wyrazu w nowym języku? Dlaczego wraca do pierwszego języka? Jakie względy uboczne — potrzeba audytorium, wpływ środowiska, wyższe honoraria — sprzyjają tym wahaniom językowym?

Jak długo istnieją emigracje posiadające własną literaturę, pytania te zachowują swą aktualność. Czas i doświadczenie będą przynosiły coraz nowe odpowiedzi. Zdając sobie sprawę z tymczasowości wszystkiego, co można by na ten temat powiedzieć, zwróciłem się do kilku kolegów mających w tych sprawach znaczne doświadczenie z propozycją wspólnego spisania wielogłosu o zagadnieniach językowych naszej literatury emigracyjnej. Głosy ich, odpowiadające na jedną lub drugą grupę pytań, składają się na niniejszy sympozjon poliglotów.

P. H.

---

(1) „Kontynenty" ze stycznia 1960.

Paweł HOSTOWIEC:

MOWA ŻYWA I JĘZYK LITERACKI

Jeżeli chodzi o meritum omawianego w ,,Kontynentach'' zagadnienia, powiem od razu, że nie wierzę wcale, aby literatura mogła wygasnąć na emigracji na skutek oderwania od polskiego środowiska i języka mówionego w kraju. Wydaje mi się możliwe i nawet prawdopodobne, że młodzież emigracyjna aklimatyzowana na Zachodzie włączy się do ogólnego nurtu, dojdzie do posiadania własnych domów i samochodów, na które trzeba zarobić, i nie znajdzie więcej czasu na pisanie i czytanie. To samo jednak może się zdarzyć młodzieży wszystkich innych krajów, nie wyłączając nawet — przy spełnieniu się pewnych warunków ogólnych — Polski.

Okoliczność, że pisanie po polsku nie prowadzi na emigracji do pieniędzy, wydaje mi się nieistotna. Literatura nie zależała nigdy od wysokości honorariów. Grandom literatury — Dantemu czy Petrarce — wypłacano je w honorach raczej niż w gotówce. Za ,,Raj utracony'' Milton otrzymał dwa funty, a jedna z postaci Samuela Butlera w ,,The Way of All Flesh'' powiada, że i to było o wiele za dużo.

Równie nieistotne wydaje mi się, że pisarz emigracyjny zwraca się do niewielkiej garstki czytelników. Do ilu zwracali się i zwracają tacy pisarze jak Ducasse-Lautréamont i Aloysius Bertrand? Lord Bolingbroke pisze, że swą ,,Historię Europy od pokoju pirenejskiego do pokoju w Utrechcie'', książkę posiadającą rangę Tukididesa i Machiavellego, napisał tylko dla jednego czytelnika.

Kontakt z językiem mówionym na rynku i znajomość dialektów są rzeczą pouczającą dla każdego, kto zastanawia się nad wartością słów. Nie jest to jednak najkrótsza droga do języka pisanego, a tym mniej literackiego. Język literacki powstaje przede wszystkim z samej literatury, z dyscyplin artystycznych przemyślanych od czasów Homera. W ogólnym nurcie literatury granice językowe są płynne. Myśl, że literatura jest emanacją ojczystego ,,praiłu'' i znajdującej się na początku wszystkich rzeczy ,,chuci'', jest ideą pisarzy Młodej Polski, których stylu nie radziłbym nikomu naśladować.

Nie przesadzajmy znaczenia języka mówionego dla literatury. Mowa żywa składa się z dźwięków, mowa pisana ze znaków na papierze czy kamieniu. Są to rzeczy sobie bliskie, lecz nie identyczne. Każda z nich ma własne prawa. Uroki słowa mówionego są zwiewne; nikt nie potrafi opisać ich na papierze. Kto dziś wie, że w końcu XIX w., po powstaniu styczniowym, inteligencja polska, a zwłaszcza kobiety miały pewną szczególną wymowę, po której poznawały się bez błędu, a która znikła bez

śladu po 1914? Z różnych dokumentów wiemy, że na dworze francuskim w XVII w. kobiety miały szczególnie urzekającą, melodyjną wymowę, której tajemnica znikła w następnym stuleciu. Mowa pisana ma inne terminy. Znaki na papierze i kamieniu nie przestają do nas mówić nawet wówczas, gdy nie wiemy więcej, jak je należy wymawiać. Kto bowiem wie, jak należy wymawiać „Psałterz floriański"? Czytając „Pana Beniowskiego" spostrzegamy, że nawet znacznie nam bliższy w czasie Słowacki wymawiał zapewne swe wiersze nieco inaczej niż my. Język pisany posiada zbyt wielką autonomię, aby oderwanie od kraju mogło przeszkodzić emigrantom w pisaniu.

Jeszcze większą samodzielność posiada język literacki. Językiem mówionym posługujemy się dla wyrażenia naszych sądów, życzeń, przeżyć, wrażeń i wzruszeń. Znaczny dystans dzieli od tych rzeczy dzieło sztuki, bo źródłem naszych wrażeń artystycznych są nie przeżycia artysty, ale pokryte przezeń farbami płótno lub ustawione na papierze wyrazy. Słyszałem raz, jak Otto Nebel, senior niemieckiego malarstwa abstrakcyjnego, mówił do młodego poety: „Das wichtigste ist, sich von seinem Erlebnis zu lösen". Pisarz musi dbać o zachowanie dystansu w stosunku do opisywanych przedmiotów i uczuć. Wiadomo, jak opornym artystycznie tworzywem są modne obecnie *obscena*. Mistrz tego rodzaju, Pietro Aretino, napisał, oprócz sprośnych dialogów i sonetów, 34 książki pobożne. Aż tyle mu było potrzeba, aby móc traktować śliskie tematy z należytego oddalenia.

Potrzeba zachowania dystansu w stosunku do obserwacji i wrażeń będących tworzywem artysty sprawia, że jego język jest mniej lub więcej oddalony od mówionego. Wszystkim znane są sławne książki pisane w języku, jakim nikt nigdy nie mówił, jak „Gargantua et Pantagruel" lub „Ulysses". Można by do nich zaliczyć również „Na wysokiej połoninie".

ODDALENIE I POWRÓT DO JĘZYKA POLSKIEGO

Ze wszystkich znanych mi języków najbardziej pociągał mnie francuski. Formułowanie myśli w tym języku zgodnie z jego tradycjami i gramatyką było dla mnie ulubioną rozrywką umysłową. Nie myślałem jednak o pisaniu po francusku.

Okazji do tego miały mi dostarczyć lata spędzone podczas ostatniej wojny w Szwajcarii. Znajdowałem się na niewielkim skrawku Alp, otoczonym ze wszystkich stron przez siły zbrojne niemieckie. Trwożne wieści obiegały kraj. Co pewien czas na szosie pojawiały się przykryte materacami samochody, w których mieszkańcy pogranicza uciekali w głąb gór. Niektórzy przygotowywali się do okupacji. Naprzeciwko mieszkał architekt opracowujący na ten wypadek plan budowy obozów koncentracyjnych. Sytuacja zdawała się chwilami wisieć na włosku; żadnego wyjścia z tej pułapki nie było.

W tych okolicznościach powziąłem zamiar pisania pamiętników. Wyobrażałem je sobie jako opis świata który znałem i który wydawał się bezpowrotnie miniony. Miał to być rodzaj aktu wdzięczności dla krajów, cywilizacji, środowisk i ludzi, z którymi kontakt złożył się na to, czym byłem w mojej pamięci oraz notatnik wrażeń, wyniesionych z lektur, teatrów, sal koncertowych, parlamentów, spotkań i rozmów.

Dla wspomnień tych nie widziałem na razie żadnych czytelników. Polska przedstawiała mi się wówczas jak Atlantyda pochłonięta przez flukty. Byłem od niej daleko. Rękopis musiałem powierzyć losowi, jak list wrzucony w butelce do morza. Mało było szans na to, aby wśród klęsk i przewrotów obcy mogli długo przechowywać rękopis w niezrozumiałym języku. Czytelność i jasność rękopisu była główną szansą jego ocalenia. Gdybym miał więcej wprawy w pisaniu po łacinie, zredagowałbym go w języku Juliusza Cezara. Najstosowniejszy jednak wydawał mi się język francuski, który po upadku Europy mógł zająć miejsce, jaki grecki miał w imperium rzymskim i łacina w wiekach średnich. Niewielką tylko część tych planów udało mi się wykonać. Wydrukowana w 1954 *La Terre Bernoise* była jednym z rozdziałów zamierzonego pamiętnika. Rozdział ten służyć miał zabezpieczeniu całości rękopisu na wypadek gdyby po moim zniknięciu miał zostać w ręku szwajcarskich przyjaciół. Wspomnienia moje zrosły się tak z językiem, którym zamierzałem je spisać, że gdybym wrócił do pierwotnego projektu pamiętników, mógłbym je napisać chyba tylko po francusku.

W ostatnich latach — jakkolwiek francuski pozostał językiem mego najbliższego otoczenia — nie przestałem się odeń oddalać. Piszę w nim tylko okazyjnie. Czytam więcej po włosku i niemiecku niż po francusku. Piszę prawie wyłącznie po polsku.

Wiele przyczyn się na to złożyło. Zacznę od niezależnych ode mnie, oddalających mnie od francuskiego niemal mechanicznie. Francuski mianowicie utracił swą dawną uniwersalność. Nie mówiąc o krajach dalszych, w Niemczech i Włoszech — nawet w środowiskach, gdzie dawniej znajomość francuskiego należała do ogólnego wykształcenia — coraz mniej osób mówi dziś i czyta po francusku. Literatura francuska znana jest niemal wyłącznie z tłumaczeń. Odwiedzając w różnych krajach świetnie zaopatrzone w nowości *Centres culturels français* byłem tam zawsze sam, nie widziałem innych czytelników.

Dla piszących po francusku zmiany te pociągnęły za sobą doniosłe skutki praktyczne. Upadek ostatniego języka uniwersalnego Europy sprawił, że wiele tematów literackich znikło z naszego pola widzenia. W jakim bowiem języku można by dziś pisać np. o Owidiuszu, którego 2000-lecie obchodzono przed kilku laty w niewielkim kole filologów? Dopóki język francuski znany był całej niemal publiczności literackiej Europy, książki tego rodzaju, pisane po francusku, same torowały sobie drogę do czytelników. Widywałem je nawet w bibliotekach prywatnych na Ukranie. Obecnie książki tego typu — francuskie, niemieckie

czy włoskie — nie wychodzą poza granice kraju, w którego języku zostały wydrukowane. Czytelnicy zostali rozbici na małe grupy językowe, nie mogące pokryć kosztów druku książek nie przeznaczonych do najszerszego zbytu.

Francuski wydawca, który wydał mi już jedną książkę, odradzał mi przed kilku laty dalsze pisanie po francusku. Kto ma możność pisania po polsku — mówił — zwraca się do najwdzięczniejszej dziś publiczności, chłonnej, uważnej, nie znudzonej jeszcze czytaniem.

Pisarz dwujęzyczny, zwracający się do dwóch grup czytelników, musi rozgraniczyć swą produkcję według przeznaczenia, oddzielić to co pisze dla jednych od tego co pisze dla drugich, licząc się nie tylko z zainteresowaniami domniemanych czytelników, lecz także z właściwościami języków w których pisze. Karol V mówić miał po hiszpańsku z Bogiem, po francusku z przyjaciółmi, po włosku z płcią piękną i po niemiecku z wrogami. Przodkowie nasi mówili po francusku z rosyjskim gubernatorem — dla zaznaczenia, że nie chcą używać języka okupanta — i między sobą, gdy nie chcieli być zrozumiani przez pospólstwo. Francuski był językiem salonów, można było powiedzieć w nim wiele rzeczy, które po polsku obrażałyby uszy; polski służył do porozumiewania się z praczką i gorzelanym. Wszystko to należy dziś do przeszłości. Mówiące po francusku „wyższe sfery towarzyskie" znikły nie przekazując swych obyczajów nowym elitom. Na miejsce dawnych różnic społecznych między obu językami wystąpiły różnice nowe, które spróbuję opisać.

Pojawienie się nowych rang społecznych języków spostrzegłem po raz pierwszy w 1937, wioząc z Paryża do Berlina pakiet niemieckich książek i czasopism emigracyjnych, których posiadanie groziło w Trzeciej Rzeszy zamknięciem w obozie koncentracyjnym, być może nawet śmiercią. Podróżni coraz niechętniej przewozili taką literaturę. „Czy książka ta — pytali — warta jest takiego ryzyka?". Książek mogących sprostać takim wymaganiom — jeżeli w ogóle są — musi być bardzo niewiele. Już na pierwszy rzut oka widać, że Zachód obecnie ich w ogóle nie produkuje. Książki pisane w językach świata zachodniego leżą w innym planie. Ubiegają się o nagrody Nobla, o prix Goncourt itd., ale wszystkie te słusznie cenione wyróżnienia znajdują się w innej klasie kryteriów niż wyróżnienie książki przez to, że ryzykowano dla niej wolność lub życie. Książki Zachodu przywykły do wchodzenia drzwiami frontowymi i utraciły zdolność przenikania przez kontrabandę. Ich obecny sceptycyzm i pesymizm — nie wiadomo zresztą czy umotywowany — nie jest artykułem dla przemytników.

Związana z „wielką sprawą", literatura polska ma odmienne tradycje. „Przemyca w Litwę Żyd tomiki moich dzieł", pisał Mickiewicz. Przez półtora wieku cenzura tropiła książkę polską jako materiał wybuchowy, zagrażający potęgom i tronom. Z pojęć cenzorów i żandarmów coś przylgnęło wreszcie do polskiego słowa drukowanego. Możemy ubolewać nad tym, że

słowo polskie, oceniane według użyteczności dla ,,sprawy'', nie przestało korzystać z pozaliterackich przywilejów, pozostaje jednak faktem, że okoliczności tej zawdzięcza zdolność przenikania przez granice, jakiej nie posiadają inne języki.

To szczególne stanowisko języka polskiego nie jest złudzeniem. Nigdy jeszcze, nawet za Stefana Batorego, książka polska nie promieniowała równie daleko na wschód, jak w ciągu ostatnich pięciu lat. Nigdy przedtem nie słyszałem, aby na wschód od Bugu uczono się polskiego w celu czytania książek i czasopism w tym języku.

Inne różnice między polskim a językami Zachodu dostrzec można przeglądając czasopisma wydawane dla celów reklamy. Każdy rodzaj towaru posiada właściwą sobie reklamę. Fabryki zegarków, perfum i samochodów utrzymują w tym celu czasopisma artystyczne zawierające najpiękniejsze fotografie barwne sławnych dzieł sztuki; każdy numer poświęcony jest jakiemuś rozdziałowi historii: Pompejańczykom, Wenecjanom czy impresjonistom. Fotografiom towarzyszą krótkie teksty podpisane nazwiskami znanych historyków sztuki, dyrektorów muzeów i krytyków. Teksty te są bardzo źle płatne; honoraria autorskie obracają się koło 50-100 nowych franków, gdy grafik który opracował wpadające w oko ogłoszenie, fotograf i drukarz pretendują do wielokrotnie wyższego wynagrodzenia.

Fabryki mydła i środków do prania publikują czasopisma reklamowe o znacznie skromniejszym wyglądzie, rozsyłane za darmo w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Znajdujemy tam również artykuły ilustrowane na różne tematy, podpisane przez profesorów, delegatów do Unesco, znanych literatów itd., słowem osobistości posiadające jakąś sytuację towarzyską i jakiś udział w życiu umysłowym swego kraju. Honoraria ich wynoszą 20-30 franków za artykuł.

W przedsiębiorstwach reklamowych autorzy tekstów spełniają skromną rolę osła, za wiązkę siana noszącego na grzbiecie transparenty. Honoraria ich są niewielkim lecz mile widzianym dodatkiem do pensji profesorów, bibliotekarzy, urzędników itd.

Polska była krajem ubogim i fabryki mydła nie mogły tam sobie pozwolić na kosztowną reklamę i na zatrudnianie znanych osobistości przy pisaniu ,,michałków''. Czasopisma nie płaciły honorariów wyższych, lecz dawały współpracownikom złudzenie służenia jakiejś ,,sprawie'', nie tylko samej reklamie mydła. Czernienie papieru było zajęciem posiadającym w Polsce rangę społeczną nieco wyższą niż na Zachodzie. Nawet Polacy, którzy rozstali się z krajem i piszą w językach obcych, ulegają wrażeniu, że nie są tylko igraszką podaży i popytu, i że stoją za nimi jakieś siły moralne lub przynajmniej imponderabilia stanowiące o randze towarzyskiej zawodów i ambicji.

W chwilach zniechęcenia myślę, że moje próby pisania po francusku były stratą czasu, wędrówką po manowcu, wyprawą do nikąd. Mogę się jednak mylić. Samo ustawianie na papierze francuskich słów dostarczyło mi wiele przyjemno-

ści, z którą trudno by mi było się rozstać. Jakkolwiek więc nic w tej chwili po francusku nie piszę, nie zarzekam się tego na przyszłość. Z moim drugim językiem nie rozstałem się zresztą całkowicie. Jako rzemiosło, pisanie po francusku dało mi pewne doświadczenie, z którego korzystam także pisząc po polsku.

Doświadczenie to idzie przede wszystkim w kierunku poszukiwania prostoty. Wiedziony słusznym instynktem, piszący w obcym języku unika pretensjonalnych stylizacji i manieryzmów. W najprostszych słowach stara się wyrazić uczciwie to co ma do powiedzenia. Wkrótce jednak spostrzega, że droga, która wydawała mu się prosta, jest pełna objazdów i zakrętów. Aby pisać jasno i prosto — nawet gdy chodzi o oddanie bełkotu snów i zwiewności złudzeń — trzeba zacząć od jasnego myślenia, od oceny sensu i wagi używanych słów. Potem dopiero przychodzi kolej na ustawienie tych słów w zdania nie zdradzające niczym mozołu wykonanej uprzednio pracy myśli i wyobraźni. Jasność i prostota są najczęściej wynikiem pewnej znajomości rzemiosła.

Byłbym niewdzięczny pogardzając tym ubocznie nabytym wyszkoleniem. Od trzech pokoleń przywykliśmy widzieć słowa wiązane przy pomocy symbolów, aluzji, hermetycznych metafor i asocjacji. Przyzwyczajeni do tych recept zapominamy nieraz, że zdania najprostsze mogą mieć podwójne i potrójne dno, oraz że fabrykacja i kontemplacja takich tworów może być bardzo pociągającym zajęciem. Wbrew pozorom przyjrzystość i prostota mogą mieć pewną przyszłość i zasługują na uwagę piszących.

Pewne reguły służące do tego celu mogą być z pożytkiem przeniesione z języka francuskiego do polskiego. Nic np. nie sprzyja tak przejrzystości zdań jak obowiązujące w języku francuskim stawianie podmiotu przed orzeczeniem. Polski — podobnie zresztą jak włoski i hiszpański — nie zna tego rygoru, nic jednak nie zabrania w nim takiej budowy zdania.

Doświadczenie wyniesione z pisania po francusku pozwala wreszcie obcemu ocenić trafniej wartość tradycji i autorytetów literackich. Jak bowiem postępujemy chcąc pisać w tym języku poprawnie? Przy każdej wątpliwości — a jest ich tyle — otwieramy Grevisa, aby wśród niezliczonych cytatów z autorów dawnych i współczesnych znaleźć zwrot najbliższy temu co chcemy powiedzieć. Nie inaczej zresztą postępowali niegdyś cytowani przez Grevisa autorzy, którzy zaglądali w tym celu do Littrégo. Szata słowna pisarzy nie rodzi się bowiem z języka mówionego, lecz przede wszystkim z tradycji i wzorów literackich. Wzorową poprawność języka znajdujemy nieraz także u pisarzy zbuntowanych przeciw uznanym autorytetom. Niejeden dobry autor chodził wprawdzie także na rynek warzywny, słuchał po karczmach opowieści ludowych, zagłębiał się w słowniki gwar; z tych niepozornych skarbów czerpali i ci co — jak Molière — pogardzali nieszkoloną mową ludu, i ci co uważali ją za źródło natchnienia; zapożyczenia ich obracały się wszakże w umiarkowanych grani-

cach. Kto je przekracza, kto zmusza czytelnika do odcyfrowywania wyrażeń gwarowych, staje się pisarzem regionalnym, zwracającym się do koła ziomków. Bezpieczniej często jest czerpać — jak Rabelais — z greki i łaciny niż z gwary ludowej.

Terminowanie u Francuzów może pisarzowi emigracyjnemu ułatwić rozpoznanie własnej sytuacji. Będzie mógł trafniej ocenić, ile stracił na braku kontaktu z żywą mową ludu, i jakimi środkami będzie mógł urozmaicić i usprawnić swój język. ,,Oderwana od kraju i jego mowy — powiadają mu — literatura emigracyjna skazana jest na zagładę''. To się jeszcze zobaczy. Na razie widać tylko tyle, że — słuszne czy nie — przewidywania te są źle umotywowane.

K.A. JELEŃSKI:

CZWÓRJĘZYCZNE KŁOPOTY

Z czterema językami łączy mnie bliski stosunek: polskim, włoskim, francuskim i angielskim. Po niemiecku mówię nieźle, ale pozostał to dla mnie ,,język obcy'', skaczę w nim ze słowa na słowo jak z kamienia na kamień, z trudem goniąc koniec długich zdań, na który ,,Wortfolge'' spycha sedno znaczenia. Niemiecki pozostał dla mnie maskaradą, mój sztucznie dobry akcent jest tu żartem, formą przedrzeźniania heidelberskiego ,,Privatdozenta'', czy germańskich gallicyzmów wiedeńskiego żurnalisty.

Należę do ostatniego pokolenia Polaków ze środowiska ziemiańsko-inteligenckiego, które nie pamięta że się kiedykolwiek po francusku uczyło. Pierwsze lata dzieciństwa spędziłem u babki, to jest wśród ludzi rozmawiających między sobą częściej po francusku niż po polsku. Stąd kołatają się dotąd w mojej francuszczyźnie pewne archaizmy czy prowincjonalizmy zaszczepione w ,,Rodzinę'' przez serię guwernantek i ,,Mademoiselles'' sięgającą początku ubiegłego wieku, przekazywane z pokolenia w pokolenie. Kiedy obudziła się we mnie wcześnie mania lektury, trafiłem na starego Dumasa, który pasjonował mnie o wiele bardziej od Sienkiewicza. Rzuciłem się później na całą bibliotekę babki i przed czternastym rokiem życia na moją ,,kulturę'' składał się nie tylko Balzac, Stendhal, Zola, ale Verlaine, Hérédia, Octave Mirbeau, Huysmans, aż po Rachilde, Péladan i resztę ,,Fin de Siècle'u''. Pisałem po francusku listy i wiersze, mając trzynaście lat przełożyłem na francuski kilka wierszy z ,,Wieczoru na Wschodzie'' Stanisława Balińskiego.

Po angielsku zacząłem się uczyć mając jedenaście czy dwanaście lat, kiedy już mówiłem po francusku i po niemiecku. Do

tego czasu angielski był językiem, którym mówili między sobą w mojej obecności dorośli, kiedy nie chcieli, bym ich rozumiał. Moi rodzice, moja babka i jej siostry, moje ciotki i wujowie mówili po angielsku, ale słabo. W polskiej lingwistycznej socjologii jedynie arystokracja przywiązywała do doskonałości języka angielskiego podobnie przesądne znaczenie jak do doskonałości francuszczyzny. W dworach gdzie spędzałem lato leżały stare roczniki ,,Illustrated London News'' i ,,Puncha'', ale abonamenty urywały się w r. 1914. Język angielski był w mojej rodzinie przede wszystkim językiem lektury. Moja babka i jej siostry miały szczególną słabość do angielskich powieści (w tanich wydaniach Tauchnitza). Czytały zwłaszcza powieści kobiece — Rosamond Lehmann, Victorię Sackville-West, nawet Katherine Mansfield i Virginię Woolf. Ulubioną książką mojej babki była ,,Mrs. Dalloway'' i pamiętam jak zachęciła mnie do jej przeczytania. Opis dnia tej eleganckiej i delikatnej kobiety znudził mnie wówczas. Nie zdałem sobie sprawy, że gust mojej babki zbiegał się tu ze smakiem literackim najbardziej zaawansowanej awangardy.

Po włosku mówili moi rodzice, dlatego że spędzili w Rzymie trzy lata swej młodości (podobnie nauczyli się po hiszpańsku będąc na placówce w Madrycie). Co dziwniejsze, mówiła po włosku również moja prababka i — jak się z pewną dumą mawiało w rodzinie — ,,czytywała Dantego w oryginale''. Kiedy byłem dzieckiem, tłumaczyła mi wprost z włoskiego tekstu ustępy z ,,Il Cuore'' De Amicisa, od czasu do czasu czytając całe zdania po włosku. Parę lekcji włoskiego wziąłem w Rzymie w r. 1940, ale moja znajomość włoskiego pochodzi z ,,osłuchania'' w ciągu kilkuletniego pobytu po wojnie w Rzymie i Neapolu. Pamiętam zdziwienie, z którym przekonałem się któregoś dnia, że nie tylko wszystko rozumiem, ale mogę mówić po włosku. Los zrządził, że nawet mieszkając w Paryżu częściej mówię po włosku niż po francusku, że włoski jest moim językiem codziennym, ,,domowym''.

Tyle co do mojej językowej ,,bazy''. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że ,,czwórjęzyczność'', udostępniająca tyle przeżyć estetycznych i intelektualnych, rozszerzająca możliwości ludzkich bezpośrednich kontaktów, ułatwiająca życie zawodowe i praktyczne, mści się na pisarzu. Mimo oddalenia od Polski, mimo ubóstwa mego języka, mimo przykrych i częstych wątpliwości gramatycznych, składniowych, uważam się za pisarza (krytyka? eseistę?) polskiego. Język polski wymiguje mi się czasem, ale mnie nie onieśmiela. Czuję się w języku polskim u siebie, jak w domu w którym się rzadko bywa, ale który się zna ,,na pamięć''. Mam, złudne zresztą, przekonanie że wśród słów-przedmiotów odnajdę drogę nawet z zamkniętymi oczami. Potknięcia uważam za przypadkowe, traktuję je poufale, należą do mnie. Zacząłem zresztą pisać po polsku przypadkiem, kiedy pod koniec wojny przyjaciele ściągnęli mnie do redakcji ,,Dzien-

nika Żołnierza I Dywizji Pancernej". Nie wiem czy bym się kiedykolwiek zdobył na wyraz literacki z własnej inicjatywy, gdyby nie dziennikarskie doświadczenie, przełamanie oporów codzienną rutyną, fakt że pisanie było dla mnie obowiązkiem, nie angażującym „twórczej" odpowiedzialności. Zdaję sobie dziś sprawę, że pierwszym językiem, w którym starałem się wyrażać na piśmie w formie literackiej był zresztą nie polski, a angielski. Po polsku zacząłem właściwie pisać w r. 1945. W czasie wojny zaś, eseje pisane na tematy filozoficzne i literackie podczas studiów na uniwersytecie w St. Andrews i w Oxfordzie postawiły mnie po raz pierwszy wobec problemów literackiego wyrazu. Wydaje mi się, że pisałem wówczas poprawnie: esej mój, za który otrzymałem w r. 1942 międzyuniwersytecki „Grey Prize for Moral Philosophy", został między innymi wyróżniony za „zalety formy".

Po francusku zacząłem również pisać nie spontanicznie, a na zamówienie: około roku 1952 zaczęły się do mnie zwracać francuskie miesięczniki — „Preuves", „Saturne", „Evidences" — prosząc mnie o artykuły na konkretne tematy, dotyczące przeważnie spraw polskich. Przyjmowałem te zamówienia z różnych względów. Byłem już wówczas blisko związany z „Kulturą" i wyrażenie pewnych punktów widzenia na sprawy polskie w obcej prasie wydawało mi się ważne. Skądinąd francuskie honoraria stanowiły dużą pozycję w moim budżecie. Przed nakreśleniem tych uwag do sympozjonu „poliglotów" przejrzałem te pierwsze artykuły i uderzyła mnie ich grzeczność, zdawkowość, anonimowość. Język francuski paraliżował mnie jeszcze, a znaczenie stylu związane było dla mnie z tak cenionym w naszej rodzinie pojęciem „d'une phrase bien tournée". Dla cudzoziemców, doskonałość francuszczyzny polega często na użyciu największej ilości gotowych, prefabrykowanych zwrotów. Dobrzy nawet pisarze, po polsku piszący jasno, zwięźle, dobitnie, mizdrzą się po francusku jak pensjonarki, stroją ceregiele fałszywych „cercleux", podrabianych ambasadorów. Inną, mniej antypatyczną, ale równie niebezpieczną pokusą cudzoziemca jest „klasycyzm": wzorowanie się na Madame de La Fayette, Chamforcie. W pierwszych moich francuskich artykułach widzę, jak w lustrze, odbicie „Gęby" grymaśnej, nieśmiałej, pretensjonalnej. Wyzwoliło mnie z tej „dyplomatyczno-szkolnej" francuszczyzny poznanie Audibertiego i Genèta. Nie dlatego żebym się porywał na podrabianie barokowych ekstrawagancji „Le Maitre de Milan" czy szalonego liryzmu „Notre Dame des Fleurs": ale zrozumiałem, że mimo pozornej krystalizacji, francuski jest językiem który można gwałcić. Stąd moja francuszczyzna jest bardziej jeszcze może od polskiego stylu kapryśna. Sprawia kłopoty klasycyzującym redaktorom „Preuves", którzy często mi mówią: „to nie są błędy, ale to nie jest język francuski". Odpowiadam im że nie jest moim celem osiągnięcie doskonałości „uniwersalnego" francuskiego stylu, ale swobodne wyrażenie tego co chcę powiedzieć w obcym języku.

Języki literackie ,,pisarza poligloty'' są jak naczynia połączone: postępy w jednym płaci się regresją w drugim. Odkąd piszę często i, jak mi się wydaje, coraz bardziej naturalnie, po francusku, pisanie po angielsku sprawia mi coraz więcej trudności. Napisałem ostatnio długą przedmowę do zbioru esejów różnych europejskich i amerykańskich pisarzy, który ukaże się na jesieni u Routledge and Kegan Paul pod tytułem ,,History and Hope''. Nie mówię o drobnych błędach gramatycznych czy składniowych, które łatwo było poprawić. Tekst jest ściśle akademicki i sam duch języka angielskiego z jego warunkowymi zwrotami narzucił mi maskę obiektywnego, ważącego słowa, dbającego o ścisłość ,,dona''. Warto tu może wspomnieć o skutkach skojarzenia dla poligloty pewnych działów kultury z pewnymi językami. Przedmowę do ,,History and Hope'' byłem w stanie napisać właśnie po angielsku, gdyż moją znajomość (jakkolwiek powierzchowną) socjologii, ekonomii, ,,nauk politycznych'' zawdzięczam lekturze książek w języku angielskim. Podobnie, terminologia z dziedziny historii sztuki, krytyki literackiej, psychologii, filozofii jest mi najlepiej znana w języku francuskim. Stąd w moich tekstach polskich roi się na pewno od anglicyzmów kiedy piszę na tematy ,,socjologiczne'', a od gallicyzmów kiedy zajmuję się sztuką czy literaturą.

Dlaczego pisarz-poliglota nie zawsze decyduje się na emigracji przestawić się ostatecznie na jeden język literacki? Zdarza się to czasami — i rezultaty są często doskonałe: angielski Pietrkiewicz, francuski Cioran czy Ionesco. W moim wypadku, ,,krytyka'' czy ,,publicysty'', sprawa przedstawia się nieco inaczej. Najwięcej satysfakcji sprawia mi pisanie do ,,Kultury'', po prostu dlatego, że artykuły moje wywołują pewne echo wśród bardzo szczupłego zresztą grona przyjaciół. Wiem, że artykuł mój w ,,Kulturze'' przeczyta przynajmniej Redaktor, że musi go z obowiązku przeczytać w korekcie Zygmunt Hertz, że wywoła żywą reakcję Józefa Czapskiego, że paru innych ludzi go skomentuje w rozmowach czy listach. Czytelników francuskich czy angielskich mam może więcej, ale jestem dla nich jednym z tysiąca anonimowych pismaków.

Gdyby nie ta inicjatywa Jerzego Stempowskiego, nie wspomniałbym o notatkach, które sporadycznie gromadzę, bez konkretnej myśli o ich publikacji, nie zastanawiając się nad ich ostatecznym przeznaczeniem. Ale wydaje mi się charakterystyczne, że notatki te zawierają strony pisane po polsku, po francusku i po włosku. Może moim naturalnym wyrazem byłby osobisty, trójjęzyczny makaronizm?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI:

ZAGADNIENIA JĘZYKOWE LITERATURY EMIGRACYJNEJ

1. Literaturze polskiej na emigracji grozi wygaśnięcie, gdyż pisanie po polsku nie prowadzi poza granicami kraju do pieniędzy.

Wysokie stosunkowo zarobki pisarskie są dziś w Polsce zjawiskiem nowym, nieznanym przed wojną. Nakłady wielu przedwojennych książek, uchodzących obecnie za ważne pozycje w literaturze polskiej, nie przekraczały pięciu tysięcy egzemplarzy (według bardzo optymistycznego szacunku). Pisarze, nawet starsi żyli przeważnie z dochodów mniej lub więcej postronnych. Dotyczyło to w jeszcze większym stopniu pisarzy młodszych. Poeci wręczali często właścicielowi Księgarni Hoesicka, Marianowi Sztajnsbergowi, swoje rękopisy wraz z paroma (pożyczonymi przeważnie) setkami złotych na koszta ich wydania w tomikach.

A jednak tylko bardzo uprzedzony i niesprawiedliwy historyk literatury odważy się powiedzieć, że okres dwudziestolecia międzywojennego był literacko jałowy i nie zostawił po sobie żadnych utworów godnych uwagi. Wprowadzona od niedawna w Polsce seria „Książki dwudziestolecia" jest bez porównania bogatsza i ciekawsza, niż to co w ciągu ostatnich piętnastu lat wydano w kraju z „metryczką" informującą o stu, pięćdziesięciu, trzydziestu lub co najmniej dziesięciu tysiącach nakładu.

Zmiany obyczajowe są pouczające. Żona literata była na ogół przed wojną istotą godną podziwu, czymś w rodzaju heroicznej męczennicy, i niejednokrotnie przed jej zamążpójściem rodzice załamywali z rozpaczą ręce jakby chodziło o ciężki dopust Boży. Dziś jest tym czym przed wojną była żona dobrego lekarza, adwokata czy inżyniera. Więcej — stopa życiowa w kraju powszechnego ubóstwa stawia nierzadko żony literatów na poziomie żon ministrów i dygnitarzy partyjnych. Trzeba widzieć te panie, gdy w roli impresariów i administratorek krzątają się niezmordowanie wokół eksploatacji skarbów ukrytych w głowach i piórach swych mężów, by sobie uprzytomnić jaki tu nastąpił przewrót. Ale z tej rewolucji obyczajowo-ekonomicznej bardzo mizerne, jak dotąd, korzyści czerpie literatura.

Kto zafascynowany jest opłacalnością pisania w kraju, musi też pamiętać że do niedawna była ona narzędziem pośredniej korupcji: rangi literackie ustalali i wysokość nakładów dyktowali nie czytelnicy, lecz nadzorcy partyjni wydawnictw państwowych uzbrojeni w jednostki pomiarowe opłacalności politycznej. Nawet obecnie, kiedy epoka złotodajnych piór zdaje się już należeć do przeszłości, „naciskowy" współczynnik zarobków pisarskich

nie wyszedł całkowicie z użycia; wystarczy wskazać rolę, jaką zamrożone celowo przez partię ,,sprawy bytowe'' pisarzy odegrały przy *oddolnym* skłonieniu Słonimskiego do rezygnacji z prezesury ZLP.

Mimo wyższej niewątpliwie niż przed wojną opłacalności pisania w kraju, nie zanikł bynajmniej proceder zarobkowania postronnego: w kolegiach redakcyjnych czasopism, w ciałach doradczych wydawnictw, w komitetach redakcyjnych różnych edycji klasyków, w stałych konsyliach przybocznych teatrów. Co więcej — jeśli w latach stalinowskich był on zazwyczaj pogonią za łatwymi synekurami które ,,zaokrąglały'' tylko dochody czerpane z twórczości pisarskiej *sensu stricto*, dziś stał się znowu dla większości pisarzy pilną koniecznością życiową. Nie ma w tym nic dziwnego, ani tym bardziej gorszącego. Pisanie (z bardzo nielicznymi wyjątkami) nie jest, nigdy nie było i nigdy pewnie nie będzie jedynym źródłem utrzymania. Nie znam we Włoszech ani jednego pisarza w moim wieku, który by samym pisaniem książek zarabiał na życie. A starsi, o ustalonych już miejscach w literaturze? Moravia, jeden z zeszłorocznych włoskich kandydatów do nagrody Nobla, jest stałym recenzentem filmowym tygodnika ,,L'Espresso''. Quasimodo wykłada od lat literaturę włoską w Konserwatorium mediolańskim.

Nie widzę powodu by pisarz emigracyjny, który postronnymi i często niewdzięcznymi zajęciami zarabia sobie na możność pisania po polsku, miał się czuć szczególnie upośledzony w porównaniu ze swymi polskimi kolegami po piórze w kraju i obcymi zagranicą, i uprawniony przez same tylko okoliczności *materialne* do porzucenia własnego języka. Pisze po polsku z potrzeby i z niejasnego instynktu słowa, dlatego że w żadnym innym języku nie potrafi się jako artysta wypowiedzieć lepiej i pełniej niż w ojczystym; musi się z czasem pogodzić z faktem, że za to co napisze po polsku otrzyma zapłatę tylko symboliczną, i zarobków szukać gdzie indziej: w tłumaczeniach swoich utworów na języki obce, w pogadankach radiowych, w dorywczych artykułach do prasy zagranicznej, w lektoratach wydawnictw, w szkolnictwie i na uniwersytetach, często zaś — w instytucjach nie mających w ogóle nic wspólnego z czernieniem papieru; nie jest wcale w sytuacji o wiele gorszej od licznych (szanujących się) pisarzy polskich w kraju i od niejednego pisarza angielskiego, amerykańskiego, francuskiego czy włoskiego.

Argument że literaturze polskiej na emigracji grozi wygaśnięcie, bo pisanie po polsku nie prowadzi poza granicami kraju do pieniędzy, nie posiada zatem żadnej istotnej wagi.

2. Literaturze polskiej na emigracji grozi wygaśnięcie, gdyż pisarz emigracyjny zwraca się do niewielkiego grona czytelników.

Można na to odpowiedzieć tak jak Hostowiec: powołując się na przykłady Ducasse-Lautréamonta, Aloysiusa Bertranda czy Lorda Bolingbroke. Można, ale nie trzeba. Grono czytelni-

ków, do których zwraca się pisarz emigracyjny nie jest przede wszystkim wcale takie szczupłe. Po drugie, są to czytelnicy jakich nie często zdarza się mieć pisarzowi.

Wolno przyjąć że dobra książka polska wydana na emigracji rozchodzi się w końcu, po długim okresie ,,lansowania'', w ilości tysiąca egzemplarzy. Ponieważ jest rzadka i z konieczności dość droga, ci którzy decydują się prędzej czy później na jej kupno, robią to w sposób znacznie bardziej świadomy i dojrzały, niż przygodni nabywcy zgubieni wśród setek grzbietów i tytułów w księgarniach polskich w kraju i w księgarniach zagranicznych. Są przygotowani do jej lektury. Chcą ją posiadać i przeczytają ją na pewno z uwagą, bez ,,zblazowania'' jakie narzuca wielki rynek wydawniczy. W wielu wypadkach, śledząc literaturę w krajach swego zamieszkania, mogą książkę autora polskiego ustawić w szerszym kontekście literackim. Stanowią więc na ogół zastęp odbiorców czujnych, wrażliwych, o wyostrzonym zmyśle krytycznym.

Prócz tego tysiąca, średnio około pięciuset egzemplarzy książki polskiej wydanej na emigracji przenika różnymi drogami do kraju. Wielokrotnie sprawdzana kalkulacja utwierdziła mnie w przekonaniu, że każdy taki egzemplarz odbywa trasę minimum czterech par rąk i oczu. Daje to cyfrę dwóch tysięcy czytelników, wcale pokaźną nawet według kryteriów normalnego rynku wydawniczego; a jeśli zbyt mimo wszystko niską dla bardziej wymagających, to w każdym razie nie taką która pisarza może skłonić do porzucenia własnego języka z braku publiczności.

Kim są ci anonimowi czytelnicy w kraju możemy już dziś, w cztery lata po Październiku, ocenić lepiej. Kiedyś, za czasów ,,kultu jednostki'', przepisywali ręcznie lub odbijali na hektografie utwory niektórych pisarzy emigracyjnych. Teraz otrzymują dostatecznie dużo egzemplarzy książek polskich wydawanych na emigracji, by nie uciekać się do zabiegów kopistycznych i chałupniczo-drukarskich. Przed dwoma laty dowiedziałem się przypadkowo, że egzemplarz ,,Innego świata'' zawędrował do moich stron rodzinnych w Kieleckim, mimo że nie mam tam już nikogo z bliskich. Z niezliczonych rozmów z przyjezdnymi z kraju widzę, że utwory Miłosza, Gombrowicza, Straszewicza, Tadeusza Nowakowskiego, Hostowca, Bobkowskiego, Łobodowskiego, Balińskiego (żeby wymienić tylko pierwszych z brzegu) są tam lepiej znane i uważniej czytane, niż niejeden ,,best-seller'' krajowy o trzydziestotysięcznym nakładzie. Wielu moich rozmówców podkpiwało sobie ze mnie że tracę czas, starając się z przesadną systematycznością i dokładnością śledzić twórczość krajową. Prawie zawsze ten sam dwutaktowy refren: czytacie więcej książek krajowych niż my; co tu u was ostatnio wyszło nowego?

Twierdzenie, że literaturze polskiej na emigracji grozi wygaśnięcie, bo pisarz emigracyjny zwraca się do niewielkiego

grona czytelników, opiera się na nieznajomości faktów i całkowicie błędnej perspektywie.

3. Literatura musi wygasnąć na emigracji na skutek oderwania od polskiego środowiska i języka mówionego w kraju.

Podstawowe jest tu rozróżnienie Hostowca między językiem mówionym, pisanym i literackim, które nie tylko się nie pokrywają, ale posiadają — każdy z osobna — własne prawa i własną autonomię wewnętrzną.

Język literacki ma samodzielność tak dużą, że po wojnie otrzymaliśmy wielotomowy cykl powieściowy, napisany w domniemanej polszczyźnie z czasów Bolesława Chrobrego. Co nie przeszkadza zresztą, że każdy, kto zna się choć trochę na sztuce pisarskiej, bez porównania wyżej odeń postawi „Srebrne orły" Parnickiego, powieść napisaną na emigracji nowoczesną i klarowną polszczyzną.

Pisarze ze szkoły naturalistycznej wyprawiali się z notesami do domów publicznych, na przedmieścia, do fabryk, na wieś, do koszar, nie tylko po to by zapisywać swoje spostrzeżenia, lecz w pogoni za strzępami dialektu, gwary, specyficznego słownictwa rozkrzewionego spontanicznie na peryferiach języka potocznego i oświeconego. Sądzili że w ten sposób doprowadzą odmalowywany przez siebie obraz społeczeństwa do większej wierności w szczegółach, a równocześnie wzbogacą, odświeżą i ożywią swój własny język literacki, zagrożony archaicznością, starczym zwapnieniem, martwotą. Mniejsza w tej chwili o to czy mieli rację, i czy mają rację niektórzy — często bardzo wybitni — pisarze współcześni, nie pogardzający również tym hormonowym zastrzykiem lingwistycznym. Ale dość dziś rozpowszechnione bezkrytyczne dopatrywanie się w języku przedmieść, przekupek, złodziei, prostytutek, alfonsów i uliczników eliksiru, który *automatycznie odmłodzi* i napełni nowym wigorem utwór pisany prozą czy wierszem, wydaje się zjawiskiem infantylnym. Leży przede mną „Una vita violenta", nowa powieść włoska z życia młodociatych mętów Zatybrza; jej autor, Pier Paolo Pasolini, musiał do niej dołączyć słowniczek aż czterystu wyrazów użytych w książce i niezrozumiałych dla przeciętnego czytelnika włoskiego. W dziedzinie języka jednak rzadko co bywa jeszcze teraz nowe i świeże. W dolnym kościele San Clemente w Rzymie, zalecanym przez przewodniki ze względu na „bardzo ważne dokumenty pierwszego języka gminnego", można zobaczyć fresk przedstawiający robotników którzy przenoszą kolumnę pod okiem majstra budowlanego; namalowany w formie przypominającej dzisiejsze „comics", z napisami „kwestii" jakie wypowiadają poszczególne postacie, zawiera taki okrzyk majstra: *Fili de pute, traite!* Brzmi to zupełnie po zatybrzańsku, znaczy mniej więcej: „Taskać, skurwysyny!", i liczy sobie przeszło tysiąc lat.

Dante pisał „La Divina Commedia" oderwawszy się od uprawianej dotąd łaciny, i oderwany wygnaniem od żywego na-

rzecza toskańskiego swojej rodzinnej Florencji: w pewien sposób stworzył własny język. Leopardi spędził swoje krótkie życie na (jakbyśmy dziś powiedzieli) ,,emigracji wewnętrznej'', spowodowanej chorobą i nieuleczalną melancholią — odcięty całkowicie, niemal hermetycznie, od świata; jego wiersze są klejnotami włoskiego języka poetyckiego. Można mnożyć przykłady, ale większość i tak prowadzi do tego samego wniosku: język literacki posiada własną autonomię, która w bardzo niewielkim tylko stopniu zależy od języka mówionego i pisanego. Codzienny kontakt z żywą mową kraju, przysłuchiwanie się dialektom, rejestrowanie nowotworów zasłyszanych w tramwajach, szynkach i na przedmieściach, wertowanie starych słowników — wszystko to ma dla pisarza pewną wartość, ograniczoną jednak i nie decydującą. Pisarz da się przyrównać metaforycznie do rzeźbiarza: jeśli zdołał wywieźć ze swego kraju ojczystego blok surowca językowego, może w nim kuć z powodzeniem całe życie nawet na obczyźnie. Często oderwanie mu sprzyja: odnajduje wyczulonymi palcami w materiale własnego języka kształty i formy, do jakich nie dotarłby może nigdy żyjąc pod nieustannym naciskiem żywej mowy; dostrzega wyostrzonym wzrokiem i słyszy czujniejszym uchem barwę słów i kadencję zdań uchwytną, być może, jedynie w izolacji i ciszy. Reszta jest sprawą wyobraźni, wrażliwości intelektualnej, inteligencji, doświadczeń, obserwacji, rozmyślań, marzeń, poszukiwania stylu; czyli problematyki tkwiącej w samej literaturze, a nie w języku. Począwszy od ubiegłego roku muszę już o sobie mówić, że więcej lat życia zbiegło mi poza granicami kraju niż w kraju. A jednak przy pisaniu natrafiam tylko na trudności natury literackiej, na które kontakt z żywą mową kraju byłby zapewne niezbyt skutecznym lekarstwem.

Od pięciu lat mieszkam w Neapolu, w oderwaniu nawet od większych skupisk polskich na emigracji. Po polsku rozmawiam przygodnie, zdarzają się niekiedy długie okresy, że ani mnie tu nikt z Polaków nie odwiedza, ani sam nie jeżdżę tam, gdzie mógłbym ich spotkać. Włoski jest pierwszym napotkanym przeze mnie w wędrówce po świecie językiem obcym do którego mam stosunek bardziej osobisty, oparty nie tylko na gładkiej i poprawnej znajomości, lecz także na pewnym głębszym wyczuciu. Jest to język posiadający dla mnie dużo, z każdym dniem więcej, uroków. Pisuję czasem drobne rzeczy do pism włoskich, i jak widzę nie wymagają one znacznych poprawek przed oddaniem do druku. A przecież pisząc dorywczo i dla zarobku po włosku mam takie uczucie, jakbym dotykał tego języka przez grubą rękawiczkę. Nie zaś, jak w wypadku własnego języka, bezpośrednio — cienką i unerwioną skórą na nagich dłoniach.

Jan BRZĘKOWSKI:

REFLEKSJE NA TEMAT PISANIA W OBCYM JĘZYKU

W jakim języku pisać? Pytanie to nasuwa się wielu Polakom przebywającym na Zachodzie. W chwili obecnej istnieje już pokaźna liczba polskich uczonych i dziennikarzy, którzy drukując swe prace w języku angielskim, francuskim lub włoskim, zdobyli sobie poważną pozycję na terenie międzynarodowym. O wiele trudniej przychodzi jednak twórczość literacka w obcym języku, np. napisanie eseju, noweli, powieści czy wiersza, gdyż wtedy należy się liczyć z różnymi *imponderabiliami,* związanymi z atmosferą kulturalną i sposobem wyrażania właściwym tylko pewnemu krajowi lub pewnej grupie ludzi. Dlatego znam zaledwie jednego literata (1) polskiego, który całkowicie przestawił się na język angielski. Jest nim Pietrkiewicz. Bezpośrednio w języku francuskim wypowiada się Marian Pankowski. Nie wiem czy Herling-Grudziński pisze swe opowiadania w obcym języku, czy też ogranicza się do działalności publicystycznej w języku włoskim lub angielskim. Można by tu jeszcze wymienić francuskie eseje Jerzego Stempowskiego, zacytować K.A. Jeleńskiego, a ew. także nazwisko Pawła Mayewskiego, który jednak — o ile mi wiadomo — od razu zaczął pisać w języku angielskim nie mając za sobą polskiej przeszłości literackiej. Lista nie jest zbyt długa...

Wydaje mi się jednak, że w miarę przedłużania się pobytu poza krajem, problem wyboru języka będzie się nasuwał coraz częściej wielu pisarzom. Dlatego sądzę, że dyskusja rozpoczęta przez KONTYNENTY, dotyczy jednego z najbardziej ważnych i aktualnych zagadnień. Tworzywo malarstwa czy rzeźby, dźwięk na którym opiera się muzyka — są zrozumiałe dla wszystkich; malarz lub muzyk mogą się wypowiadać niezależnie od kraju i miejsca zamieszkania. W zupełnie innym położeniu znajduje się literat przebywający na obczyźnie, który może bezpośrednio zwracać się tylko do ograniczonej grupy osób, używających tej samej mowy. Dlatego, po wejściu w obce środowisko, z konieczności nasuwa się problem opcji. Nie istnieje on dla ogromnej większości pisarzy, którzy opuścili Polskę w chwili, gdy ich umysłowość była już od dawna sformowana — wielu z nich miało przed wojną wybitną pozycję literacką w Polsce — ale

---

(1) Chciałbym zrehabilitować słowo „literat", które w latach ostatnich zdaje się wychodzić z użycia. Czy termin „pisarz" nie powinien być zarezerwowany tylko dla tych, którzy istotnie spełniają jakąś misję historyczną, społeczną lub narodową? Obdarzanie tym mianem wszystkich piszących wydaje mi się nieco przesadne.

ostatnio, w miarę upływania lat, sprawa ta może stać się aktualna dla niektórych literatów, zwłaszcza dla tych, którzy należą do młodszej generacji.

Nie sądzę, by liczba odbiorców i pojemność rynku czytelniczego, stanowiła element mający pierwszoplanowe znaczenie w chwili powzięcia decyzji. Często się zdarza, że pisarz nie może znaleźć odpowiedniej ilości czytelników, zwłaszcza, gdy idzie przeciw prądowi i przeciw upodobaniom ogółu lub gdy ogranicza się tylko do działalności literackiej nie łącząc jej z polityką. Aby nie szukać przykładów daleko przypomnę, że w okresie, gdy wydawaliśmy ZWROTNICĘ — była ona czytywana tylko przez garstkę młodych, a kupowana przez kilkanaście, a w najlepszym wypadku, kilkadziesiąt osób, co nie przeszkodziło jej zaważyć na rozwoju poezji polskiej. Nawet obecnie, dla pewnego typu literatury — nie ma wystarczającej ilości odbiorców, ani w kraju, ani na emigracji. Oczywiście, możność zarabiania piórem nie jest bez wpływu na decyzję pisarza, który zawsze odczuwać będzie niechęć do innej pracy, narzuconej przez konieczności życiowe, a mieć pociąg do pióra i do atramentu. Czasem łączy się to z zaangażowaniem społeczno-politycznym. Chwilami bywa ono nieco przesadne, a wtedy pióro i atrament utożsamiają się z działalnością polityczną; wprawdzie — pisze Pierre Emmanuel — „krew dzisiaj ogromnie przypomina atrament" (*le sang aujourd'hui ressemble furieusement à de l'encre*), ale istnieją jednak chwile, gdy atrament staje się prawie krwią pisarza, a ostatnio zachodziły wypadki, gdy za słowo drukowane trzeba było płacić własną krwią.



Wybór języka, w którym się pisze, (jeśli ta możność wyboru rzeczywiście istnieje) nie zawsze jest wynikiem okoliczności zewnętrznych. Decyzja wypływa raczej z całokształtu treści, które składają się na umysłowość pisarza w momencie, gdy staje on wobec konieczności dokonania opcji. Wtedy nasuwa się przede wszystkim pytanie, czy inny język, lepiej niż polski, nadaje się do wyrażenia tych treści w dziele literackim? Najczęściej Polak przebywający na Zachodzie dochodzi do wniosku, że język ojczysty będzie nadal bardziej adekwatny do ich transponowania na walory artystyczne, że w ten sposób łatwiej mu będzie nadać materii językowej żądany kształt. Zdarzają się jednak wypadki, że język obcy może być bardziej odpowiedni pozwalając na pełniejsze wypowiedzenie się. Zależy to w dużej mierze od tego, co nazwałbym k r ę g i e m p o j ę ć i t r e ś c i z a s t a n y c h .

W każdym języku istnieje pewna ilość takich treści i konceptów, które wpływają na kształtowanie się umysłowości czło-

wieka. Nie stanowią one samego trzonu języka, ale to, co mu nadaje charakter odróżniający go od innych. Są one wynikiem skrzyżowania się dawnych tradycji z tą warstwą pojęć i treści, która jest wytworem ostatnich dziesiątków lat, (a nawet czasem — tylko ostatnich lat), środowiska, literatury, warunków politycznych i socjologicznych itp. Niektóre z elementów tego kręgu mają charakter krótkotrwały, inne szybko znikają, bo nie potrafiły zapuścić głębszych korzeni, inne wreszcie — wchodzą definitywnie w skład języka. Zasób tych pojęć i treści, które najbardziej odpowiadają pisarzowi, może znajdować się w pewnym języku w dostatecznie wykrystalizowanej formie, by móc się nimi posługiwać w dziele literackim podczas gdy w innym języku — występują w formie mgławicowej i nie nadają się do wyrażenia potencjalnej energii twórczej piszącego. Ten zasób pojęć i treści zastanych zazwyczaj istnieje w stanie nadającym się do natychmiastowego wykorzystania. Pisarz nie jest zmuszony do ich tworzenia z niczego, stanowią one rzeczywistość zastaną przez niego w pewnym języku, przeszły do normalnego bagażu intelektualnego ogółu ludzi piszących i czytających. Dla łatwiejszego zrozumienia tej definicji przytoczmy przykład taki, jak np. życie pod okupacją. Nie sądzę by o tym okresie mógł pisać tylko ten, kto go przeszedł. Wydaje mi się jednak, że zwracając się do społeczeństwa, które przeżyło okupację — pisarz nie będzie zmuszony tłumaczyć czytelnikowi rzeczy ogólnie znanych np. w Polsce, w Belgii czy we Francji, gdzie wyobrażenia związane z tą epoką i ich odpowiedniki językowe należą do rzeczywistości zastanej. Dlatego piszący o tym okresie od razu nawiąże kontakt z czytelnikiem, w języku, którym się posługuje, natychmiast znajdzie słowa ułatwiające mu zadanie, gdyż są najbardziej odpowiednie, podczas, gdy w innym języku będzie musiał dopiero mozolnie ich szukać lub naginać wyrażenia istniejące do odmiennych znaczeń.

W każdym słowie tkwi zresztą, oprócz samej znaczeniowości, specjalna atmosfera uczuciowa, która jest z nim związana. To samo słowo łączy się w jednym języku z czymś pięknym i nieznanym, podczas gdy w innym — staje się bezbarwne lub nawet banalne czy wytarte. Podobnie, niektóre wyrażenia i zwroty, mimo znaczenia dotyczącego sfery seksualnej lub skatologii, wydają się możliwe do użycia w pewnym języku, podczas gdy w innym — brzmią ordynarnie lub nie ma ich odpowiedników. Słowo *merde* nie budzi we mnie tego samego nieprzyjemnego oddźwięku, co to samo wyrażenie w języku polskim lub niemieckim. Nie widzę również, w polskiej mowie potocznej, zwrotu odpowiadającego francuskiemu *faire l'amour*. Każdy język ma swoje własne życie i własne prawa, przystosowane do istniejących warunków i związane z tradycją. Nie sądzę, by te właściwości języka mogły odegrać dużą rolę przy dokonywaniu wyboru przez pisarza, ale wydaje mi się, że w sferze doznań podświadomych nie są one całkowicie bez znaczenia.

Dla zorientowania się w powodach, które mogą skłonić do pisania w obcym języku — należałoby się oprzeć na konkretnych przykładach badając przyczyny, które działały w każdym wypadku, a dopiero po tym — wyciągać wnioski bardziej ogólne. Wymagałoby to specjalnych ankiet i badań, co prowadziłoby zbyt daleko. Dlatego ograniczę się po prostu do próby określenia motywów, które wpłynęły na moje decyzje w tym zakresie.

Zacząłem pisać po francusku jeszcze przed wojną. Najpierw były to artykuły wstępne do redagowanego, przeze mnie w Paryżu dwujęzycznego czasopisma ,,L'Art Contemporain — Sztuka Współczesna''. Wtedy jednak przeważnie pisałem po polsku, a następnie tłumaczyłem tekst na francuski. Dopiero artykuły ogłoszone w ostatnim numerze powstały najpierw po francusku, a dopiero po tym przełożyłem je na polski. Były one związane z doznaniami malarskimi, wynikały z otaczającego mnie świata wystaw, pracowni i dyskusji artystycznych w środowisku międzynarodowym, dlatego siłą rzeczy nasuwał się tu język francuski. Ostatni artykuł, opatrzony obszerną częścią ilustracyjną ukazał się następnie jako oddzielna broszurka z okładką Arpa, a w dwa lata później — w adaptacji esperanckiej Grenkamp-Kornfelda, nakładem ,,Literatura Mondo'' w Budapeszcie. W tym okresie pewien poeta francuski zwrócił się do mnie o przełożenie jednego z moich wierszy, który chciał zamieścić w redagowanym przez siebie czasopiśmie. Zabrałem się więc do pracy, ale w przekładzie raziło mnie wiele rzeczy, odczuwałem, że dosłowny tekst nie ,,wychodzi''; zacząłem więc wprowadzać zmiany, a w miarę dokonywania poprawek coraz bardziej odbiegałem od oryginału. Zmiany te poszły tak daleko, że w pewnym momencie spostrzegłem się, że między nowym tekstem a pierwowzorem istnieje tylko wspólny punkt wyjścia. W ten sposób powstał mój pierwszy wiersz francuski. W następnych — od razu odczuwałem potrzebę wypowiedzenia się po francusku. W okresie przedwojennym, oprócz ,,Kilométrage de la peinture contemporaine'' i krótkiej monografii Arpa — ukazały się dwa zbiorki moich francuskich wierszy. Pierwszy, ,,Spéctacle métallique'', wyszedł najpierw jako arkusz kolekcji poetyckiej ,,Sagesse'', a następnie w formie książkowej z ilustracją Maxa Ernsta. Drugi ,,Nuits végétales'', zawierający *un papier déchiré de Arp,* został wydany przez formę ,,G.L.M.'', która drukowała przede wszystkim poetów nadrealistycznych. Dlaczego wyliczam te publikacje? — Bo wydaje mi się, że można by wyciągnąć z tego pewien dość ważny wniosek: zacząłem pisać w języku francuskim jeszcze w tym okresie, gdy rozwijałem ożywioną działalność literacką w Polsce współpracując stale w czasopismach literackich wychodzących w Warszawie, w Krakowie, w Łodzi i w Lublinie. Pisanie w języku francuskim miało więc charakter uzupełniający, pozwalało na wypowiedzenie pewnych treści, które nie ,,wychodziły'' w języku polskim, podczas gdy po francusku łatwiej nasuwały się pod pióro.

Gdy dzisiaj, z pewnej odległości, patrzę na ten okres moich pierwszych publikacji francuskich, sądzę, że na mojej decyzji pisania w tym języku zaważyła w dużej mierze kosmopolityczna atmosfera, w jakiej przebywałem, znajdując się w ustawicznym kontakcie z poetami i artystami wszystkich narodowości. Odczuwałem wtedy potrzebę wypowiadania się w języku dostępnym także dla nich. Pomimo tego tkwiłem jednak nadal w problemach związanych wyłącznie z literaturą polską i zdawałem sobie sprawę, że mogę je wyrazić tylko w języku polskim, bo we Francji rozgrywały się one na zupełnie innej płaszczyźnie, ich optyka była całkowicie odmienna.

W tym okresie, pisanie w języku francuskim było mi potrzebne do wyrażenia pewnych treści mniej ważnych, uzupełniających podczas gdy istotne było to, co pisałem po polsku. Nie miało to więc charakteru opcji, gdyż nie przestałem pisać po polsku, chociaż — rzecz charakterystyczna— nie mogę pisać równocześnie po polsku i po francusku. Po prostu, są pewne okresy, w których piszę po polsku, ale także istnieją inne — gdy wypowiadam się wyłącznie po francusku. Aby pisać w pewnym języku trzeba w nim żyć, musi on znajdować się w nas w stanie pewnego nasycenia, wymaga to długotrwałości oddziaływania związanej z nim atmosfery...

W okresie powojennym problem ten przybrał zupełnie inną formę. Wtedy zdałem sobie sprawę, że pisanie w języku polskim wymaga pewnej abnegacji, że trzeba się liczyć z tym, że przez długie lata nie będzie można dotrzeć do czytelnika krajowego. A na emigracji? — Tutaj, szybko powrócono do r. 1930, do poetyki SKAMANDRA, poezja znajdowała się pod znakiem kompleksu kolumny Zygmunta i białego dworku z kolumienkami.

Miałem więc do wyboru: milczeć, albo pisać w obcym języku porzucając całkowicie literaturę polską. Opcja francuska. Ale na to — nie mogłem się zdecydować. Wybrałem więc milczenie. Od czasu do czasu pisywałem jednak po francusku, wydrukowałem kilka wierszy i artykułów w czasopismach, ale dopiero w r. 1956 wyszedł mój trzeci tomik francuski ,,Les Murs du Silence'', z ilustracjami Fernanda Légera. Ukazanie się tego tomu byłoby się stało prawdopodobnie początkiem długotrwałego okresu francuskiego, ale zbiegło się ono z ,,październikiem''. Ten zbiór francuskich wierszy był pierwszą jaskółką, która przypomniała mnie przyjaciołom w Polsce. Nie dokonałem więc ,,opcji''. Twórczość francuska przybrała znowu charakter drugoplanowy, uzupełniający...



Niewątpliwie język polski musi posiadać dużą siłę atrakcyjną, skoro tak trudno się od niego oderwać. Dowodem tego jest także reakcja młodych poetów londyńskich z grupy KONTYNENTÓW. Przeszli oni przez szkołę średnią angielską,

tzn. szkołę, która wyciska najbardziej głębokie piętno na kształtującej się umysłowości człowieka w chwili, gdy wchodzi w życie. Pomimo to — zdecydowali się na wybór języka polskiego. Jest to tym bardziej znamienne, że niektórym z nich może łatwiej przyszłoby wypowiadać się po angielsku.

Można pisać w oderwaniu od kraju, nie mając bezpośredniego kontaktu z istniejącymi tam warunkami życiowymi. Można nawet napisać świetną książkę, która znajdzie swe miejsce w literaturze polskiej i nie poruszać wyłącznie polskich tematów. Nie jest również konieczne przyjmowanie wszystkich nowotworów (w rodzaju np. ,,rozróbki'', ,,ciuchów'' itp.), niektóre z nich znikną już za kilka lat, bo należą do tej kategorii, której życie jest krótkotrwałe. Język literacki zawsze różnił się od języka mówionego, był pewną konwencją, którą przyjmowali piszący. Zmienia się ona w miarę upływu czasu, ale te zmiany nie są wynikiem mowy rynku warzywnego, czy gwary tramwajarzy warszawskich. Przychodzą one nie wiadomo skąd, czasem nawet z obcych języków, nadejść mogą także od pisarzy polskich przebywających na Zachodzie. Nie sądzę bowiem, że pobyt w obcym środowisku z góry skazuje na utratę możliwości twórczych przez trwałe oderwanie się od zbiornika językowego.

Nasuwa się jednak pytanie czy stan ten może się przedłużać w nieskończoność? Grupa poetycka KONTYNENTÓW stanowi niewątpliwie poważny argument przemawiający za tą hipotezą. Nie miałbym jednak odwagi wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków. Jeśli bowiem sytuacja obecna trwać będzie nadal, jeśli w kraju nie zdadzą sobie sprawy, że literatura polska — to, po prostu, — literatura pisana w języku polskim, a nie — tylko ta, wyrosła na rzeczywistości krajowej w zamkniętych ramach geograficznych, to konieczność dokonania opcji zacznie się nasuwać z o wiele większą siłą atrakcyjną, może ona nawet przybrać formę nieodpartej konieczności. Poeci będą zapewne mniej na nią wrażliwi, ale w o wiele trudniejszym położeniu znajdą się ci, którzy piszą prozą. Wprawdzie Gerard de Nerval powiedział że ,,nie można stać się dobrym prozaikiem, jeśli nie było się przedtem poetą'', ale proza obecna coraz bardziej traci kontakt z poezją: pragnie być tylko prozą, tzn. oprzeć się na życiu lub na wypływającej z niego konwencji. Pokusa zaplecza, obcego ekwiwalentu ,,języka ogrodu warzywnego'' może więc nabrać nieprzepartej siły. A wtedy młodzi — pójdą szlakiem wytyczonym przez Conrada...

Wenus z Milanówka

(KILKA WESTCHNIEŃ
NAD WSPÓŁCZESNĄ LITERATURĄ POLSKĄ)

„Wyleć ptakiem z swego gniazda”...
(Wincenty Pol)

Przed iluś tam laty zasiadałem w Londynie w jury oceniającej pamiętniki byłych żołnierzy polskich na Zachodzie, którzy przemaszerowali pół świata, by w końcu nie dojść do celu swej wędrówki. Zdumiało mnie wtedy, że żaden z tych dzielnych Odysów nie poświęcił choćby jednej kartki krajom przez które przemaszerował. Byli, na przykład, w Egipcie i nie dostrzegli piramid ani Nilu, ale za to rozpisywali się o urokach raju utraconego, o rodzinnych wioskach i miasteczkach. A więc w pewnym sensie zachowali się jak ów opisywany w zeszłowiecznych pamiętnikach Koźmiana szlagon, co na weneckim Ponte dei Sospiri stanąwszy, uderzył się dłonią w czoło: „Jezus, Marya! Dzisiaj jarmark w Sieradzu!”.

Marsz wielu tysięcy patriotów, hipnotycznie wpatrzonych w jeden cel, to oczywiście sytuacja nie typowa, psychologicznie wytłumaczalna, podlegająca skomplikowanym prawom exodusu. Cóż jednak powiedzieć o literaturze narodu, który już nie stanowi zbiorowiska Nomadów, ale od kilkunastu lat żyje własnym życiem na własnej ziemi, wyznaje żarliwą religię odbudowy we wszystkich dziedzinach życia, a mimo to pod wieloma względami ujawnia tę samą postawę co tamci urzeczeni wędrowcy? Przy ocenie najnowszej literatury polskiej, której z pewnością nie można odmówić ducha europejskiego, przede wszystkim uderza jej nadmierny polskocentryzm.

Zgłasza się do mnie nieraz ten lub ów wydawca na Zachodzie z zapytaniem, co powinno się wydać z nowości polskich, przy czym z reguły dodaje że ma na myśli takie utwory, które

mogłyby zainteresować również czytelnika nie-polskiego (1). I wtedy, przyznaję się, dość często mam kłopoty ze znalezieniem odpowiednich autorów i tytułów. Oczywiście — można by z góry nie przystać na kryteria zagranicznych wydawców (płynne i zawodne w praktyce, długo można by mówić na ten temat!). To byłaby postawa nie pozbawiona logiki. Ale czy nie lepiej się zastanowić nad przyczynami niepowodzeń?

Rzecz w tym, chyba jednak, iż przeważająca większość polskich pisarzy widzi i rozpatruje sprawy tego świata w perspektywie zbyt polskiej. To nie jest kwestia tematu. Skandynawowie w czasie rozkwitu swej literatury także nie pisali książek odwróconych plecami do własnej tradycji czy etnografii, ,,chemicznie czystych'', których sprawy rozgrywałyby się w narodowym vacuum; przeciwnie: utwory Hamsuna są głęboko zakorzenione w glebie ojczystej, ale mimo to (a może nawet dzięki temu) sprawy jego bohaterów podniesione są do rangi ogólnoludzkiej. Reymont napisał powieść o wsi polskiej, ale tak ją napisał iż zainteresowała wszystkich ludzi na świecie. Podobnie ma się rzecz z jakże rosyjską powieścią Pasternaka. Także i twórczość Saint-John-Perse'a, wołającego: ,,Francja jest dla mnie rodzajem świętym i jedynym, tylko poprzez nią mogę się zespolić z tym co powszechne'' — należy nie tylko do Francji.

,,Gorzki to chleb jest polskość'' — skarżył się Norwid. Ale wiedział, że bez tej swojskiej trampoliny nie ma skoku w niebo. W niebo takiej sztuki, którą najlepiej spełnił Chopin, ,,naczelny u nas artysta''. Norwidowska trasa lotu dla biało-czerwonego Pegaza: przez podnoszenie rodzimych natchnień do potęgi przenikającej całą ludzkość, przez żywioł ludowy i narodowy do uniwersalizmu — owszem: spotyka się z uznaniem potomnych, ale czy rzeczywiście robi dziś karierę na nadwiślańskim padole?

,,Trudno: jesteśmy skazani na hermetyzm — pisze mi przyjaciel z Warszawy — czasem przychodzi moda na Polaków (córka koniunktury, a więc przelotności) i wtedy możemy zaofiarować swój smutny 'egzotyzm'. Któż przebije barierę języka? Język, 'jedyna poety ojczyzna', *'der spirituelle Boden'* — jak mówi Goethe''...

Czy to tylko kwestia językowej przegrody? A może i — treści?

Dość dziwne, że chociaż inspiratorzy polityki kulturalnej w Warszawie tyle dzisiaj mówią i piszą o międzynarodowej solidarności, o wspólnych ideałach ludzi różnych ras i kolorów skóry, najnowsza literatura polska pod względem uniwersalizmu

---

(1) Drobny przykład. Przy układaniu antologii najmłodszej prozy europejskiej wywiązała się dyskusja nad utworami polskimi. I wtedy spostrzegłem, że utwory Mrożka (podobnie jak aforyzmy Leca) porywają cudzoziemców, gdyż zawierają przebłysk spraw bliskich różnym społeczeństwom, nie tylko naszemu, podczas gdy przy świetnej ,,Komendantowej'' Grochowiaka rozległy się głosy: ,,To sprawy zbyt wasze''.

nie może się równać z jej dziewiętnastowieczną poprzedniczką (nie mówiąc już o wieku XVI!). Romantyczni ,,obywatele całego świata'' (srodzy nacjonaliści w gruncie rzeczy) nie mieszkali w takim intelektualnym getcie jak ich dzisiejsi prawnukowie. A jeśli się pojawi jakiś utwór o ambicji wyjścia poza opłotki, brzmi nieszczerze jak deklamacja zbyt pojętnego ucznia.

Typowym przykładem takiej zaściankowości, przybranej w piórka rzekomego internacjonalizmu, jest u nas działalność pisarska Leona Kruczkowskiego, którego przedwojenne powieści o tradycyjnie polskiej tematyce jak walka z caratem czy protest przeciwko krzywdzie społecznej chłopów (,,Kordian i cham'', ,,Pawie pióra'') przyniosły mu zasłużoną reputację zdolnego powieściopisarza, natomiast wszystkie próby (może zbyt apriorycznie podejmowane?) napisania czegoś o tematyce ogólnoludzkiej nie przyczyniły się zbytnio do przysporzenia mu laurów dramatopisarza (,,Niemcy'', ,,Rosenbergowie'', ,,Pierwszy dzień wolności'', ,,Śmierć gubernatora''). Rekordowa ilość przedstawień od Władywostoku aż po Pragę jeszcze o niczym nie świadczy. Zawodne to kryterium. Jak *bestseller* w Ameryce. Poprawna humanistyczna retoryka tego typu szlachetnych usiłowań daje widzom i czytelnikom gwarancję, że nie czyha na nich żadna duchowa czy intelektualna przygoda, nie mówiąc już o jakiejś niespodziance formy artystycznej. Sztuka zaangażowana? *A la bonne heure!* Ale niechże przemawia do wyobraźni, do umysłu czy do emocji. Retoryka humanistyczna niektórych pisarzy 'socjalistycznych' przypomina pseudoklasycyzm, i to bynajmniej nie na miarę Alojzego Felińskiego.

Tu warto wtrącić, że mimo przytłaczającej przewagi tematów rodzimych w najnowszej literaturze polskiej, niecierpliwi planiści polityki kulturalnej nad Wisłą (o ileż jednak liberalniejsi i sympatyczniejsi od swoich kolegów w Sofii, Pradze czy we wschodnim Berlinie!) nie ustają w narzekaniach na rzekomy brak zainteresowania pisarzy polską tematyką współczesną. Jeszcze im mało! Niemal w każdym wstępniaku, szpecącym łamy czasopism literackich, rozlega się wołanie o powieść, sztukę teatralną, film z życia Polski dzisiejszej (,,czarna literatura'', oczywiście, nie wskazana). ,,Za wiele utworów o przeszłości, a za mało o teraźniejszości'' — powiadają suflerzy. Czyżby nie wiedzieli, że każdy utwór bez względu na temat jest manifestacją teraźniejszości? Że nawet ceniona w Polsce powojennej powieść historyczna Gołubiewa o Chrobrym jest funkcją dzisiejszego stosunku twórcy do przeszłości a więc *sui generis* zwierciadłem współczesności? (Trudno by sobie wyobrazić powstanie tej wizji Polski z początka jedenastego wieku bez doświadczeń polskich drugiej wojny światowej i przesunięcia granic państwa na zachód). Tak było i wczoraj, gdy nasi powieściopisarze mówiąc o starym Egipcie czy Rzymie, oglądali Ramzesa czy Nerona przez polskie okulary ówczesnych doświadczeń historycznych. Tak jest i dzisiaj: w znakomitej noweli Iwaszkiewicza o Anglii 17 wieku (,,Bitwa na równinie Sedgemoor'') pobrzmiewają echa

tragicznego powstania warszawskiego, a z powieści Andrzejewskiego ,,Ciemności kryją ziemię'' można sporo wyczytać o doświadczeniach polskich z lat ,,beriowszczyzny'', nie tylko o hiszpańskiej Inkwizycji.

Kiedy Sartre ogłosił swoje wrażenia z podróży na Kubę, po kawiarniach paryskich mówiono ironicznie, że łatwiej jest pisać o egzystencjalizmie niż o zagadnieniach kubańskich. Jak u nas: co nie jest polskie, nie bardzo się mistrzom i wicemistrzom pióra udaje. Tylko nielicznym pisarzom polskim w ostatnich latach udało się napisać coś wartościowego o sprawach nie-polskich a raczej nie tylko polskich. (Nowele włoskie Herlinga-Grudzińskiego). Większość takich usiłowań kończy się znamiennym niepowodzeniem. Te różne biegi do Fragala, wyprawy nad Czerwoną Rzekę, czy do ,,domu bez ścian'' — zazwyczaj nie dorównują bezpretensjonalnym reportażom Arkadego Fiedlera sprzed wojny. A co się jakiś rodzimy Livingstone weźmie do pisania książki o Afryce, już po kilku kartkach ogarnia nas niemiły domysł, że to autor ,,W pustyni i w puszczy'' *redivivus*, pogłębiony kilku artykułami Schaffa. Dlaczego taki E.M. Forster, jadąc do Colonos, widzi więcej od Polaka jadącego do Grecji? Czy tylko dlatego, że jest świetnym pisarzem? A może trapi nas jakaś wada organiczna? Może cierpimy na lęk przestrzeni? Jeśli polski prozaik odważy się przenieść akcję swego utworu za granicę, w obce środowisko, bierze ze sobą cały zwój ratunkowych linek: niedość że narrator lub bohater jest Polakiem, to jeszcze podejrzanie często dochodzi do ,,przypadkowych spotkań'' z rodakiem. W świetnym opowiadaniu Stryjkowskiego ,,Ruth'' (rzecz dzieje się w Jugosławii), odnajdujemy dość typowe zdanie: — ,,Pan też jest Polakiem? — spytał pan Ringel — okaże się na końcu, że wszyscy są Polakami''. No, i okazuje się. Aż za często.

Popularna dzisiaj w Warszawie i obsypywana nagrodami (z wyjazdem na Kubę włącznie) książka Brezy o Watykanie również może uchodzić za ilustrację naszej tezy o niebezpieczeństwie polskocentrycznego widzenia świata. (,,Pępkoidalnego'' — jak by rzekł Hostowiec). Mimo wielu pięknie napisanych kartek nie może ona poza Polską, od lat łaknącą plotek z obcego świata jak kania dżdżu, wzbudzić większego zaciekawienia, gdyż zawiera odkrycia od dawna nie będące na Zachodzie odkryciami, niepotrzebnie upstrzona jest ,,polonicami'' publicystycznej natury i nie bez pewnej słuszności zarzucono autorowi, że kolegium kardynalskie jawi mu się na kształt K.C. partii.

Polska jest krajem katolickim. Nie jest to tylko fakt statystyczny. (,,Demokracja ludowa rzymsko-katolickiego wyznania'' — pisała w okresie Października ,,l'Humanité'' z ironią). Opór kościoła przeciwko ideologii komunistycznej, to problem nr 1 Polski powojennej. Pobożność społeczeństwa, zwłaszcza w szerokich masach, jest dzisiaj bez porównania większa niż przed trzydziestu laty. A jednak...

A jednak czy można mówić o rozkwicie literatury katolickiej w Polsce? Chyba nie. Czy istnienie cenzury książek i wydawnictw dostatecznie tłumaczy to zjawisko? Myślę, że nie. Znamienne, że od ukazania się opowiadań Żukrowskiego i Szczepańskiego właściwie nie było ciekawszego debiutu. Polska literatura katolicka nie ma narybku. Zdolniejsza młodzież, zgrupowana wokół ,,Współczesności'', znajduje się poza jej zasięgiem. Nie można wreszcie nie zauważyć, że w czasie fermentu październikowego główną nosicielką buntu intelektualnego była jednak młodzież marksistowska.

Trudno czynić literaturze katolickiej w kraju zarzut, że nie wydała polskiego Mauriaca, (polskim Mauriac'iem nazywano u nas kiedyś autora ,,Ładu serca'', ale to było tak dawno, że chyba już nieprawda), Maritaine'a, Bernanosa czy Grahama Greene'a lub Evelyna Waugh. Można jej jednak postawić zarzut prowincjonalizmu. I chociaż grupa ,,Więź'' w Warszawie stale upomina że katolicyzm polski winien się raczej wzorować na modelu francuskim niż hiszpańskim, najpopularniejsi pisarze katoliccy w Polsce (*nomina sunt odiosa*) najchętniej zasklepiają się w tematyce hagiograficznej czy wręcz dewocjonalnej. Grupa ,,Więź'' otwiera okno na Zachód. Brawo! Przyswojenie polskim katolikom wyboru prac Emmanuela Mounier'a, Simone Weil czy Raisy Maritain godne jest pochwały. Ale potrzeba jeszcze wzrostu ambicji odkrywczych i twórczości własnej. Przy całym uznaniu dla K.U.L.-u nie sposób się oprzeć myśli, iż przydałoby się tam kilku katolickich Leszków Kołakowskich.

Ile to już u nas napisano trafnych uwag na temat ,,Polska i Zachód''! Nie nowe to spostrzeżenie, że nad literaturą naszą od dawna ciąży kompleks nieobecności w świecie. Psychoanalityk historii kultury miałby tutaj ręce pełne roboty. Piśmiennictwo nasze z ducha swego i rodowodu jest niewątpliwie europejskie. Trudno jednak powiedzieć żeby jego stosunek do reszty Europy był normalny i zdrowy. Dużą rolę odgrywają obciążenia atawistyczne, ciągle jeszcze niezaleczone wspomnienie rozbiorów, niefortunne położenie geopolityczne, stałe zagrożenie ciągłości kulturalnej i politycznej, brak swobód demokratycznych i pełnej niepodległości. Nie wolno zapominać, że w wieku 19-tym, tak ważnym dla rozwoju cywilizacji i kultury zachodniej, Polska nie figurowała na mapach świata, a literaturze polskiej przypadały zadania o których Irzykowski powiedział kiedyś z przekąsem: ,,Nasza biedna, patriotyczna *Mädchen für Alles''*. Paweł Hertz ma rację, gdy pisze dzisiaj: ,,Nasza historyczna literatura piękna była w istocie nie czym innym jak zamaskowaną publicystyką polityczną i historiozoficzną''. Kiedy inni cieszyli się rozkwitem nauki, kultury i sztuki, Polacy broniąc się przed germanizacją i rusyfikacją nakładali na swego Pegaza biało-czerwone chomąto.

Z tych też zapewne kolei losu bierze się w naszym społeczeństwie, także wśród jego luminarzy, chorobliwa wrażliwość na punkcie krytyki tego co polskie. (,,Kalanie gniazda''). I

olbrzymia fascynacja tematem ,,o samych sobie dla potomności''. Lechici, podobnie jak Germanie, są pod tym względem niepoprawni. (Notatkę dziennikarza włoskiego o nożownictwie w Nowej Hucie omawia się u nas pod tytułem ,,Antypolskie wystąpienie prasy włoskiej''). Anglikowi jest dość obojętne co o nim piszą za granicą.

Jeden z uczonych francuskich, który niedawno wrócił z podróży do Krakowa, nie mógł się nadziwić, dlaczego większość jego polskich rozmówców, profesorów uniwersytetu, przy każdej okazji podkreślała, że Polska należy do Zachodu. Deklaracje tego typu padały na tle renesansu Wawelu i gotyku kościoła Mariackiego. — ,,To dziwne — powiedział ów Francuz — dlaczego oni stale o tym mówią? Czyżby sami mieli wątpliwości? U nas, w Paryżu, nikt o przynależności do Europy nie mówi. My po prostu *jesteśmy* w Europie''. (Łatwo mu mówić! Nad Sekwaną nie wieją przeciągi ze Wschodu!). Już to i prawda, że w najmniejszej dziurze pod Lwowem czy Wilnem hoteliki nosiły dumną nazwę ,,Europa'', a świetny Boy-Żeleński, dzięki którego wysiłkom Wisła omal że nie stała się prawobrzeżnym dopływem Sekwany, nazwał kiedyś żartem Parandowskiego ,,starocerkiewnym humanistą z kompleksem europejskości''. Nigdy nie słyszałem, aby jeden pisarz francuski pisał o drugim pisarzu francuskim, że cierpi na ,,kompleks europejskości''.

Lata przymusowego odcinania kultury polskiej od jej zachodnio-europejskiego pnia, zapuszczenie żelaznej kurtyny stalinizmu nad Polską nie spustoszyło naszego życia umysłowego i nie ujarzmiło umysłów (czego się obawiał Miłosz w swoim studium), ale podobnie jak okupacja niemiecka pozostawiło pewne ślady na mentalności środowiska twórczego w ojczyźnie. Nic dziwnego. Za udział w walce i oporze, za przebywanie w atmosferze mobilizacji *intra muros* zawsze się płaci cenę. Płacą ją jednostki, społeczeństwa i ich sztuka.

Rozczytując się w utworach literatury pięknej, wydanych w Polsce powojennej, dostrzegam zjawisko, które można by nazwać ,,sarmatyzmem moralnym'', kompleksowe i samoobronne przekonanie o etycznej wyższości polskich pogorzelców i *survivers* nad innymi mieszkańcami tej planety, wyższości wyrastającej z sumy tragicznych doświadczeń ostatnich lat dwudziestu dwu. Nie czas tutaj i miejsce na podjęcie dyskusji, czy cierpienie rzeczywiście uszlachetnia człowieka i powiększa jego wiedzę o tym nie najlepszym ze światów. Czy rzeczywiście wiek męski, *l'age de raison,* osiąga się w wyniku klęski poniesionej lub przezwyciężonej?

Trudno jednak nie potrząsnąć głową z niedowierzaniem, gdy w zapiskach Adolfa Rudnickiego po powrocie z Wiednia natrafiamy na pogląd, że oni tam, za firankami, w rzęsiście oświetlonych mieszkaniach, bogaci i beztroscy, nie wiele mogą wiedzieć o życiu w porównaniu z n a m i . . . Podobnie czują i myślą bohaterowie opowiadań Tadeusza Różewicza w zbiorze ,,Przerwany egzamin'' (bodaj najciekawsza pozycja wydawnicza

r. 1960!). W doskonale napisanej, wręcz Hemingwayowskiej w swej drapieżnej zwięzłości i jaskrawej kondensacji noweli ,,W najpiękniejszym mieście świata'', polscy *survivors* uwikłani w swoich tragicznych, dla reszty świata nie zawsze zrozumiałych wspomnieniach i przeżyciach, po słowiańsku skłonni do psychicznego rozdziewku i *self-pity*, czują się w Paryżu jak w piekle. Przypominają się słowa Ortegi y Gasset'a: *The only sincere thoughts are those of the ship-wrecked.* Jest w tym utworze niewątpliwie prawda psychologiczna i artystyczna, ale — znamienna to postawa. Także i pisarz katolicki Stefan Kisielewski wraca z podróży na Zachód z ciężkim westchnieniem: cóż o n i tam wiedzą. N a s z e życie jest bardziej złożone a przez to bogatsze... Tam — filisterstwo. Nie twórczość, jeno spożywanie, nie rozwój, jeno eksploatacja.

Jakże ludzka to potrzeba, ta podświadoma chęć uznania dla ,,tego cośmy przeszli''. I ta ,,kompensacyjna'' chęć dorobienia aureoli cnót moralnych do jakże nie zawinionych przez nas sytuacji przymusowych. Gdyby się zagłębić w ten ,,pra-ił'' zawodów i rozgoryczeń narodowych, znalazłby się tam znajomy werset ze Słowackiego, wizytówka naszych myśli i uczuć patriotycznych: ,,Niechaj nas przecież widzą — gdy konamy''... I tyle, tyle smutku miłości nie odwzajemnionej!

Nawet pisarz tak doświadczony jak Iwaszkiewicz, mistrz noweli psychologicznej, w swoim ,,Wzlocie'', napisanym jako swego rodzaju wyzwanie rzucone ,,Upadkowi'' Camusa, także staje do licytacji tragicznych doświadczeń z ,,tamtymi'', na Zachodzie. Wyzwanie takie jest typowym przykładem, jakie nieporozumienia rodzą się z pokusy wymierzania światu sprawiedliwości z pozycji polskocentryzmu i sarmatyzmu moralnego. Młody, zawiedziony rozbitek, ofiara wojny i powojennych warunków życia w Polsce, chłopak z podeptaną młodością, przeciwstawiony jest bohaterowi Camusa. Jakby dla ,,konkurencyjnego'' wykazania: oto papierowy, abstrakcyjny przykład, a oto nasze nagie życie, piekło prawdziwe a nie literackie. Rzecz jednak w tym, że głęboko wstrząsający przypadek polski u Iwaszkiewicza, ta ,,polska droga do piekła'', tak się ma do moralnej przypowieści Francuza jak tragiczny wypadek uliczny do antycznej tragedii. Konflikt moralny u Camusa, jego metafora z filozoficznym dnem, rozegrać się mogą zawsze i wszędzie, posiadają swój odwieczny trzeci wymiar, i dlatego silniej obchodzą ludzi na świecie niż los polskiego *desperado,* ofiary określonych warunków społecznych i politycznych. I choćby tysiące młodych Polaków dotknęły stopą piekieł (a wiemy, że tak było naprawdę), w świecie sztuki, rządzącym się własnymi prawami, doświadczenia te wymykają się spod ,,licytacji'' czy ,,konkurencji''. Mogą natomiast stanowić interesujący materiał historyczny czy socjologiczny.

Nikt z nas nie zaprzeczy, że autorka ,,Dymów nad Birkenau'' przeżyła piekło na ziemi. Wstrząsający dokument. A jednak to, co się dzieje na innej kondygnacji i w zupełnie innym

wymiarze: w świecie stworzonym i zdeformowanym przez urzędnika towarzystwa ubezpieczeń w Pradze, Franza Kafkę, o dziwo, wstrząsa wielu ludźmi na świecie silniej niż nasze krwią i łzami pisane raporty, i nic na to, pokrzywdzeni, nie poradzimy. Byłoby jednak dziwactwem wołać z waszecia: ,,Cóż on, który nie przeżył tego co my, może wiedzieć o świecie i życiu?''. Jest tyle różnych księstw ciemności, śmierci i rozpaczy. Nie każda podróż do piekieł jest prawnie zastrzeżona dla Polaków.

Co więcej: większość pisarzy polskich — świadków i stenografów historii (tak w Kraju jak i na obczyźnie), którzy swoje bolesne doświadczenia próbowali przybrać w kształt mogący zapewnić im trwałość, a więc przełożyć je na język sztuki, nie zdołała się wywiązać z trudnego zadania, i na niewiele się tutaj przydaje okrzyk warszawskiego poety: ,,Nie mówcie mi o piekle Dantego! W porównaniu z gettem Warszawy, to tylko igraszka średniowiecznych teologów!''.

Jedni zeznawali szeptem (Jastrun, Miłosz, Różewicz). Inni półgłosem (Rudnicki w ,,Czystym nurcie''). Jeszcze inni ochrypłym krzykiem (Borowski). Wielu nie pamiętało o mądrej przestrodze Brechta: ,,I nienawiść do nienawiści wykrzywia twarz. I gniew w słusznej sprawie zdziera głos''. Dzieło artystyczne na miarę tego, co Polacy przeżyli w ciągu ubiegłych lat dwudziestu, jeszcze nie powstało i nie wiadomo czy kiedykolwiek powstanie. Zachowało się natomiast bogate archiwum literackich dokumentów krzywdy ludzkiej z lat obydwu nocy. (Dzieło sztuki o doświadczeniach w Rosji sowieckiej powstało, rzecz zrozumiała, poza granicami Polski. Mam na myśli ,,Inny świat'' Herlinga-Grudzińskiego, świadomie nawiązujący do ,,Zapisków z martwego domu''. Odczytałem niedawno na nowo ,,Ciemność w południe'' Koestlera i ,,Inny świat''. Koestlera odczułem jako coś zbyt skonstruowanego, wydrążonego przez czas; w rozmowach Rubaszowa i Gletkina po raz pierwszy uderzyła mnie teatralizacja).

Niezły znawca współczesnej literatury amerykańskiej, Politzer, uważa że nie docenia się roli tych *expatriates,* którzy odwzajemniając się Kolumbowi, odkryli Europę i dzięki temu nie tylko wyzwolili Amerykę z jej kontynentalnej izolacji, ale wprowadzili ją do literatury światowej. Gdyby tych kilku amerykańskich pisarzy nie poczuło się któregoś dnia we własnym domu cudzoziemcami lub wręcz wygnańcami... Nam, Polakom, historia dostarcza takich sposobności pod dostatkiem. Czyż podobne wyrywanie sztachet z rodzimego płotu i rozbieranie cegieł z zaściankowego muru — nie przypada i dzisiejszym polskim *expatriates* w udziale?

Conrad, jak pisze Francuz Mayoux, właśnie z potrzeby porzucenia upokorzonej i uciśnionej ojczyzny rzucił się w przygodę ducha i znalazł swoje wyzwolenie w sztuce. Może właśnie z tego porzucenia wzięła się jego obsesja wierności? Jakże typowym dla polskocentryzmu nieporozumieniem było wystąpienie Orzeszkowej przeciwko Conradowi, jej krótkowzroczny

protest przeciwko rozgrzeszaniu pisarzy wywożących swe talenty za granicę! (Nawiasem mówiąc: nie trudno sobie wyobrazić dalszej twórczości Mickiewicza nie wyjeżdżającego z Wilna w świat czy też Słowackiego do śmierci gnuśniejącego nad Ikwą: naszemu niebotycznemu Parnasowi przybyłoby dwóch lepszych Wincentych Polów. Krasiński zaś, miast ,,Nieboską Komedią'', obdarzyłby nas pewnie czwartym i piątym tomem swej powieści o Władysławie Hermanie).

Radują się niektórzy, że mamy wreszcie państwo jak się patrzy narodowe: z minimalnym procentem mniejszości. Innowierców też trzeba szukać ze świecą. Ujednoliceniśmy — że ho! Nie widzę powodu do radości. Kultura polska, to szeroko rozlana rzeka, do której przez stulecia tyle różnych wpadało dopływów. — ,,Nie przesadzajmy — mówi na to mój znajomy — te dopływy najczęściej zamącały czystość Wisły. A już Żydzi zawsze mieli ciągoty kosmopolityczne''...

,,Kosmopolita'' — to nie brzmi w Polszcze dumnie. Oskarżyciele na rozprawach samosądowych z grymasem zawodowego niesmaku na ustach zwykli jeszcze dodawać: ,,Bezojczyźniany odszczepieniec!''. Niemal coś tak nikczemnego jak ,,pacyfista''. ((Goebbels o pisasarzach-emigrantach: *Vaterlandsloses Gesindel!*).

W przeciwieństwie do Anglików nie znamy uczucia ksenofobii, na naszych sztandarach niejednokrotnie wypisywaliśmy ,,Za waszą wolność i naszą'', a jednak do wszystkich haseł ponadnarodowego braterstwa i ogólnoludzkiej wspólnoty odnosimy się z podejrzliwością i znaczną rezerwą. Czy dlatego, że głoszą je nieraz krzykacze nie zasługujący na zaufanie? A może to nieufność, zrodzona z instynktu samoobrony? Nawet najwybitniejsze umysły wierzą u nas święcie, że bez spójni narodowej (posiadającej, nota bene, swoją mistykę) czeka człowieka w świecie zguba. ,,Naród'', to cudowna tratwa ratunkowa na której unosimy się nad ziejącymi śmiercią głębiami oceanów. A kto mówi o czymś, co ma być ponadnarodowe czy ogólnoludzkie, tym samym daje do zrozumienia, że tylekroć razy wypróbowaną spójnię narodową uważa za coś zbytecznego, za przeżytek, a więc chce ją osłabić lub rozerwać... Wara! (W tym miejscu komunistyczny prokurator i antykomunistyczny Polak-patriota, każdy ze swej ,,pozycji'', podają sobie rękę. ,,Bezojczyźniany renegat'', to ich wspólny wróg). Nawet religia katolicka czyli powszechna jest u nas najczęściej tylko *środkiem* do zachowania narodowej wspólnoty, obręczą na beczce polskości. (Byłoby niewybaczalnym bluźnierstwem pomawiać kogokolwiek w ojczyźnie o brak pełnej dojrzałości kulturalnej, ale czy można sobie wyobrazić — w takim czy w innym ustroju — ukazanie się w Warszawie powieści ,,wrogiej'' wobec Narodu, Państwa, Kościoła, Partii, Żołnierza-Bohatera, Robotnika-Bojowca, Orła Białego w Koronie lub z Gołą Głową, Matki-Polki, Wielkiego Sojusznika, Emilii Plater, Hanki Sawickiej, Odwiecznie Polskiego Kopernika, Królowej Jadwigi, Wisły, Millenium, Flagi — razem wziętych? Nawet gdyby taka sroga *bellum contra*

omnes była arcydziełem sztuki? Antykonformiści pierwsi stanęliby dęba. Biskupi, generałowie, sekretarze partii, dewotki jasnogórskie i partyjne Passionarie, profesorowie-liberałowie, ubecy i akowcy, hallerczycy i alowcy, hrabiowie i kołchoźnicy — każdy by szedł palić to heretyckie ścierwo, za obrazę ,,swojej'' świętości. Są jednak takie kraje na świecie, gdzie nie myli się ze sobą krytyki literackiej z katechizmem, kodeksem karnym czy regulaminem służby wojskowej).

Przy pełnej pielęgnacji pierwiastków rodzimych (bez których nie byłoby ,,Pana Tadeusza'' ani ,,Nad Niemnem'' ani ,,Chłopów''), przy całej trosce o zachowanie regionalnych źródeł inspiracji (coraz poważniej zagrożonych przez rozwój cywilizacji technicznej) literatura nasza powinna się bronić przed prowincjonalizmem. Wybitniejsi lokatorzy na naszym Parnasie nie spoglądali na świat kultury i sztuki przez dziurkę w polskim płocie, ale z lotu nie uznającego granic ptaka. Trzeba się bronić przed przeżuwaniem wiecznie tych samych chojractw i dogadzaniem swojskim gustom. Przed bogo- czy partio-ojczyźnianą krzepą i samochwalstwem. Przed patriotyczną blagą i tanim dydaktyzmem. Przed nieuctwem i mętniactwem. Przed zmową miernot. Przed kryteriami z niedzielnej szkółki dla Chunchuzów. Przed tuzinami ulgowych taryf. (Przywykło się u nas, na przykład, grafomanów, którzy strzegli polskości na Śląsku czy Mazurach przed germanizacją, nazywać ,,poetami''; szantaż patriotyczno-narodowy jest tak silny, że wielu ludziom wydaje się iż nazwanie zjawiska po imieniu ,,godzi'' w samą sprawę polskości tych ziem. Albo: za ostra krytyka ,,Krzyżaków'' uchodzi za czyn nie obywatelski. I tak dalej). Właśnie czytam w ,,Twórczości'' (4/61), że powieściopisarze mogą wygrać 75,000 złotych na nowej patriotycznej loteryjce: konkurs Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i Związku Literatów Polskich na powieść współczesną, ,,podejmującą problematykę przemian, zachodzących w okresie budownictwa socjalistycznego w naszym kraju, ze szczególnym uwzględnieniem przemian zachodzących na wsi i udziału ludzi pochodzenia wiejskiego w całokształcie życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego Polski Ludowej''. Mój Boże...

Biedna ta nasza literatura. Wenus z Milo? Nie! Z Milanówka.

Trzeba się bronić przed zaściankiem, czy to będzie zaścianek szlachecki Dobrzyn czy też socjalistyczna Werblanówka. Zaściankowość, to nie tylko nieustanna krzątanina wokół swego partykularza, radość smażenia się we własnym sosie, obrócenie się plecami do reszty świata (,,Drzwi od Europy zamykać hałasów...''). Z ciasnoty, z niskiego pułapu i braku skali porównawczej, z niewypuszczania ludzi za granicę, z nieznajomości obcych języków, z tego naszego kultu wiedzy ,,o wszystkim i o niczym'' rodzi się jeszcze bezkrytyczny podziw dla pierwszej lepszej tandenty importowanej z zagranicy, skrzywiony obraz obcych literatur i prądów intelektualnych, niedorzeczne

gorliwości neofickie, odkrywanie Ameryk po stokroć już odkrytych i tyle różnych nieporozumień przywodzących na myśl pochopność owego Radulfusa z końca wieku XIII, który w czasie studiów nad Biblią wziąwszy łacińskie słowo *nemo* (nikt) za imię własne, ba — za imię święte, założył był nową sektę — *Neminiana secta.* (W takim Monachium, na przykład, uważającym się za ,,bawarskie Ateny'', prowincjonalizm przejawia się w ten sposób, że niemal każda powieść ,,ostatnio wydana w Paryżu'', jeśli wierzyć recenzentom, jest ,,znakomita'' a sztuczydła trzeciorzędnych dramatopisów zagranicznych z reguły są lepsze od nienajgorszych sztuk napisanych przez tubylców. Póki Schmidt nie stanie się Smithem a Sepp obcym Giuseppe...).

Wróćmy do tematu. Przyszły badacz naszej literatury nie będzie mógł pominąć dość różnorodnej pod względem poziomu i przesyconej pierwiastkiem publicystyki politycznej twórczości lat fermentu przed — i październikowego (Ważyk, Brandys), buntu oszukanego pokolenia (,,Okrutna gwiazda'' Woroszylskiego, przypowieści filozoficzne Kołakowskiego, niektóre opowiadania Hłaski), słowem: tego ,,trzęsienia ziemi'', gdy ,,Stalin umarł po raz drugi'', ale rodzimym staliniątkom nie spadł włos z głowy.

Być może, że do tego epizodu w dziejach naszego piśmiennictwa, chociaż rozszedł się po świecie echem wręcz nieproporcjonalnie głośnym do natężenia wydanego krzyku i wzmógł zainteresowania Polską i jej kulturą w skali nie znanej bodaj od zwycięstwa Jana III pod Wiedniem czy też wymarszu ,,tysiąca walecznych'' z polistopadowej Warszawy (*Polenlieder*), przyszły historyk literatury odniesie się bez uniesienia i większość utworów skataloguje na równi z dokumentami okresu Sejmu Czteroletniego. Słowa Norwida, które Andrzejewski obrał za motto swej powieści o roku 1945:

,,Gorejąc nie wiesz, czy stawasz się wolny,
czy to co twoje, ma być zatracone?
Czy popiół tylko zostanie i zamęt?''...

— mogą również poprzedzać rzecz o ,,wiośnie pośród jesieni''. Ale kiedy w Warszawie napisano: ,,Widmo hula po Europie Środkowej i Wschodniej, widmo humanistycznego, ludzkiego socjalizmu'', wówczas wytarty slogan-napiwek Roosevelta o ,,natchnieniu narodów'' nabrał nowej treści. Wsłuchiwano się w nowinki z Polski, jak by stamtąd miało przyjść światło dla milionów. Wybuchła moda na Polskę, jej kulturę, naukę i sztukę. Ktokolwiek sporządza bilans tego okresu, ze zdumieniem spostrzega, że w samym sercu Europy odkryto krainę, która wprawdzie istniała tam od niepamiętnych czasów, ale niezawsze chciano o niej słyszeć. Sam fakt, że plemię tam osiadłe, chociaż z usposobienia krnąbne i krewkie, tym razem nie sprawiło nikomu na Zachodzie kłopotu (w odróżnieniu od Węgrów), wydał się godny pochwały.

Bunt polskich intelektualistów był zrywem z ograniczoną odpowiedzialnością. Miał w sobie więcej z ruchu moralnego, z potrzeby zbiorowej i indywidualnej rehabilitacji („Któż z nas nie jadł tej żaby?" — rozległ się okrzyk na sejmiku literatów) niż z kampanii politycznej. Wołanie o przywrócenie elementarnej ludzkości w życiu zbiorowym, o prawo do samodzielnego myślenia, o swobodę badania i tworzenia, o wydobycie człowieka z pętli kłamstwa, mitologii i dogmatyzmu — nie były to postulaty ani nowe ani zbytnio wygórowane. O październikowej myśli filozoficznej, społecznej czy gospodarczej z pewnością napisano na Zachodzie sporo rzeczy na wyrost. A jednak znaczenie tego epizodu, który bynajmniej nie zakończył się porażką, jest duże. Nietyle ze względu na jego dorobek czy siłę fatalną. Ważne, że raz jeszcze ujawnił się największy atut naszej literatury, jej szczery i głęboki humanizm.

Pesymiści, którzy podczas lektury „Pisarza i partii", „Ody do maszynisty parowozu historii", „Listu do Prezydenta", „Towarzyszom z Bezpieczeństwa", „Soso", „Traktory zdobędą wiosnę" i tym podobnych arcydzieł sądzili, że nieboszczyca-literatura piękna, zhańbiona córeczka Jaira, nie dźwignie się już z socrealistycznego sarkofagu barbarii i wiecznego sromu, omylili się. Odwaga nie potaniała i rozum podrożał. Dużym poparciem dla wystąpienia młodzieży była postawa garstki ludzi obdarzonych autorytetem moralnym i pisarskim (zachowanie takiego autorytetu pośród stalinowskiego zaćmienia słońca, to fenomen któremu zbyt mało poświęca się uwagi). Jeden z cudzoziemców po powrocie z Warszawy nazwał Marię Dąbrowską *Lady Conscience*. (W jej „Conradowskim pojęciu wierności" czytamy: „Bez sankcji, bez powinności, bez nadziei nagród i bez obawy kar mamy być moralni z samego poczucia odpowiedzialności za los własny i los drugiego człowieka"). Dowody odwagi cywilnej, która, podobnie jak tchórzostwo, działa zaraźliwie na otoczenie, dali liryk Antoni Słonimski i krytyk Jan Kott („Janko Ryzykant"). Październikowcy doczekali się również wsparcia ze strony dawnych faworytów rodzimej żdanowszczyzny. Niektórzy z nich chadzają w mniej lub więcej zasłużonej glorii Janów Chrzcicieli „odwilży". „Obrona Granady" i „Matka Królów" niewątpliwie odegrały swoją rolę w procesie osłabiania „królestwa gipsowych figur" (jeśli wolno się posłużyć przenośnią z wiersza Jastruna). Nie brak głosów utrzymujących, że główna zasługa Brandysa leży w samym sprowokowaniu dyskusji: czy jego utwory rzeczywiście służą rozprawie z systemem czy też stanowią zawoalowaną próbę obrony „heroicznego oportunizmu" niektórych intelektualistów? Brandys również należy do pisarzy polskocentrycznych. Ilekroć próbuje przenieść swoje zainteresowania poza opłotki spraw nurtujących środowisko twórcze w Warszawie, w jego prozie pojawia się szelest martwego papieru. Ten sejsmograficznie uczulony kronikarz spraw rozgrywających się między określonymi południkami naszego kontynentu, z podróży do Włoch przywozi kartki prozy

niby to o Włoszech (Bielatowicz i Międzyrzecki znają się na tym lepiej), ale w gruncie rzeczy wyziera z nich przysłowiowe słoniątko z nieodłączną sprawą Polski. Opowiadanie o Niemcu, przestępcy wojennym, chociaż chwalone przez krytykę (ach, jakże chętnie ludzie chwalą się nawzajem nad piękną rzeką Wisłą!), robi wrażenie mozolnego wypracowania polskiego literata na temat Niemca, przestępcy wojennego.

Zdumiewające, jakimi *clichés* posługuje się większość rodaków, piszących o zachodnim sąsiedzie. W niektórych wypadkach obowiązują jeszcze prototypy z ,,Wiatru od morza'', ów Otto Graf von Arffberg-Dusemer i jego recytująca nekroerotyki Novalisa, nieszczęśnica ze złego Ibsena. Ale to jeszcze pół biedy. Gorzej, gdy stykamy się z powielonym egzemplarzem Monsieur Verdoux, mordercy miłującego muzykę i wąchającego róże. Lub ,,intelektualisty-rezonera''. (Sporo przekręconych cytat z Nietzschego). A gdy się czasem pojawi ,,dobry'' Niemiec, to już taki ,,dobry'' że nic — tylko go żywcem beatyfikować, ale gdy nadarzy się okazja namalowania portretu złego Niemca... no, dostaje on za swoje! (Mówię — bom smutny i sam pełen winy). Inną formą odwetu za zbrodnie niemieckie jest (wręcz nagminny) zwyczaj pastwienia się nad chętnie przytaczanymi zdaniami w języku niemieckim (,,koloryt lokalny''). Szczególny talent w tym kierunku wykazał autor ,,Zimowych kwiatów''. Także i twórcy ,,Najeźdźców'' przydałby się korepetytor.

A sąsiad z drugiej strony? Znamienne, że chociaż tyle się mówi i pisze o przyjaźni polsko-radzieckiej, ,,pogłębiającej się z roku na rok'', powojenna literatura polska nie może się poszczycić ani jednym udanym świadectwem artystycznym tej przyjaźni, co by przyznawało rację tym, którzy twierdzą że istnieje współzależność między prawdą artystyczną a polityczną. (Pogląd zresztą niesłuszny: dość przypomnieć, że powieść Newerlego o robotnikach włocławskich, utkana z ćwierćprawd politycznych, jest raczej udanym utworem literackim. Także i powieść Andrzejewskiego ,,Popiół i diament'', zbudowaną na bardzo kruchym fundamencie prawdy politycznej, zaliczyć można do świetniejszych osiągnięć prozy polskiej w minionym dwudziestoleciu).

Nawet nieliczni pisarze komunistyczni, nazywający na akademiach ku czci Lenina komunizm sowiecki ,,natchnieniem'', wolą unikać tematu ,,radzieckiego'' w swojej twórczości. Owszem, jest sporo makulatury z ,,minionego okresu'', zwłaszcza w dziedzinie reportażu, ale nie znamy ani jednego prawdziwego dzieła literackiego w Polsce dzisiejszej o którym można by powiedzieć, że powstało z inspiracji ,,przodującej ideologii świata''.

Ostatnim pisarzem polskim, który naprawdę był szczerze zafascynowany tym, co się działo w Rosji, był zmarły w r. 1925 Stefan Żeromski. Większość tych, którzy próbowali na ten temat pisać w Polsce po Żeromskim, powiększyła i tak już pokaźne grono kolekcjonerów porażek artystycznych. Na próżno wołano

u nas o „polskiego Gorkiego", o „polskiego Majakowskiego" czy „polskiego Szołochowa" (był nim w pewnym sensie Sienkiewicz, chociaż napisał „Ogniem i mieczem" na dwanaście lat przed przyjściem na świat autora „Cichego Donu").

Gdybym był ministrem kultury i sztuki w Warszawie (na co się chyba nie zanosi), nie byłbym zbytnio szczęśliwy z powodu tego „bojkotu" wschodniego sąsiada przez literaturę polską. Bojkot ten (podobnie jak niechęć młodzieży do rusycystyki) nawet dla zaciekłych antykomunistów nie powinien być źródłem złośliwej satysfakcji. W interesie naszej kultury leży, by interesowała się całym światem. I Zachodem. I Wschodem.

Jeśli prawdą jest, że świat zrasta się a granice stają się przeżytkiem, może nieźle by było, aby to, co powiedziano niegdyś o Conradzie: *He is the Interpreter of one half of Europe to the other* — odnosiło się również do naszej literatury.

Tadeusz NOWAKOWSKI

W labiryncie ideologii

„The university man is almost unavoidably a teacher, by precept and example, but he can not without detriment to his work as scientist and scholar serve as a taskmaster or a vehicle of indoctrination".
(Thorstein Veblen, *The Higher Learning in America*)

„It is true in culture as in optics that if you hold a large object close to your nose, it will blot out the sun, moon, and stars. But that is the very reason why large objects should be viewed from a proper distance. We must work for perspective, under pain of never seeing more than one thing at a time, like infants with feeble grasp and unfocused eyes... If the modern mind takes pride as it does in being discriminating, it is not enough that it should de hard to please in little things. The big ones are occasionally important too".
(Jacques Barzun, *Derwin, Marx, Wagner,* Preface to the second edition)

Adam Schaff urodził się we Lwowie w 1913 roku. Po ukończeniu wydziału prawa i ekonomii w Uniwersytecie Jana Kazimierza kontynuował studia w Paryżu *w Ecole des Sciences Economiques et Politiques*. Od wczesnej młodości należał do Komunistycznego Związku Młodzieży, a później do Komunistycznej Partii Polski (KPP).

Zainteresowania filozoficzne Schaffa wyrosły z jego działalności politycznej, drogi do filozofii wiodły przez lekturę dzieł Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. One uformowały jego sposób myślenia i zasadnicze poglądy. *„The man of action has to believe, the inquirer has to doubt"*, pisał Charles S. Peirce. Filozofia podporządkowana wymaganiom politycznego myślenia ma tendencję, by traktować kartezjańskie wątpienie jako artykuł zbytku, który nie sprzyja konsekwentnemu i wytrwałemu działaniu. Prowizoryczne supozycje podnosi do rangi niewzruszonych zasad oraz uwalnia je od konfrontacji ze światem doświadczenia i z wymaganiami racjonalnego krytycyzmu, jakie mo-

głyby zachwiać wiarą w słuszność założeń lub osłabić skuteczność działania.

Oficjalna doktryna Partii Komunistycznej nosiła wówczas miano leninizmu-stalinizmu. Schaff, który w okresie Drugiej Wojny Światowej znalazł się w Rosji Sowieckiej, studiował leninizm-stalinizm w Instytucie Filozofii Akademii Nauk ZSRR. W 1941 roku otrzymał stopień kandydata nauk i w 1944 stopień doktora. Polska wersja jego pracy doktorskiej pt. *Pojęcie i słowo* ukazała się w 1946 roku nakładem ,,Książki'' (1).

Po zakończeniu działań wojennych Schaff wykładał w Centralnej Szkole Partyjnej PPR w Łodzi oraz był profesorem nadzwyczajnym współczesnych doktryn ekonomicznych na wydziale prawno-ekonomicznym Uniwersytetu Łódzkiego. W tym okresie działalności opublikował *Pogadanki ekonomiczne*, popularny wykład ,,marksistowskiej'' ekonomii politycznej, jedyną publikację ekonomiczną, która wyszła spod jego pióra. Lecz studia w Instytucie Filozofii Akademii Nauk ZSRR przeznaczały go do innej roli. W 1948 roku Minister Oświaty powołał go na katedrę filozofii, specjalnie w tym celu stworzoną, na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Była to pierwsza katedra leninizmu-stalinizmu w Polsce (2).

Po przeniesieniu się do Warszawy Schaff zajął czołową pozycję wśród partyjnych teoretyków i ideologów oraz komenderował, jak wówczas mówiono, na ,,froncie filozoficznym''. Gdy po tzw. kongresie zjednoczeniowym *Myśl Współczesna* została przeszkształcona z czasopisma niezależnego w trybunę leninizmu-stalinizmu, Schaff objął funkcję redaktora naczelnego. Wkrótce wszystkie periodyki filozoficzne, psychologiczne i socjologiczne przestały się ukazywać, a w ich miejsce powstała *Myśl Filozoficzna*, ,,centralne czasopismo filozoficzne w Polsce'' i jednocześnie ,,placówka wyraźnie marksistowska''. Schaff został redaktorem naczelnym *Myśli Filozoficznej* i na jej łamach prowadził systematyczną akcję upowszechniania leninizmu-stalinizmu, zwalczał ,,współczesną rozkładową filozofię imperialistyczną'', źródło ,,wszystkich obskuranckich i ludobójczych doktryn'', a w szczególności polską tradycję filozoficzną szkoły lwowskiej i warszawskiej hołdującą ,,akademickiej obiektywności''. Schaff był jednym z współautorów referatu przedłożonego Kongresowi Nauki Polskiej (1951), w którym filozofia i nauki społeczne poddane zostały krytyce z punktu widzenia partyjnej ideologii. Jedna z ważnych konkluzji tego referatu głosiła, iż jedynie leninizm-stalinizm jest skutecznym narzędziem socjalistycznej przebudowy świadomości społecznej, a inne kierunki i

(1) Dom wydawniczy ,,Książka'', później ,,Książka i Wiedza'', powołany został do życia przez PPR z zadaniem upowszechniania ,,filozofii marksistowskiej'', w szczególności przez wydawanie przekładów dzieł tzw. klasyków marksizmu.

(2) Obecnie nosi ona miano katedry filozofii i wchodzi w skład wydziału filozoficznego.

szkoły myślenia bądź ją opóźniają bądź hamują. Muszą więc być ,,przezwyciężone'', gdyż obiektywnie reprezentują burżuazyjną reakcję na rewolucyjny ruch robotniczy i jego ideologię. ,,Filozofia marksistowska'', pisał Schaff, ,,właśnie dlatego, że świadomie stoi na pozycjach proletariackiej klasowości, daje obiektywne odbicie praw rządzących rzeczywistością i jest w naszej epoce najwyższym wyrazem naukowej obiektywności''. Schaff był autorem programu działania opartego na tej ocenie i sformułował ,,zadania frontu ideologicznego'' na najbliższe lata. W ramach tego programu, którego główną funkcją miało być utrwalenie i obrona nowej bazy ekonomicznej, psychologia i socjologia przestały na kilka lat istnieć, a w filozofii leninizm-stalinizm odniósł całkowite zwycięstwo, tzn. zyskał pozycję monopolistyczną dzięki zastosowaniu środków administracyjnego przymusu. Po śmierci Z. Modzelewskiego Schaff objął rektorat Instytutu Nauk Społecznych, uczelni partyjnej o prawach akademickich, której zadaniem było kształcenie kadr naukowych zdolnych o własnych siłach, bez ingerencji cenzury i władzy ludowego państwa, utrzymać monopol leninizmu-stalinizmu. W 1956 roku wychowankowie INS boleśnie zawiedli pokładane w nich nadzieje. Schaff nie miał szczęśliwej ręki jako wychowawca młodego pokolenia. Po powołaniu do życia Polskiej Akademii Nauk Schaff został członkiem korespondentem PAN, wyprzedzając innych zasłużonych i znanych filozofów, oraz stanął na czele Komitetu Filozoficznego. Po przekształceniu Komitetu Filozoficznego w Instytut Filozofii i Socjologii (1956) Schaff został dyrektorem Instytutu.

Niezależnie od swych obowiązków akademickich i ideologicznych Schaff bierze udział w politycznej działalności Partii, jest członkiem KC PZPR i zasiada w różnych partyjnych komisjach. Wreszcie jest niezwykle płodnym pisarzem. W okresie 1945-1960 ogłosił sześć książek, kilka broszur popularnych i polemicznych, oraz kilkadziesiąt artykułów. Z jego nazwiskiem spotykamy się niemal w każdej dyskusji publicznej na tematy kulturalno-społeczne i w każdym partyjnym sporze ideologicznym. Schaff jest człowiekiem o niespożytej energii, podziwu godnej pracowitości i wielkiej łatwości pióra, a szczerość z jaką niejednokrotnie pisze wzbudzałaby prawdziwe uznanie, gdyby nie przeciwważyły jej niedomagania formalnej i merytorycznej natury.

Schaff nie wykazuje należytej dbałości o staranne definiowanie pojęć, o usunięcie nieokreśloności i wieloznaczności terminów, często czyni użytek ze zwrotów metaforycznych i obrazowych. Przesłanki budowane przy pomocy takich terminów dziedziczą nieokreśloność i wieloznaczność występujących w nich wyrażeń. Ponieważ Schaff opiera się na niezanalizowanych założeniach, wywieść z nich można różne konkluzje stosownie do sensu jaki się nada przesłankom rozumowania. Przesłanki tak sformułowane, iż mogą mieć kilka różnych znaczeń, nie uzasadniają twierdzeń, o których słuszności dany wywód ma nas prze-

konać. Brak jest im bowiem należytego powiązania logicznego. Te niedomagania dają się czytelnikowi tym dotkliwiej we znaki, iż w publikacjach Schaffa występują dwie rywalizujące i niezgodne z sobą postawy myślowe — postawa filozoficzna i ideologiczna. Te dwie postawy dyktują różne metody postępowania i różne reguły uznawania twierdzeń. Na skutek tego dyrektywy racjonalności i krytycyzmu, jakimi kierujemy się w myśleniu filozoficznym, popadają w konflikt z wymogiem skuteczności ze względu na określone i uznane cele, któremu podlega myślenie ideologiczne.

Źródła niezgodnych z sobą postaw i sposobów postępowania szukać trzeba w samym marksizmie-leninizmie. Marksizm-leninizm spełnia dwie funkcje. Z jednej strony twierdzi się, że jest ideologią partii politycznej lub światopoglądem klasy robotniczej, z drugiej każe się go traktować jako autentyczną szkołę filozoficzną. Jako ideologia zbudowany jest dogmatycznie, ogłasza pewne poglądy jako niewzruszone, nieodwołalne w sensie metodologicznym i z nich wyprowadza w sposób mniej lub bardziej dowolny różnorodne tezy o świecie, człowieku, społeczeństwie, nauce, kulturze, ich roli w rozwoju społecznym. Czy przy określonym ciśnieniu i temperaturze woda, substancja ciekła, nie zmienia się nagle w lód, ciało stałe, a w innych warunkach w parę, stan lotny? A więc przechodzenie od powolnych zmian ilościowych do gwałtownych zmian jakościowych jest prawem rozwojowym całej rzeczywistości, a zmiany w postaci przeskoków od jednego stanu do innego rządzą także rozwojem społecznym. A więc rozwój społeczny dokonuje się przez rewolucję. ,,Pozytywne badania naukowe'' ponoć na każdym kroku łamią zasady tradycyjnej teorii ewolucji w świecie materii nieorganicznej i organicznej, istot żywych i ludzkich społeczeństw. Nie wszystkie twierdzenia ideologii marksistowsko-leninowskiej grzeszą w sposób tak jawny dogmatyzmem, jak to ma miejsce w wypadku wspomnianego dialektycznego ,,prawa Natury''. Albowiem dogmatyzm polega nie tylko na uznawaniu twierdzeń nie posiadających żadnego racjonalnego uzasadnienia, ale również na przypisywaniu prowizorycznym supozycjom charakteru twierdzeń niewzruszonych i nieodwołalnych, na identyfikowaniu naszego zainteresowania w ich prawdziwości z walorem poznawczym i na przypisywaniu im stopnia konfirmacji jakiego sposób uzasadnienia nie dopuszcza. W ideologii logiczna niespójność dwóch twierdzeń nie stanowi nieprzezwyciężalnej obiekcji uznania obu i nie wyklucza ich przyjęcia łącznie, jeżeli oba są użyteczne. Wprawdzie ,,pozytywne badania naukowe'' wykazują, iż nagłe i rewolucyjne zmiany są uniwersalnym ,,prawem Natury'', lecz marksizm-leninizm również dopuszcza przechodzenie zmian ilościowych w nowe jakości na drodze ewolucyjnej i ,,pokojowej'', jeżeli tego wymagają szczególne okoliczności. Albowiem kryterium uznania pewnego ideologicznego przekonania nie jest jego logiczna zgodność z innymi przekonaniami i zgodność z rzeczywistością, lecz kryterium pragmatyczne skuteczności ze wzglę-

du na przyjęte cele i ideały społeczne. Gdy ideolog odwołuje się do praw dialektyki, dialektyka nabiera substancjalności ludzkiej osoby i podaje na tacy każdą potrawę jakiej dusza ideologa zapragnie. Prawa dialektyki przypominają *deus ex machina* starożytnej tragedii lub nowoczesny *supermarket store*, w którym kupujący znajdzie wszystko, czego potrzebuje, co mógłby potrzebować w każdej z niezliczonych sytuacji życiowych i o czym zamarzy z podszeptu kaprysu. Do sposobu w jaki ideolog posługuje się dialektyką daje się trafnie zastosować *obiter dictum* Durkheima. Dla człowieka przyzwyczajonego do działania wyłącznie według własnych, przez niego samego ustalonych reguł, wszelka dyscyplina wydaje się czymś nie do zniesienia (3).

Nie jest to postępowanie, jakiemu hołduje filozof. Jego najważniejszym narzędziem myślowym jest krytycyzm, a ten wymaga jednoznacznego formułowania głoszonych poglądów, uzasadniania twierdzeń właściwymi argumentami, przypisywania twierdzeniom takiego waloru poznawczego na jaki sposób ich uzasadnienia pozwala, poniechania przekonań, gdy istnieją racje wystarczające do ich odrzucenia, uznania wniosków wynikających logicznie z przesłanek. Przestrzega on skrupulatnie przepisów metodologicznych i zasad logicznego powiązania wywodu oraz dąży za nim gdziekolwiek ten wywód go prowadzi. Odrzuca przesłanki, jeżeli wynikają z nich fałsze lub absurdy, akceptuje konkluzje, jeżeli wynikają na mocy reguł wnioskowania z przyjętych przesłanek. W przekonaniu filozofa uczuciowa żarliwość

(3) Dialektyk, który broniąc dowolności postępowania właściwej metodzie dialektycznej oskarża krytyków o ignorancję ,,autentycznej'' i ,,prawdziwej'' dialektyki, czerpie inspirację z hegeliańskiego dziedzictwa ,,marksizmu''. Gdy Kugelmann prosił Marksa o wyjaśnienie, dlaczego wojna prusko-francuska 1870 roku musi przekształcić się, stosownie do praw dialektyki, z wojny obronnej w wojnę imperialistyczną, Marks w liście do Engelsa pisał o Kugelmannie i ludziach podobnie myślących, iż nie rozumieją nieuniknioności dialektycznej przemiany, ponieważ nie mają pojęcia o dialektyce. W ten sposób rzekome dialektyczne ,,prawa Natury'' nabierają charakteru ezoterycznych formuł, do których dostęp mają jedynie wybrani. Ale opatrywanie określeniem ,,naukowy'' wypowiedzi których zrozumienie i zastosowanie wymaga ceremoniału wtajemniczenia, świadczy jedynie o ignorancji autora w dziedzinie, której jego wypowiedź dotyczy. Ogólnikowe twierdzenie, które nie wiadomo co wypowiada i czego się tyczy, niczego nie stwierdza (chociaż wyraża jakieś stany mówiącego i dostarcza materiału do jego biografii lub autobiografii). Podobne twierdzenia nie są ani prawdziwe ani fałszywe, ponieważ nie umiemy wskazać żadnego postępowania, które pozwoliłoby rozstrzygnąć, czy są one prawdziwe lub fałszywe. Twierdzenia, których prawdziwość lub fałszywość jest ze względów zasadniczych nierozstrzygalna, należą do kategorii wypowiedzi bezsensownych w logicznym znaczeniu tego wyrażenia. W nauce nie ma miejsca na wypowiedzi bezsensowne w sensie logicznym. Należy dodać, iż wypowiedzi bezsensowne w sensie logicznym nie są bezsensowne w absolutnym znaczeniu tego terminu. Możemy być w nich zainteresowani z innych względów i nikomu to ujmy nie przynosi. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, iż nie uprawia się wówczas nauki i nie trzeba wnosić pretensji do tego, iż jest się wyznawcą metod naukowych lub że się takie metody uprawia.

i oddanie sprawie nie są dobrym przewodnikiem rozumu, więc z ich podszeptu niczego nie przyjmuje na wiarę. Nie zaleca przesądów klasowych lub innych, niezależnie od ich społecznego pochodzenia, jako gwaranta nieomylności, nie uznaje niczego za prawdę z tej tylko przyczyny, iż tak myślą osoby obdarzone władzą lub publicznym autorytetem lub ze względu na to, iż tego wymagają motywy pozalogiczne, praktycznej, politycznej lub społecznej natury. Gdy filozof aprobuje poglądy, które nie są pod względem logicznym poprawnie sformułowane i uzasadnione, daje pierwszeństwo względom pozalogicznym i im podporządkowuje wymagania racjonalności, wówczas górę w nim bierze ideolog i polityk. Albowiem filozof szuka prawdy, a szukanie prawdy wymaga ograniczeń, jakie nakładają reguły właściwe tym poszukiwaniom. T.H. Huxley miał powiedzieć: „Nauka i jej metody dały mi punkt oparcia niezależny od autorytetu i tradycji". Wypowiedź T.H. Huxleya może służyć jako podstawowa reguła w każdym filozoficznym poczynaniu.

Nie można jednocześnie spełniać dwojakiej roli — polityka i filozofa, lub uprawiać naukę jakby była ideologią i nadawać ideologii rangę nauki, nie popadając w mniej lub bardziej jawne sprzeczności z samym sobą. Ten los stał się udziałem Schaffa, na co wskazują zmiany jego poglądów filozoficznych stosownie do zmieniających się okoliczności politycznych. Ubrane w szaty rozpraw filozoficznych książki Schaffa odzwierciadlają perypetie ideologii marksizmu-leninizmu kształtującej się pod presją zewnętrznych warunków, wymogów politycznych i społecznych, szczególnych właściwości i predylekcji każdorazowych przywódców partyjnych. Pozostawia to ograniczone pole dla immanentnego, autonomicznego rozwoju myśli. Wyłamanie się z ram ideologii akceptowanej przez Partię stanowi bowiem odstępstwo od „prawdy obiektywnej". Osaczona przez ideologię filozofia traci rację bytu, przestaje być potrzebna i ginie z wyczerpania.

Rok 1956 stanowił w politycznej i publicystyczno-ideologicznej działalności Schaffa datę przełomową. Uznał on, że kierownictwo Partii popełniło w przeszłości liczne błędy, a wśród tych błędów było również przeniesienie „fałszywego stylu komenderowania" w dziedzinę pracy naukowej. Zasada prymatu polityki została pojęta w sposób uproszczony jako podporządkowanie poszukiwania prawdy doraźnym celom politycznym, co oznaczało zepchnięcie twórcy nauki do roli komentatora i apologety rozstrzygnięć podjętych przez autorytety polityczne. Z kolei zmuszało to uczonego do poświęcania prawdy naukowej i samodzielności myślenia na rzecz konformizmu. Pod ochroną administracyjnego przywileju powstała iluzja, iż „ideologia marksistowska" była dominującą siłą w życiu umysłowym kraju. „Kult jednostki" nie będąc jedyną przyczyną ustanowienia „monopolu jednej szkoły" uczynił z niego społeczną instytucję. Ale „kult jednostki" oraz przyjęcie autorytetu za kryterium prawdy pozostawało w sprzeczności z „marksistowską teorią prawdy", degradowało rolę nauki i uczonego, doprowadziło do dogmatyzmu

i zastoju umysłowego. Smutne doświadczenie mimionych lat, pisał Schaff w połowie 1956 roku, jasno wykazuje szkodliwość monopolu osób, grup i kierunków. Wszelki monopol, dodał, jest prawdziwym rakiem zabijającym tkankę życia umysłowego. Warunkiem postępu jest swoboda dyskusji i wolne ścieranie się poglądów; sztuczna izolacja od ,,obcej ideologii'' nie osłabia lecz wręcz przeciwnie wzmacnia jej siłę atrakcyjną; walka ideologiczna w imię realizacji socjalizmu może być skuteczna i odnosić zamiast urojonych rzeczywiste sukcesy jeżeli obiera drogę dyskusji i przekonywania. Schaff nie uchylił się od wyciągnięcia wniosku, iż należy każdemu twórcy pozostawić prawo do poszukiwania prawdy w sposób jaki uważa za właściwy z wszystkimi, jak podkreślał, stąd płynącymi konsekwencjami. Przekonanie, iż rzeczą najwłaściwszą z każdego punktu widzenia jest pozwolić uczonym pracować samodzielnie nad rozwojem nauki, nie implikuje wyrzeczenia się walki przeciw ,,burżuazyjnej ideologii'' i wysiłków o pełne zwycięstwo ,,ideologii marksistowskiej''. Walka ta jednak winna być toczona w warunkach ,,wolnej konkurencji'' bez paczenia charakterów, wymuszania uległości, zabezpieczania dominacji marksizmu-leninizmu środkami administracyjnego przywileju. Strachem przed prawdą i strachem przed ujawnieniem własnych błędów nie można budować socjalizmu. Wydawało się, że Schaff odbył własną drogę do Damaszku, by z Szawła stać się Pawłem.

W trzy lata później Schaff poddał to stanowisko ponownej rewizji. Jak poprzednio, jest on przeciwnikiem ,,komenderowania'', lecz nie oznacza to, iż Partia winna wstrzymać się od wszelkiej ingerencji w sprawy nauki, zapewnić warunki pełnej swobody wymiany poglądów, szanować zasady racjonalnego krytycyzmu. W przeszłości, pisał Schaff w 1959 roku, ingerencja administracyjna była konieczna, gdyż w przeciwnym razie powstałby rozdźwięk między gospodarczym i politycznym rozwojem kraju z jednej strony, rozwojem ideologicznym z drugiej. Błędem był natomiast zasięg tej ingerencji oraz czas jej trwania. Podobnie, w 1956 roku zniesienie monopolu jednej szkoły oraz przywrócenie warunków wolnego ścierania się różnych poglądów i kierunków myśli było konieczne. Lepiej jest bowiem mieć do czynienia z jawną różnicą stanowisk niż stwarzać pozory jednomyślności, jakiej w rzeczywistości w społeczeństwie nie ma. Lecz swoboda dyskusji, wolność myślenia i słowa, naukowy krytycyzm i racjonalizm nie są absolutną wartością. Mogą i winny być one ograniczone przez ingerencję z zewnątrz jeśli nie służą sprawie budownictwa socjalizmu. Wolność jest zrozumieniem konieczności, a więc ,,produktem historycznym'', funkcją czasu i miejsca. Gdy wolność rozwoju nauki popada w konflikt z prawidłowościami rozwoju społecznego, prawami Historii i misją dziejową proletariatu, abstrakcyjna zasada wolności winna być ograniczona.

To stanowisko jest powrotem do dawnej tezy o prymacie polityki i ideologii nad nauką oraz celów praktycznych nad teo-

retycznymi (4). Reprezentuje ono oficjalny pogląd kierownictwa Partii, lecz również odzwierciadla fundamentalne poglądy Schaffa. ,,Prof. Adam Schaff'', pisał S. Żołkiewski, ,,nie jest uczonym oderwanym od życia. Przeszedł nie tylko szkołę filozofa, ale i szkołę działacza-rewolucjonisty. Dlatego też twórczość jego odznacza się niezwykłą czujnością na aktualne problemy, których rozwiązanie nie tylko wyjaśnia świat, ale pomaga go zmieniać''. Oznacza to jednak, iż potrzeby działania wyznaczają funkcje i zadania myślenia, a nie odwrotnie, refleksja filozoficzna i bezinteresowne szukanie prawdy zostają podporządkowane z góry założonym wierzeniom. Intelekt uzasadnia to, co wola wskazuje jako cel dążeń i czynów, oraz wykrywa środki wiodące najskuteczniej do realizacji celów wyznaczonych aktem woli. Podporządkowanie intelektu woli nosi miano woluntaryzmu, sprowadzenie nauki do roli narzędzia w realizacji celów praktycznych w szerokim tego słowa znaczeniu jest stanowiskiem znanym w teorii nauki pod nazwą instrumentalizmu. Woluntaryzm i instrumentalizm charakteryzują całą działalność filozoficzną Schaffa. ,,Nasza filozofia, filozofia marksistowska'', czytamy w jednym z jego artykułów, ,,jest potężnym orężem ideologicznym w walce o świadome przekształcenie rzeczywistości, jest potężnym orężem polityki Partii klasy robotniczej. Ta funkcja filozofii marksistowskiej określa znaczenie i nową rolę filozofii w Polsce Ludowej, wyznacza stosunek do tej filozofii, dbałość o jej rozwój i opiekę, którą ją otacza Polska Zjednoczona Partia Robotnicza''. Instrumentalna koncepcja filozofii jest obca głównemu nurtowi tradycji filozoficznej w Polsce. Albowiem fundamentalnym założeniem tego nurtu było i jest przekonanie, iż naczelnym celem nauki nie jest zmiana lecz poznanie świata Poznawcza funkcja nauki jest pierwotna i autonomiczna, funkcja utylitarna i instrumentalna wtórna i zależna od funkcji poznawczej.

Stosownie do swej instrumentalnej i woluntarystycznej koncepcji filozofii Schaff poświęcił całą energię, której zasoby budza szczery podziw, propagowaniu i systematycznemu wykładowi ,,marksistowskiej filozofii''. ,,Filozofii marksistowskiej'' nie można identyfikować z filozofią Marksa, chociaż się z niej historycznie i merytorycznie wywodzi stanowiąc jedną z wielu interpretacji filozofii marksistowskiej, nie zawsze zgodną z zasadniczymi tendencjami samego Marksa. Jest rzeczą korzystną z politycznego punktu widzenia czynić z Lenina, a po Leninie — z każdorazowego sekretarza KPZR prawowitego o spadkobiercę ,,marksizmu''. Lecz oprócz sowieckich kontynuatorów Marksa z urzędu byli również inni spadkobiercy, niejednokrotnie lepiej

(4) ,,Przez prymat polityki w życiu społecznym'', Schaff pisał, ,,rozumiemy, iż względy polityczne, względy walki o rozwój naszego społeczeństwa ku socjalizmowi mają decydujące znaczenie we wszystkich dziedzinach działalności społecznej, że wszystkie te dziedziny są w określonym sensie podporządkowane względom politycznym''.

uprawnieni do tego miana. Mniej mylącą nazwą ,,filozofii marksistowskiej'' jest ,,leninizm-stalinizm'' lub ,,marksizm-leninizm'' stosownie do okresu jaki mamy na myśli. Obecnie ,,filozofia marksistowska'' weszła zarówno w Rosji Sowieckiej jak i w Polsce w nową fazę ewolucji, a w Polsce pod niejednym względem przeprowadza rewizję swych założeń. Rewizja, o której mowa, polega na zmianie interpretacji tez podstawowych uznanych nadal za niewzruszone. W przeciwieństwie do filozoficznego rewizjonizmu, który odrzuca lub kwestionuje te założenia jako bądź niezgodne z obecnym stanem wiedzy bądź niezdolne do wylegitymowania się należytymi argumentami bądź mylące przez swą wieloznaczność i niejasność sformułowania, rewizjonizm ortodoksyjny pozostaje w ramach doktryny, nie kwestionuje i nie odrzuca jej założeń. Polska jest krajem, w którym istnieje zarówno filozoficzny jak i ortodoksyjny rewizjonizm. Schaff zwalczając rewizjonizm filozoficzny jako ,,poglądy likwidatorskie w stosunku do marksizmu i socjalizmu'' jest jednocześnie ortodoksyjnym rewizjonistą.

Ślady rewizjonizmu w omawianym sensie można odnaleźć już w pierwszej książce Schaffa, we *Wstępie do teorii marksizmu* który ukazał się w 1947 roku i miał kilka wydań. *Wstęp do teorii marksizmu* pozostał najlepszym polskim wykładem leninizmu-stalinizmu. Dzisiaj nie mógłby on być przedrukowany bez licznych zmian i skreśleń, gdyż zawiera zbyt wiele ,,błędów i wypaczeń'' znamiennych dla okresu, w którym książka była pisana. To samo dotyczy innych dzieł Schaffa — *Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej* (1950) i *Obiektywny charakter praw historii* (1955). Również w książce *Z zagadnień marksistowskiej teorii prawdy* (1951), której tytuł sugeruje studium o charakterze teoretycznym, znalazły się wypowiedzi polityczne, niefortunne w obecnej sytuacji. Trzeba je było przeto skreślić w drugim wydaniu, gdyż stanowiły, jak je autor określił, ,,wyraz epoki''. Konieczność rewizji pod względem polityczno-ideologicznym publikacji z zakresu ,,filozofii marksistowskiej'' jest następstwem zasady partyjności, ,,jedności teorii i praktyki'', której Schaff wówczas hołdował. Idąc śladem Żdanowa Schaff dowodził, iż istnieje organiczna więź ,,między przełomowym charakterem marksizmu a jego partyjnością, jego zdecydowanym zerwaniem z 'obiektywistyczną' postawą nauki burżuazyjnej''. Właśnie dzięki partyjnemu stanowisku ,,marksizm reprezentuje prawdę obiektywną''. Lecz jeśli praktyka się zmienia, a ,,jedność teorii i praktyki'' jest kryterium partyjnego stanowiska, nieuniknioną staje się rzeczą, iż ,,prawdę obiektywną'' trzeba co kilka lat przeredagowywać. ,,Prawda obiektywna'' staje się czcigodną nazwą dla błędu w obiegu, cieszącego się uznaniem możnych tego świata.

W systemie Marksa, a w szczególności tej jego części, która jest dziełem Engelsa i dotyczy zagadnień noszących w filozofii niemieckiej nazwę *Naturphilosophie,* występują łącznie dwa niespojne wątki. Z jednej strony zaznacza się wątek pozytywis-

tyczny, zaczerpnięty z Saint-Simona i Comte'a. Fundamentalną zasadą filozofii pozytywnej jest przekonanie, iż nauki przyrodnicze dostarczają wzoru badania naukowego. Doskonałość tego wzoru jest następstwem konsekwentnego stosowania metody, która ogranicza się do badania faktów, a unika spekulacji, postępuje krytycznie a nie dogmatycznie, tzn. sprawdza i uzasadnia każde twierdzenie przez odwołanie się do obserwacji lub do argumentów i rozważa siłę uzasadniającą tych argumentów. Z drugiej strony w systemie Marksa i Engelsa zachował się wątek spekulatywnej metafizyki Hegla. Znajduje on wyraz w próbach wyprowadzenia z natury bytu, wykrytej na drodze rozważań spekulatywno-abstrakcyjnych, wszystkich jego postaci w oparciu o prawa uniwersalne, sławne lub sławetne prawa dialektyki. Filozofia według tradycji heglowskiej jest nauką o najogólniejszych prawach bytu i jego ewolucyjnym rozwoju. Ale tak pojęta filozofia popada w konflikt z koncepcją filozofii pozytywnej, która wyrzeka się spekulacji na rzecz dociekań nad logiczną strukturą nauki. W Rosji Sowieckiej niespojność dwóch wątków w systemie Marksa — filozofii heglowskiej i pozytywnej — wystąpiła w ostrym sporze między ,,mechanistami'' i ,,deborinowcami''. Pierwsi kładli nacisk na wątek filozofii pozytywnej, drudzy podnosili wątek filozofii heglowskiej (5). Stalin potępił oba stanowiska, lecz nie rozwiązało to konfliktu. Heglizm i anty-heglizm pozostają dwoma wzajemnie zwalczającymi się orientacjami w ramach każdorazowo obowiązującej doktryny.

Schaff należy do obozu anty-heglowskiego. Jego przeciwnicy, tzn. wyznawcy orientacji heglowskiej, idą dalej i oskarżają go o uleganie wpływom neo-pozytywizmu. Ten zarzut pozbawiony jest podstaw. Logiczny pozytywizm i logiczny empiryzm uważają filozofię Hegla za zbiór niedorzeczności, z czego nie wynika, że kto zajmuje orientację antyheglowską tym samym zdradza sympatię dla neo-pozytywizmu. We *Wstępie do teorii marksizmu* anty-heglowska orientacja Schaffa znalazła wyraz w wykładzie praw dialektyki i stosunku dialektyki do logiki formalnej. Przejawiła się ona również w ocenie wkładu Stalina do ,,filozofii marksistowskiej''. Schaff uważał, iż największą zasługą Stalina było uwolnienie dialektyki od wszelkich pozostałości idealistycznej dialektyki heglowskiej, a w szczególności sławetnego ,,prawa negacji negacji'' (po śmierci Stalina w Rosji Sowieckiej przywrócono ,,prawu negacji negacji'' jego dawne honorowe miejsce, w Polsce Wł. Krajewski skłaniał się do uznania go za ,,prawo Natury''). Wreszcie anty-heglowska orientacja tłumaczy trzeźwość filozoficznych publikacji Schaffa, jeśli się je porówna z filozoficzną produkcją heglowskiego skrzydła, reprezentowanego np. przez Nowińskiego, Krońskiego, lub Ładosza.

(5) Nie był to spór czysto filozoficzny, gdyż ,,mechaniści'' byli jednocześnie oskarżeni o popieranie tzw. prawicowego odchylenia, Deborin i jego zwolennicy o trockizm i tzw. mienszewicki idealizm.

W miarę upływu czasu anty-heglowska orientacja Schaffa przyjęła postać ortodoksyjnego rewizjonizmu. Chociaż rewizjonizm ujawnił się w pełni dopiero po śmierci Stalina, pierwsze jego ślady można znaleźć w książce *Z zagadnień marksistowskiej teorii prawdy*. To studium stanowi największe osiągnięcie i wkład polskich marksistów-leninistów do ortodoksyjnej doktryny szkoły w skali całego ,,socjalistycznego obozu''. Nikt przedtem, ani w Rosji ani w innym kraju, nie zajął się zagadnieniem prawdy z punktu widzenia ,,marksistowskiej filozofii''. Książka Schaffa jest obszerną monografią tego zagadnienia oraz próbą unowocześnienia doktryny. Schaff czerpie obfitą dłonią z dorobku filozofii polskiej, w szczególności z dzieł Twardowskiego, Kotarbińskiego, Ajdukiewicza i Tarskiego, oraz stara się wykorzystać to, co się z nich nauczył w wykładzie ,,marksistowskiej teorii prawdy''. Monografia Schaffa zawiera osiągnięcia jakimi jego poprzednicy, polegając na kilku stronach *Anty-Duhringa* i *obiter dicta* Lenina, nie mogą się wykazać. Lecz ostateczny wynik jest niezadawalający. Główną przyczyną są nieprzezwyciężalne trudności pogodzenia tzw. absolutyzmu w pojmowaniu prawdy, który głosili wyżej wspomniani polscy myśliciele, z tzw. teorią ,,względności'' i ,,konkretności'' prawdy, teorią wywodzącą się z hegeliańskiej inspiracji, zachowaną przez Engelsa, a w szczególności przez Lenina pod wpływem lektury *Wissenschaft der Logik* Hegla.

Trzy główne osiągnięcia należy zaliczyć na poczet rewizjonistycznej działalności Schaffa: odrzucenie naiwnego realizmu w teorii poznania na rzecz realizmu krytycznego; uznanie za błędną tezy Hegla, przejętej przez Engelsa i Lenina, iż sprzeczności *sensu stricto* ,,tkwią obiektywnie'' we wszystkich rzeczach i procesach naturalnych stanowiąc przyczynę ruchu i zmiany; wreszcie wprowadzenie zasady, iż marksizm-leninizm określają nie tylko pewne podstawowe założenia, lecz również metoda postępowania.

Z tych trzech osiągnięć dwa ostatnie są najważniejsze i wraz z rewizją zasady partyjności w filozofii, przeprowadzoną przez Oskara Lange, stanowią cechy wyraźnie odróżniające polską wersję marksizmu-leninizmu od jego wersji sowieckiej. Odrzucenie realizmu naiwnego w teorii poznania nie jest sprawą obudzającą ostre spory doktrynalne. Również wśród filozofów sowieckich nie brak jest wyznawców realizmu krytycznego, chociaż nikt bodaj nie posunął się tak daleko, by pójść w ślady Schaffa i twierdzić, iż interpretacja leninowskiej teorii odbicia w duchu naiwnego realizmu jest z gruntu błędna. Inaczej natomiast mają się rzeczy z dwoma pozostałymi tezami rewizjonistycznymi. Były one krytykowane w Polsce i w Rosji w imię obrony ortodoksyjnej doktryny zagrożonej przez wpływy ,,pozytywizmu''. Schaff, twierdzą jego przeciwnicy, podaje w wątpliwość ,,kamień węgielny marksizmu''.

Artykuł Schaffa *Dialektyka marksistowska a zasada sprzeczności* odbił się szerokim echem w Rosji Sowieckiej oraz wywołał liczne dyskusje i polemiki. W Rosji teza Schaffa nie zyskała

oficjalnej aprobaty, w Polsce olbrzymia większość marksistów-leninistów zaakceptowała jego stanowisko. Lecz również w Polsce toczył się spór o zasadę niesprzeczności. Chociaż dotyczył on spraw żenująco elementarnych, jego doniosłości nie można lekceważyć. Kto zaprzecza lub ogranicza ważność zasady niesprzeczności otwiera drogę dla absurdów i unicestwia różnicę między prawdą i fałszem.

Rewizja Schaffa polega na przyjęciu rozróżnienia zalecanego przez polskich logików jako drogi wybrnięcia z doktrynalnych trudności, pogodzenia jednej z zasad dialektyki z wymaganiami racjonalnego myślenia. W tym celu należy rozróżnić sprzeczność logiczną, koniunkcję dwóch zdań z których jedno stwierdza to co drugie zaprzecza, oraz sprzeczność dialektyczną, ,,jedność przeciwieństw'', współistnienie w tym samym przedmiocie i w tym samym czasie przeciwnych tendencji, napięć lub dążeń. Takie przeciwieństwa nie są sprzecznością. Nie ma powodu by sprzeczność dialektyczną nazywać sprzecznością *sensu stricto*, a prawa dialektyki zakładają jedynie obiektywne istnienie sprzeczności dialektycznych. Centralną tezą dialektyki jest upatrywanie w ,,jedności i walce przeciwieństw'' źródła wszelkiego ruchu i zmienności. Ale z faktu, iż rzeczy i procesy naturalne posiadają ,,biegunową budowę'' nie wynika, że dwa zdania z których jedno przyznaje przedmiotom pewną własność a drugie jej odmawia są jednocześnie i pod tym samym względem prawdziwe. Zasada niesprzeczności stwierdzająca, iż każda koniunkcja zdań sprzecznych jest fałszem, jest zasadą uniwersalną. Schaff doszedł do wniosku, iż Engels i Lenin kwestionując tę uniwersalność dali się zwieść Heglowi i popełnili błąd wymagający naprawy. Nie jest bowiem prawdą, iż nie można badać zjawisk dialektycznie nie popadając w sprzeczność. Gdyby tak było, dialektyka byłaby teorią niedorzeczną. Mówiąc żartobliwie, dialektycy odkryli morał powiastki filozoficznej Woltera *Memnon ou la sagesse humaine*. Albowiem przygody Memnona ilustrują metodologiczną tezę, iż siedliskiem sprzeczności nie jest świat rzeczy, a umysł ludzki oraz nieostre pojęcia, jakimi umysł posługuje się w opisie świata rzeczy.

Przyznanie prawom logiki uniwersalnego waloru było oznaką powrotu polskich marksistów-leninistów na płaszczyznę zdrowego rozsądku i krytycznego myślenia. Na niej z kolei wyrósł postulat — ,,nie zawsze przestrzegany w literaturze marksistowskiej'' — by krytyka stanowisk odmiennych była ,,oparta na głębokiej znajomości i rzetelnej prezentacji omawianych poglądów'' (np. swego czasu Schaff twierdził, iż jedynie lęk przed rewolucją i interes klasowy a nie względy logiczne i obiektywne, skłaniają burżuazyjnych filozofów do odrzucenia praw dialektyki, m.in. tezy o istnieniu ,,obiektywnych sprzeczności'' w rzeczach i procesach naturalnych). Wynikało z tego oczywiste, uprzednio gwałtownie zwalczane twierdzenie, iż nikt nie ma monopolu na prawdę. Można znaleźć fałsze w marksizmie-leninizmie, a prawdy nawet doniosłe dają się wykryć w ,,systemach

skądinąd fałszywych i wręcz antynaukowych". Wątpliwą jest rzeczą czy Schaff uznałby dalszy płynący stąd wniosek, mianowicie, iż nie ma w ogóle prawd niedwołalnych w sensie metodologicznym. Schaff uznaje natomiast inną konsekwencję, konieczność rozszerzenia dotychczasowych zainteresowań marksizmu-leninizmu na zagadnienia pomijane i lekceważone w niedawnej przeszłości, ponieważ podejmowali je myśliciele burżuazyjnych kierunków i szkół myślenia. Na długą metę uznanie marksizmu-leninizmu za system otwarty, jaki można rozwijać i wzbogacać przez stosowanie określonych metod badawczych do problemów narastających w miarę rozwoju wiedzy i filozofii może mieć doniosłe następstwa, doprowadzić do rekonstrukcji i unowocześnienia marksizmu-leninizmu.

Nasuwa się pytanie, jak należy oceniać nowe tendencje zarysowujące się w polskim marksizmie-leninizmie z filozoficznego punktu widzenia. Naukowe prądy współczesnej filozofii — różne odmiany filozofii analitycznej, logiczny empiryzm i analityczny empiryzm — opierają się na wspólnym założeniu, iż należy dokładnie rozróżniać filozofię, analizę logiczną poznania dostarczanego przez nauki szczegółowe, oraz światopogląd lub filozoficzne systemy zalecające pewien sposób życia, który rzekomo wynika z wyłożonego w tym systemie jednolitego obrazu świata. Filozof zajmuje teoretyczny i poznawczy punkt widzenia, pragnie wiedzieć jaka jest struktura świata i jakie rządzą nim prawa, a droga do tego celu, w jego mniemaniu, wiedzie przez logiczną analizę poznania naukowego, posługującą się wyspecjalizowanymi technikami badawczymi. Przy budowaniu systemów światopoglądowych nie jesteśmy zainteresowani poznaniem wszechświata, jego struktury i praw niezależnie od naszych nadziei, pragnień oraz poglądów o tym, co stanowi wartość i cel godny ludzkich wysiłków. Świadomie lub nieświadomie obieramy postawę praktyczną, szukamy takiego obrazu świata, który zadawalnia nasze aspiracje, pobudza ludzi do określonych działań i w ten sposób służy realizacji celów politycznych, społecznych, moralnych lub religijnych. Światopogląd, w szczególności światopogląd który szuka masowego poparcia, zawiera obraz świata uproszczony, a jednocześnie zupełny i zamknięty. Albowiem ogół ludzkości, pisał Freud pod koniec życia, kocha wygodę. ,,Domaga się on tylko jednej jedynej racji mającej dostarczyć wszelakich wyjaśnień, nie czuje wdzięczności do nauki za jej zawiłości, lubi mieć proste odpowiedzi na swe pytania i cieszyć się poczuciem że jego problemy są raz na zawsze rozwiązane".

Marksizm-leninizm nie jest kierunkiem filozoficznym a światopoglądem zwracającym się do masowego odbiorcy. Odrzuciwszy wiele fikcji właściwych światopoglądom spirytualistycznym jako relikty nie naukowego lub przednaukowego sposobu myślenia, zastąpił je własnym światem spekulatywnych bytów i fantazyjnie spełnionych życzeń. Zasada postępowania w światopoglądzie spirytualistycznym i dialektyczno-materialistycznym

jest bowiem ta sama: granica między światem życzeń a światem rzeczywistym zostaje zniesiona, by otworzyć drogę od świata realnych faktów do świata niesprawdzalnych przeświadczeń. Przeświadczenia, które nie mogą wykazać się należytym uzasadnieniem, nie mają innego pokrycia prócz gratyfikacji pragnień, zaspakajanych przez zdolność umysłu stwarzania na własny użytek świata wypełnionego przedmiotami wyobraźni, imaginacji i wiary. Twórcy światopoglądów posługują się tą zdolnością, by przekonywać siebie i innych, iż świat spełnia nasze pragnienia i że w związku z tym nasze nadzieje nie są daremne, a wytrwały wysiłek pozwala pragnieniom sprawować rządy nad siłami Natury i naturalnym otoczeniem. Siły regulujące i kształtujące światopogląd tkwią poza sferą doświadczeń poznawczych, nie podlegają dyscyplinie naukowego sposobu postępowania, mogą obyć się bez wiedzy fachowej, systematycznego i logicznie powiązanego wywodu. Doświadczenia poznawcze, jakie wchodzą w skład światopoglądu, nie funkcjonują w nim autonomicznie, nie wytyczają one kierunku i mapy poznania, a kierunek działania. Wspomnianych sił regulujących myślenie światopoglądowe szukać należy w ludzkiej osobowości oraz stosunku jednostki do naturalnego i społecznego otoczenia. Ten punkt widzenia jest bliski stanowiska Marksa. Według Marksa człowiek jest istotą społeczno-historyczną, jego rozwój dokonuje się poprzez rozwój potrzeb społecznych, jego poglądy o świecie i społeczeństwie odzwierciadlają ,,byt społeczny'' i zyskują funkcjonalną autonomię w świapoglądzie. Według Marksa światopogląd spełnia funkcję regulatywno-normatywną, podobną do roli *super ego* teorii psychoanalizy, daje orientację w życiu i wzbudza poczucie, iż w konfliktach społecznych i walkach klasowych zwycięstwo jest ostatecznie po stronie jego wyznawców.

Można rozróżnić dwa typy światopoglądów: systemy metafizyczne i ideologie. Ten podział nie jest rozłączny. Istnieją bowiem liczne punkty styczne i cechy wspólne spełniane przez oba typy. Trudno jest znaleźć system metafizyczny, który by nie obejmował elementów ideologicznych, oraz ideologię bez metafizycznej podbudowy, próby lokalizacji ludzkiego istnienia w jakimś jednolitym obrazie świata. Rozpowszechnione jest bowiem przekonanie, że warunkiem koniecznym uniwersalnego waloru ideałów i zasad etycznych jest nadprzyrodzona lub przyrodzona sankcja, że muszą one mieć charakter absolutnego imperatywu lub posiadać aprioryczne uzasadnienie. Stosownie do tego przekonania, ideologia — zespół społecznych ideałów i moralnych reguł — pozbawiona byłaby absolutnego charakteru, jeśli nie miałaby jakiegoś zakotwiczenia w metafizycznej rzeczywistości. Chociaż nie ma ideologii bez jakichś metafizycznych przesłanek i systemów metafizycznych wolnych od ideologicznych implikacji, możemy jednak dokonać podziału światopoglądów na metafizyczne i ideologiczne stosownie do tego, gdzie posiadają one punkt ciężkości: czy szukać go trzeba w dociekaniach nad naturą bytu, czy też w analizie przekonań dotyczących wartości i celów, cha-

rakteryzujących różne sposoby życia. Różnice w rozłożeniu punktu ciężkości występują wyraźnie, jeśli porówna się transcendentalny idealizm Husserla z egzystancjalizmem lub absolutny idealizm Bradley'a z marksizmem-leninizmem. Różnic tych nie wyczerpuje odmienność metody postępowania — systematyczność, skrupulatne ustalenie założeń i logiczne powiązanie wywodu, rzetelna wiedza filozoficzna i znajomość nauk szczegółowych, jakie niekiedy charakteryzują traktaty metafizyczne i nadają im jedno ze znamion dzieła naukowego. Ideologie czerpiąc obficie z różnych kierunków metafizycznych oraz korzystając z ich rozróżnień pojęciowych i terminologicznych obejmują z reguły silne osobiste przekonania, naukowo niesprawdzalne, a niezbędne w działaniu. Obejmują również z reguły pewną listę wskazań apelujących do silnie uczuciowo zabarwionych stanów świadomości, podkreślają konieczność aktywnej postawy do życia, łączą poznanie z działaniem lub w działaniu wskazują drogę nabywania wiedzy o świecie. Światopogląd ideologiczny zawiera mniej lub bardziej rudymentarną teorię skutecznego działania, wskazującą kierunek i sposób realizacji tego, co zaleca jako wartościowe i jako cel dążeń dla jednostek lub zbiorowości. Ta cecha charakterystyczna ideologii występuje bardzo wyraźnie w marksizmie-leninizmie. Gdybyśmy wyeliminowali z marksizmu-leninizmu jego szczególny typ ,,aktywizmu'', straciłby on za jednym zamachem swoje *principium individuationis*.

Wpływ przekonań dotyczących wartości i celów działania na poglądy o rzeczywistości nie jest ograniczony do światopoglądów metafizycznych i ideologicznych. Występuje on niejednokrotnie w sporach wokół nowych naukowych teorii, które rzekomo posiadają doniosłe konsekwencje teologiczne, prowadzą do rewizji panującej teodycei lub poglądów w dziedzinie filozoficznej antropologii, tzn. opinii o naturze człowieka i jego miejscu w kosmosie. Czasem sami twórcy teorii są jednocześnie twórcami ich ideologicznych lub światopoglądowych interpretacji. Należał do nich Archimedes, jeżeli prawdą jest to, co miał powiedzieć: ,,Daj mi punkt oparcia, a poruszę świat z posad'', a w czasach nowożytnych Newton. Lecz wiara Newtona, iż udowodnił ponad wszelką wątpliwość istnienie Boga i Boską Opatrzność, gwaranta trwałego porządku Natury, miała dziwne koleje. Albowiem w kilkadziesiąt lat później *Philosophiae Naturalis Principia Mathematica* stały się źródłem i biblią zupełnie innej wiary, zwanej mechanistycznym poglądem na świat. ,,Newton'', pisze współczesny biograf Newtona, ,,jest nie tyle imieniem pewnego człowieka co nazwą nieomylnego światopoglądu''. Ideologiczne spory wokół *Origin of Species* jeszcze nie zamilkły. Adam Sidgwick, geolog, przyjaciel i nauczyciel Darwina, zwalczał darwinowską teorię ewolucji, ponieważ w jego mniemaniu służy tylko jednemu celowi, mianowicie wykazaniu, iż człowiek jest niezależny od swego Stwórcy, a negacja moralnej i metafizycznej istoty człowieka ostatecznie doprowadzi do zbrutalizowania i degradacji ludzkości. Ale można również podać przy-

kłady ludzi nauki gotowych zaakceptować rzekome konsekwencje wynikające z ich teorii i posiadające doniosłe światopoglądowe implikacje, chociaż te konsekwencje były niezgodne z ich przekonaniami moralnymi. Tak np. Durkheim, który w gęstości zaludnienia i w tym co nazywał gęstością moralną upatrywał główną przyczynę ewolucji społecznej, doszedł do wniosku, iż z tego założenia wynika konieczność wchłaniania słabszych narodów przez silniejsze. ,,To jest mechaniczne prawo równowagi społecznej i jest ono niemniej konieczne niż prawo rządzące równowagą cieczy'' (*De la division du travail social*). Wolno wątpić czy rzeczywiście na gruncie teorii Durkheima wyżej wyżej wymieniona teza z założeń logicznie wynika. Ale Durkheim był o tym przekonany, a będąc przekonany uznał ,,prawo'', które teoria w jego mniemaniu uzasadniała, niezależnie od oporu swych przeświadczeń moralno-światopoglądowych. Durkheim wykazał lepsze zrozumienie zasad naukowego myślenia aniżeli Adam Sedgwick. Spory ideologiczne wokół teorii naukowych miały i zapewne mieć będą miejsce w historii nauki. Lecz postęp wiedzy jest niezależny od sporów o ludzki sens dokonanych odkryć, a następujące po sobie pokolenia dopatrują się odmiennego lub wzajemnie wykluczającego się sensu tego samego odkrycia. Ludzie nauki są świadomi, iż różnice zdań pod tym względem nie należą do wiedzy o świecie, a przypisywanie roli poznawczej interpretacjom światopoglądowym jest niezgodne z zasadami metody naukowej. Wykroczenia przeciw uznanym regułom naukowego postępowania są jedynie wskaźnikiem ułomności umysłu i nie oznaczają, iż człowiek nauki odrzucił w sposób pryncypialny wspomniane reguły metodologiczne. W myśleniu światopoglądowym rzeczy mają się inaczej. Albowiem myślenie światopoglądowe opiera się właśnie na odrzuceniu uznanych reguł naukowego myślenia i z tej decyzji metodologicznej czyni kamień węgielny, na którym dalej buduje. W ostatecznym obrachunku myślenie światopoglądowe i myślenie naukowe są z sobą nie do pogodzenia. Uznają to współcześni egzystencjaliści, których skrzydło akademickie — Jaspers, Heidegger, Merleau-Ponty — identyfikuje filozofię z metafizyką szczególnego rodzaju, skrzydło literackie — Marcel, Sartre, Camus — z światopoglądem lub ideologią. Między filozoficznymi *belles lettres* i dydaktyczną moralistyką egzystencjalistów a współczesną naukową filozofią istnieje ta sama różnica, jaką Huizinga wskazywał kreśląc linię graniczną między historią na powszechny użytek pisaną przez polityków, mężów stanu, dyplomatów i autorów *vies romancées* a historią akademicką. Pierwsza wybiera jako swój drogowskaz formułę: *Sinngebung des Sinnlosen,* druga — *Sinndeutung des Sinnvollen.* Marksizm-leninizm nie poszedł w ślady egzystencjalistów i mniema, że chociaż jest światopoglądem jednocześnie spełnia wymagania krytycyzmu i racjonalności stawiane nauce. Kto ceni konsekwentność rozumowania i jasność myślenia, dojść musi do wniosku, iż podnosząc podobne roszczenia marksista-leninista ustępuje pod omawia-

nym względem egzystencjonalistom. Egzystencjaliści są metodologicznie świadomi subiektywistycznych podstaw swych wypowiedzi, marksista-leninista bądź nie ma tej świadomości bądź ją skrzętnie ukrywa. Pamiętajmy o ostrzeżeniu, jakiego udzielił Goethe w jednej z rozmów z Eckermannem. Gdy siły żywotne jakiegoś historycznego okresu zanikają, prądy intelektualne tego okresu skłaniają się do subiektywizmu. Obiektywizm, umiar, kontrola nad gwałtownymi emocjami są cechą epok umysłowej dojrzałości.

Instytucjonalny charakter, którego marksizm-leninizm ponownie nabiera, wzmacnia jego praktyczną i utylitarną orientację. Przywrócenie prymatu ideologii nad nauką przypomina o tym, iż marksizm-leninizm jest instrumentem, którego zadaniem jest wpływać na ludzkie postawy, inspirować i kierować ludzkim działaniem, zachęcać do pewnego postępowania i sposobu życia. Unowocześnienie marksizmu-leninizmu może uczynić z niego instrument skuteczniejszy w realizowaniu określonych celów praktycznych nie czyniąc z niego lepszego narzędzia w szukaniu prawdy. Bezinteresowne szukanie prawdy nie jest zadaniem marksizmu-leninizmu, a jego obecna rewizja nie ma na celu przekształcenia go z światopoglądu w metodę badań filozoficznych, wolną od praktycznego, politycznego i moralnego zaangażowania.

Rewizja marksizmu-leninizmu nie wprowadza więc elementów, jakie mogłyby budzić filozoficzne zainteresowanie lub pozwalały oczekiwać, iż jego wyznawcy wniosą wkład do rozwoju współczesnych badań filozoficznych. Niemniej rewizja ta może mieć pewne doniosłe następstwa dla rozwoju filozofii. Albowiem marksizm-leninizm, który wyrzeka się praw wyłączności i monopolu naprawdę, pozostawia miejsce dla badań filozoficznych, na bezinteresowne szukanie prawdy, na dyskusję i wymianę poglądów. Odwrotnie, wszystkie tendencje zmierzające do przywrócenia uprzywilejowanej pozycji marksizmu-leninizmu zagrażają badaniom filozoficznym. Z tej przyczyny ewolucja marksizmu-leninizmu ma doniosłe praktyczne znaczenie i budzi zainteresowanie, jakie z teoretycznego punktu widzenia nie byłoby uzasadnione.

Zbigniew JORDAN

Wiersze

NIEDOMÓWIONA RZECZ

Oto moja prywatna
niedomówiona rzecz

we mnie mieszka
na słońce czeka
i czesze deszcz

Kobieta podpatrująca
własne ruchy
liść zawieszony
w sobie
Powietrze trzymające się
za włosy —

A wszystko widziane w lustrze
przez zamknięte oczy
z których powoli wyrastamy
całym ciałem

Jakbyśmy byli pieczęcią drzewa
jakbyśmy spadali owocem
jakby nas rozbierano do kręgosłupa
do piorunującej nagości —

po narodzenie —

ZMARTWYCHWSTANIE

Forma jest z życia wzięta lecz anioł w nią wpina
wszystkie tajemnice które posiadł poeta
a nam do ręki daje wzorzyste kilimy
słowa do własnych kronik pisanych aleksandrynem
A że pomaga mi anioł — wszak byli nieśmiertelni
którzy umierającym zbierali z ust żywą krew
I gdzie są teraz żołnierze zapisani w raportach dziennych
na których cześć powietrze biło spiżem.

Ulegli rozkładowi, tak ludzie jak zwierzęta
giną w swoich szlachtuzach, nad światem czuwają rzeźnicy
Bo wtedy przy bokach naszych nie ma prywatnych już świętych
są tylko sanitariusze którym ręce ze strachu drżą.
Mówią że może kiedyś skręci się jelito ziemi
od nadmiaru mięsiwa od mózgów które w niej leżą
i wszyscy wstaniemy naraz jak upiorne żywe korzenie
dziurawi z księżycem w plecach.

I wypełzniemy wypełzniemy z mroków
robaki żarłoczne których słońce na apel wzywa
z pustych placów z martwych kamieni z cementowych bloków
z nienaświetlonego dna morza gdzie załoga topielców pływa
Zaroimy się nie podobni do żadnego opisu
krucjata nasza pożre świat wraz z szarańczą na nim
z gryzącym wapnem na twarzy odarci do kości z lic
w powietrzu jak nietoperze będziem krążyć poruszając skrzydłami

I wtedy uniosą się w niebo otwarte na ból fortepiany
przy nich stanie na apel orkiestra Armii Zbawienia
powietrze się zabieli od balonów z planet wysłanych
z materii której nie znam
przez ludzi o których nic nie wiem.

Wacław IWANIUK

KROCHMALNA

w kołyskach balkonów chorzy i starzy
wylęgają się za zgodą czasu

wiosna ledwie ma czas zakwilić,
że żyje,

a już odchodzi przedwcześnie
niedonoszonym płodem

pozostawia wylęknione życie

żyd z worem na pochyłych plecach
kaszle po odrapanym ganku
z przerywanym
handel

inny z okrzykiem „asof'' wymienia
kupy gałganów na salaterki,
cukierniczki
i fajansowe talerze

w podwórku-cyrku pajace

osowiała papuga wyciąga szczęśliwy horoskop

muzykant i śpiewak kłania się datkom

ja spożywam jabłko
w pryszczach

nade mną użala się zamyślony śmietnik,
gdy latarnia zagląda do niemytych powiek
kamienic

WALC

światło się spiętrza
w lustrze

wiruje,
faluje
na dwa pas i na trzy

stuka się z szybą
uchyloną do połowy
i z nami

zanurzamy stopy uparte
w błękitniejące nuty

snujemy rozmowy
każda ustaniu się wzbrania
zmuszona do trwania

naznaczmy im spotkanie
i wsłuchujemy się w ciszę
naszych
warg

RAYNAUD

trwa jeszcze po brzegach palnika
moje szczęście

z bólem się potykam

z ciała się wymykam

spoglądam nań z ukosa
i tłumię rozpacz dłońmi obiema
chcąc się rozminąć

gwiazd czujki śledzą pilnie śmierć
i mnie
i mówią jeszcze nie czas,
jeszcze nie raz

a ja odchodzę od kołyski
do teraz
przez Raynauda

W ZACHŁYŚNIĘTEJ KRTANI

w bezlistnym przepychu
drga krtań
zachłyśnięta
nadmiarem

wstrząsana dreszczem nagłym
nad umarłą,
której oczy się zwarły
drgawkami
udaru

zasłaniam się dłonią
oślepiony nieszczęściem

zatykam uszy stroniąc
przed bezimiennym głosem

przed kikutem brzozy
wyrastającym
wbrew prześwietlonej ziemi

przed wiatrem bielejącym
cieniem

nie zazieleni się moja baśń
we mgle przerażenia

nie wychyli ze snu
pogodnego czoła

W. K. WŁODKOWSKI

HYMN

wierzgać się chciało po trawkach
rosomechatych zabawkach
wierzgamy aż nas powierzgają
póty dzbanek wodę nosi
póki go wierzganie nie skosi
hej wierzgajmy wszyscy wraz
gdy ze świata robią zraz
kucharze cisi pieczeniarze gwiazd
wierzgajmy uszka zatykajmy
uszka różowe smaczniutkie wieprzowe
nie słyszmy że tam coś trzeszczy
w stawach jeziorkach posadkach wiązankach
złowieszczy interes niech kto chce łata
swata zatyka podpiera pstrzy
my za przepierzonkiem siedźmy
bredźmy w kółko o wolności
byczo igrajmy podłości na przekór
synekur nie bójmy się wojujmy
metafizycznie wierzgajmy po trawce
puszczajmy latawce wyobraźni
niech się błaźni podsmażany świat
od lat artretyzm go gnębi i tak
a my do przerębli skaczmy
kąpmy się w mróz bośmy krzepcy
teraz i zawsze i na wieki
właściciele dziedzice narodu
jak za młodu króle duchy
świat niech diabli hej otuchy

Bolesław TABORSKI

Archiwum polityczne

Rosyjski „Commonwealth"

Jak się to wszystko skończy? Jeżeli wojną, to istnieją pewne przesłanki umożliwiające rekonstrukcję finału. Ale jeżeli wojny atomowej nie będzie — to co nas czeka?

Próbę odpowiedzi na to pytanie można podjąć z dwóch perspektyw. Z perspektywy Moskwy lub z perspektywy Waszyngtonu.

Komunistę w Związku Sowieckim obowiązuje dogmat, który głosi, że obecny kryzys i rywalizacja skończą się światowym triumfem komunizmu. Spróbujmy wyobrazić sobie taką sytuację. Załóżmy teoretycznie, że na drodze pokojowej — jedynie przy akompaniamencie konwencjonalnych wojen lokalnych — na całym świecie powstały rządy komunistyczne. Jak wyglądałaby pozycja Moskwy w tego rodzaju układzie?

Przede wszystkim ze sceny dziejowej zniknęłoby ,,okrążenie kapitalistyczne''. Nie byłoby ani imperialistów, ani kapitalistów, ani monopolistów, ani Wall Street.

W sporze sowiecko-chińskim ,,okrążenie kapitalistyczne'' odgrywa wręcz decydującą rolę. Poczucie ideologicznej solidarności w obliczu potężnego wroga jest silniejsze niż suma różnic dzielących Pekin od Moskwy. Ale gdyby zniknął wspólny wróg pozostałyby tylko różnice, których nie byłoby już czym zabrukować.

Chcąc dać przybliżoną odpowiedź na pytanie jak wyglądałby świat komunistyczny musimy przyjrzeć się ewolucji w bloku wschodnim.

W okresie stalinowskim sprawy układały się jasno i przejrzyście. Na miano komunisty i rewolucjonisty zasługiwał tylko ten, kto (według słów Stalina) gotów był służyć ślepo i bez dyskusji Związkowi Sowieckiemu. Dla stalinowców ,,światowy triumf komunizmu'' oznaczał rozszerzenie Związku Sowieckiego na cały glob ziemski.

Powyższy mit stalinowski upadł nie tylko w świecie ale i w Moskwie. Nie będzie nigdy światowego związku komunistycznego rządzonego centralistycznie z Kremla. Tego typu związku nie powiodło się zbudować w znacznie mniejszej skali i to dziś, kiedy istnieje okrążenie kapitalistyczne w imię którego nawoływać można do jedności i solidarności.

Mimo, że w Sowietach wszystko jest ,,radzieckie'' Rosjanie nigdy nie byli takimi nacjonalistami jak są dzisiaj. Rozentuzjazmowany tłum, który witał Gagarina w Moskwie — to nie był tłum międzynarodowych komunistów, to nie był tłum ,,ludzi radzieckich'' — tylko masa upojonych sukcesem Rosjan. Siła, która pchnęła Gagarina w kosmos — to nie była ani chęć służenia ideałom ludzkości, ani głód wiedzy — lecz dynamiczny nacjonalizm rosyjski skojarzony z odwiecznym kompleksem niższości wobec Zachodu. Innymi słowy komunizm zamiast Rosjan ukosmopolitycznić — unarodowił ich.

Politycznym wyrazem nacjonalizmu jest zawsze i nieodmiennie imperializm. Gdyby Rosjanie byli internacjonalnymi, bezinteresownymi apostołami idei komunistycznej ich polityka nie spotykałaby się z takim oporem i nieufnością wewnątrz bloku wschodniego. Ale Rosjanie nie uprawiają ideologicznego apostolstwa tylko propagandę i zwyczajną *power policy*. Nacjonalistyczna polityka siły budzi zawsze reakcje nacjonalistyczne. Odpowiedzią na nacjonalizm jest nacjonalizm. Tego typu reakcję obserwujemy w Polsce i we wszystkich krajach ujarzmionych. Popularności Gomułki nikt nie mierzy kryteriami ,,proletariackiego internacjonalizmu'', lecz wręcz przeciwnie mierzy się go łokciem nacjonalizmu, tzn. stopniem niezależności od Moskwy.

W okresie stalinowskim nacjonalizm rosyjski identyfikowano z ,,internacjonalizmem proletariackim''. Tą operacją Rosjanie zagwarantowali sobie prawo do własnego nacjonalizmu pozbawiając równocześnie wszystkie inne narody tego samego prawa. Gdyby narody zaakceptowały stalinowską nieskomplikowaną filozofię — teoretycznie nie stałoby nic na przeszkodzie do zorganizowania z czasem światowego związku sowieckiego ze stolicą w Moskwie.

Rosjanie nie umieli przezwyciężyć swojego własnego nacjonalizmu — byłoby więc naiwnością z ich strony oczekiwać, że inne narody, którym komunizm narzucono przemocą — wykorzenią u siebie nacjonalizm. Jeżeli Rosjanie mają prawo do narodowego komunizmu dlaczegóż inni nie mieliby mieć tych samych praw?

Ale w świecie polityki siły, bez względu na tło ideologiczne, o wszystkim decyduje praktyka. Chiny nie są sowieckim satelitą nie dzięki rosyjskiej wspaniałomyślności, lecz po prostu dlatego, że są zbyt wielkie. Rosjanie nie mają praktycznej możliwości kontrolowania polityki Chin. I w rezultacie mogą mieć Chiny w bloku wschodnim tylko na chińskich warunkach.

Cierpliwy Czytelnik zauważy w tym miejscu, że choć to wszystko prawda niemniej przecież system funkcjonuje. Tak —

ale Chiny są jedne i izolowane. Jak funkcjonowałby system, gdyby było w nim kilka ,,Chin'' — tzn. kilka wielkich mocarstw, których Moskwa nie miałaby praktycznej możliwości kontrolować?

Gdyby Indie przekształciły się w mocarstwo komunistyczne byłyby prawdopodobnie zorientowane na Pekin, a nie na Moskwę. Czy leży w interesie Sowietów skomunizowanie Indii za cenę przekształcenia ich w satelitę Chin?

Gdy wybuchł kryzys w Laosie zastanawiano się dlaczego interwencji na rzecz komunistów podjęła się Moskwa, odległa o tysiące mil, a nie Chiny, które graniczą z Laosem. Kilku rzeczoznawców amerykańskich wysunęło hipotezę, że Moskwa chciała uprzedzić Pekin obawiając się, że interwencja chińska nie skończyłaby się na Laosie i objęłaby Indie, co doprowadzić by mogło do poważnego konfliktu.

Trudno odpowiedzieć na pytanie czy powyższa hipoteza jest prawdziwa. Można natomiast przyjąć niemal za pewnik, że nie leży w interesie Moskwy by Chiny objęły swym politycznym wpływem Indie i południowo-wschodnią Azję. Chiny mogłyby wówczas dojść do wniosku, że mogą zorganizować swój własny blok państw komunistycznych pod przywództwem Pekinu.

Komunizm nie umiał rozwiązać problemu nacjonalizmu. Upaństwowienie środków produkcji i dystrybucji nie zmienia w niczym poczucia narodowego. Nacjonaliści nie muszą mieszkać w prywatnych domach. Mogą żyć i rozmnażać się z powodzeniem w państwowych blokach mieszkaniowych. Socjalizm *per se* nie rozwiązuje zagadnień narodowościowych. Slogan o kulturze narodowej w formie a socjalistycznej w treści pozostanie pustym frazesem dopóki sowiecka polityka zagraniczna nie będzie socjalistyczną z ducha i z treści. Dziś polityka sowiecka jest socjalistyczna w formie a imperialistyczna w treści i to stanowi sedno całego zagadnienia.

Komunizm dokonał rewolucji na wszystkich polach z wyjątkiem polityki zagranicznej. W płaszczyźnie stosunków międzynarodowych nie nastąpiły żadne zmiany. A jeżeli nastąpiły to na gorsze, a nie na lepsze. Szarża Kozaków na Placu Grzybowskim w Warszawie wydaje się romantyczną idyllą w porównaniu z sowieckimi czołgami na ulicach Budapesztu.

Imperializm rosyjski determinuje stały wzrost nacjonalizmów polskiego, węgierskiego, rumuńskiego itd. Identycznie jak imperializm brytyjski był rodzonym ojcem nacjonalizmu indyjskiego.

Młody polski komunista, z którym przed kilku laty rozmawiałem na temat Rosji, ujął to zagadnienie następująco: ,,Tak zwany imperializm sowiecki jest w treści swej rewolucyjny i tym samym nie jest imperializmem''.

Gdyby tak było, nie powstałyby obiektywne przyczyny wewnątrz bloku wschodniego, które spowodowały ewolucję od ,,bloku sowieckiego'' po ,,blok państw komunistycznych'' — od kominternu i kominformu po luźne konferencje przywódców

partii komunistycznych — od czerwonego papieża Stalina po Chruszczowa, który na konferencji 81 partii komunistycznych w grudniu ub. roku zrzekł się tytułu przywódcy.

Obserwując ewolucję w bloku wschodnim można przyjąć za pewnik, że komunizm w wydaniu sowieckim nie zjednoczy świata nawet, gdyby większość państw naszego globu przyjęła komunizm. Skłonny jestem przypuszczać, że premier czerwonych Indii zależnych od Pekinu byłby w znacznie gorszych stosunkach z Chruszczowem niż premier Nehru.

Załóżmy dla przykładu, że Ameryka na drodze ewolucji czy rewolucji przyjęła komunizm. Jest oczywiste, że komunistyczne Stany Zjednoczone nie byłyby niczyim satelitą. Waszyngton skupiłby wokół siebie państwa obu amerykańskich kontynentów, a marksizm-leninizm w wydaniu anglosaskim zapewne bardzo by się różnił zarówno od interpretacji Moskwy jak i Pekinu. Jeżeli dziś mała Albania może być bardziej pro-chińska niż pro-sowiecka — to może wówczas Warszawa mogłaby być bardziej pro-amerykańska niż pro-rosyjska. Dziś łatwo jest zwalczać wpływy amerykańskie w Polsce w imię walki z kapitalizmem, imperializmem i reakcją. Ale zwalczać wpływ czerwonej Ameryki w Polsce — nawet gdyby ów wpływ oznaczał w oczach Moskwy herezję — byłoby bardzo trudno. Prowadziłoby to do powikłań z potężnym blokiem komunistycznym państw obu Ameryk.

Światowy triumf komunizmu osiągnięty na drodze pokojowej — o czym przy każdej okazji deklamuje prem. Chruszczow — prowadziłby nieuchronnie do deklasacji Związku Sowieckiego. Dziś Związek Sowiecki jest państwem nr 1 w bloku państw komunistycznych i w oparciu o ten blok jest drugim mocarstwem świata. Ale w świecie komunistycznym istniałyby potężniejsze bloki od bloku sowieckiego. Blok chińsko-azjatycki z Indiami i z Japonią, blok obu Ameryk, blok zachodnio-europejski z Niemcami i Wielką Brytanią i seria bloków pomniejszych. W takim układzie Związek Sowiecki nie byłby drugim mocarstwem świata. Spadłby na trzecie, a może na czwarte miejsce.

Po pewnym czasie mielibyśmy stare wino w nowych beczkach. Jeżeli w Związku Sowieckim — ojczyźnie rewolucji — komunizm stał się dynamem polityki siły i zaborczości — nie ma powodu przypuszczać, że ten sam komunizm przemieni Chińczyków, Japończyków czy Niemców w pacyfistycznych, kosmopolitycznych apostołów. Raczej należy uznać za pewne, że nowopowstałe bloki państw komunistycznych uprawiałyby *power politics* wydzierając sobie kraje i kontynenty.

Obserwując rozwój sytuacji w obecnym bloku państw komunistycznych, należy wnioskować, że o zgodę i jedność w świecie komunistycznym byłoby niepomiernie trudniej niż w świecie dzisiejszym. Dziś zgoda między Moskwą a Pekinem uwarunkowana jest między innymi istnieniem potężnego okrążenia kapitalistycznego. Poza tym Sowiety górują gospodarczo i militarnie nad wszystkimi państwami bloku wschodniego z Chinami

włącznie. W ramach bloku są jedynym mocarstwem atomowym. Innymi słowy Związek Sowiecki ma możliwość kontroli i interwencji. Może wstrzymać pomoc, dostawy surowców, zamrozić kredyty. W ostateczności może wysłać czołgi i samoloty.

W świecie komunistycznym to wszystko by się skończyło. Jeżeli Sowiety byłyby nadal potęgą atomową to i komunistyczna Ameryka byłaby potęgą atomową. A jeżeli przeprowadzono by ogólne rozbrojenie, to Moskwa ani w stosunku do bloku amerykańskiego ani w stosunku do bloku azjatycko-chińskiego nie miałaby możliwości ani kontroli, a tym mniej interwencji.

Historyczne doświadczenie stuleci uczy nas, że jedność doktryny można zachować tak długo dopóki heretyka można spalić na stosie. Stalin rozumiał to doskonale. Rozumie to i Chruszczow czego najlepszym dowodem był Budapeszt. Różnica pomiędzy Tito i Imre Nagy w świetle realnej polityki siły sprowadza się tylko do jednego punktu. Węgry mają wspólną granicę z Rosją — Jugosławia nie ma wspólnej granicy z Rosją.

Historia ewolucji państw komunistycznych dostarcza niezbitych dowodów, że szansa herezji rośnie w stosunku proporcjonalnym w miarę oddalania się od Moskwy. Heretycy, jeżeli mają po temu możliwość, nie wahają się szukać poparcia u „innowierców" by zabezpieczyć swą niezależność. Tito w r. 1954 podpisał tzw. pakt bałkański z Grecją i Turcją. Pomoc Stanów Zjednoczonych dla Tity wyraża się do tej pory pokaźną sumą 940 milionów dolarów.

To wszystko jest zrozumiałe. W epoce imperializmu ideologicznego swą niezależność w ramach świata komunistycznego zaznaczyć można jedynie w płaszczyźnie ideologicznej. NRD jest satelitą w porównaniu z Jugosławią nie dlatego, że w Niemczech wschodnich stacjonują dywizje sowieckie — lecz dlatego że Ulbricht jest ideologicznym „yes-man'em" Chruszczowa, a Tito nie. Ulbricht jest konformistą, bo konformizm można mu narzucić siłą. I to stanowi istotę jego satelictwa.

Ludzie na Zachodzie nie mogą pojąć jaki jest cel owych „teologicznych" dyskusji pomiędzy komunistami jugosłowiańskimi a sowieckimi. W Bibliotece „Kultury" opublikowaliśmy dyskusję sowiecko-jugosłowiańską, dotyczącą programu „Związku Jugosłowiańskich Komunistów". Ale trzeba zrozumieć, że w świecie komunistycznym, do którego należy Jugosławia — nie ma innej drogi do zdobycia niezależności, niepodległości i własnej narodowej identyczności. Ktoś powie po co im w ogóle komunizm? To nie jest odpowiedź, ponieważ tu nie chodzi o zagadnienie komunizm *versus* demokracja tylko o kardynalny problem świata komunistycznego. Jugosłowiańscy komuniści chcą być komunistami. Ale chcą być komunistami pełnoletnimi, którzy mają prawo do własnego zdania, którzy mają prawo do samostanowienia tak o Jugosławii jak i o jugosłowiańskim komunizmie. Rewizjoniści, tak polscy jak i jugosłowiańscy, rozumieli bowiem, że ortodoksja moskiewska nie jest tylko ideologicznym konformizmem lecz *wyrazem politycznej niewoli*. So-

cjalizm w jego marksistowskim wydaniu ostanie się tylko wówczas, gdy nie będzie trzeba identyfikować go z ideologicznym konformizmem wymuszonym siłą.

Konformizm obrabowuje ruch komunistyczny z najwartościowszych jednostek. Tylko komuniście z oportunizmu jest wszystko obojętne. Tylko dla karierowiczów bez własnych przekonań nie istnieją problemy. Komunista ideowy z przekonania i z mózgiem chce współ-tworzyć i współ-odpowiadać za ruch, któremu służy i dlatego nie zrezygnuje z własnych przekonań na rzecz zadekretowanego z Moskwy konformizmu. Innymi słowy to co Sowiety piętnują mianem rewizjonizmu jest ruchem niepodległościowym w sferze ideologicznej. Komunizm jeżeli się ma ostać musi być do pogodzenia z niepodległością, niezależnością i z prawem do autonomicznej narodowej interpretacji. Nigdy nie było i nigdy nie będzie ideologii, w imię której ludzie i narody byłyby gotowe zrezygnować z prawa do własnych przekonań — choćby w ramach doktryny — i z prawa do niepodległości choćby w ramach bloku czy sojuszu.

Gdybyśmy podsumowali nasze dotychczasowe rozważania to należałoby stwierdzić, że komunizm w wydaniu sowieckim można by narzucić światu tylko siłą. Sowiety musiałyby mieć możliwości bezpośredniej interwencji w każdym wypadku odstępstwa od zadekretowanego konformizmu. Wszystkie stolice świata musiałyby być zredukowane do statusu Budapesztu. Nawet gdyby Sowiety były jedynym mocarstwem, które zachowałoby bronie atomowe — satelizacja świata przekraczałaby ich praktyczne możliwości. Współczesny blok państw komunistycznych nie składa się z samych satelitów mimo, że w orbicie komunistycznej Rosja jest jedynym mocarstwem atomowym. Bomby atomowe można użyć w wojnie światowej, ale nie jako instrumentu interwencji. Kolumna pancerna wystarczała, by zgnieść powstanie węgierskie, ale interwencja w Chinach oznaczałaby wojnę z wszystkimi jej nieprzewidzianymi wewnętrznymi i zewnętrznymi konsekwencjami. I dlatego interwencji sowieckiej w Chinach nie było i nigdy nie będzie. Możliwa jest tylko totalna wojna sowiecko-chińska.

Gdybym był komunistą sowieckim rozumowałbym następująco. Satelizacja jest możliwa tylko na długość ramienia. Ramię sowieckie sięga do Warszawy, Pragi, Bukaresztu, ale nie sięga już do Białogrodu. Doświadczenie ostatnich kilkunastu lat uczy nas, że wszędzie tam, gdzie nie sięga ramię sowieckie rodzi się narodowy, niezależny komunizm. Stąd wniosek, że przybywać będzie nowych Jugosławii i Chin, a nie Węgier czy Niemiec wschodnich. Dziś Chruszczow na konferencjach przywódców partii komunistycznych może zmobilizować front swoich ludzi, ale gdyby skomunizowanie świata postępowało — Sowiety mogłyby się znaleźć w sytuacji Stanów Zjednoczonych w ONZ, tzn. stracić automatyczną większość.

Skłonny jestem przypuszczać, że przywódcy sowieccy są więźniami nie tylko własnej doktryny, ale i własnego nacjona-

lizmu. Wydaje im się, że ich narodowy komunizm jest najczystszej wody marksizmem-leninizmem, a rosyjski imperializm najautentyczniejszym „proletariackim internacjonalizmem". Faktem jest jednak, że *copyright* na ideologię kończy się z chwilą kiedy się zaczyna ją eksportować. Konformizm doktrynalny można utrzymać w jednym państwie czy w jednym imperium, ale jest naiwnością przypuszczać, że można go narzucić całemu światu.

Mimo, że sympatie nasze są po stronie Ameryki — należy stwierdzić, że tak Stany Zjednoczone, jak i Związek Sowiecki bardzo często mylnie odczytują sens współczesnych przemian historycznych. Wielkim mocarstwom zaprzątniętym globalną polityką trudno jest czasem zrozumieć rewolucję średnich i małych narodów.

Jeżeli w państwie X wybucha rewolta, Chruszczow uważa, jest to „nieuchronny proces historyczny", wiodący prosto do komunizmu. Faktem jest jednak, że narody w Azji, w Afryce czy w Ameryce łacińskiej nie tęsknią do komunizmu tylko do wolności i niepodległości. Usiłując zgnieść owe dążenia wolnościowe wpycha się je w orbitę polityki sowieckiej.

Nie żywimy żadnych sympatii w stosunku do dr. F. Castro, którego reżym nie ma nic wspólnego z demokracją. Niemniej jednak należy stwierdzić, że niepodległość na Kubie oznacza niezależność od Stanów Zjednoczonych tak jak niepodległość Polski oznaczać musi niezależność od Rosji. Racje geopolityczne nie mogą kwestionować praw do niepodległości żadnego narodu. Natomiast od niepodległej i demokratycznie rządzonej Kuby, Stany Zjednoczone mają tytuł oczekiwać życzliwej postawy. W numerze rosyjskim „Kultury" stwierdziliśmy również, że i od demokratycznego rządu niepodległej Polski, Rosja miałaby tytuł oczekiwać życzliwej postawy.

Gdyby przywódcy sowieccy wyszli ze swojej ideologicznej klatki zrozumieliby wówczas, że proces historyczny bynajmniej nie pokrywa się z proroctwami marksizmu-leninizmu. Dwa wielkie kolonialne imperia brytyjskie i francuskie ogarnięte są rewolucją, ale nie komunistyczną tylko wolnościową i niepodległościową. W czasokresie jednej generacji w imperium francuskim 40,000,000 ludzi zdobyło niepodległość, a w imperium brytyjskim 600,000,000.

Jeżeli można mówić o jakiejś autentycznej sile historycznej to jest nią nie komunizm, lecz wolność. Historia nie jest po stronie ani marksistów ani kapitalistów, lecz po stronie tych, którzy umieją w porę odczytać jej nurt. Przywódcom sowieckim wydaje się, że komunizm jest czarodziejską formułą, która pozwala być równocześnie „niepodległym" i satelitą Moskwy. Ta formuła, która stanowi treść „proletariackiego internacjonalizmu" zawiodła już w bloku państw komunistycznych (Chiny, Jugosławia). Więc czego można po niej oczekiwać w skali światowej?

Fakty, jeżeli ktoś gotów jest analizować je obiektywnie, mówią coś wręcz innego. Metoda komunistycznej industrializacji, jeżeli w danym kraju (w porównaniu z przeszłością) przy-

nosi sukces — wzmaga nacjonalizm i dążenia niepodległościowe. Każda nowa fabryka i każdy nowy zakład przemysłowy uniezależnia Chiny od Rosji i to nie tylko gospodarczo, ale politycznie i ideologicznie.

Nie wszyscy komuniści rezygnują z niepodległości na rzecz ,,proletariackiego internacjonalizmu'' czyli satelictwa. Rezygnują tylko ci i wyłącznie tylko ci, którzy mają dywizje sowieckie na swoim terytorium i wskutek tego muszą liczyć się z interwencją. Nie ma żadnego ,,proletariackiego internacjonalizmu'' — jest tylko sowiecki interwencjonizm i na tym kropka. Tam gdzie nie sięga już zbrojne ramię Sowietów, tam kończy się również ,,internacjonalizm''.

Wygrywają zawsze ci, którzy trafnie odczytują sens procesów dziejowych i w planowaniu swym wyprzedzają Historię. Obóz komunistyczny nie może dzielić się na państwa satelickie i na państwa niepodległe. Dlaczego? Dlatego, że jeżeli za prem. Chruszczowem przyjmiemy, że komunizm będzie się rozszerzał — to przybywać będzie niepodległych państw komunistycznych, a nie satelitów. Przybywać będzie również i satelitów, ale nie Moskwy tylko Pekinu.

Rewolucja, która ogarnęła kontynenty Afryki, Azji, Ameryki łacińskiej — stworzy z czasem wokół imperium sowieckiego znacznie groźniejsze otoczenie niż obecne ,,otoczenie kapitalistyczne''. Powstaną setki małych i średnich państw, które zdobędą wolność i niepodległość. Państwa te tworzyć będą regionalne federacje lub luźne związki organizacyjne jak ,,brytyjski'' *Commonwealth,* który oficjalne nie nazywa się nawet *British.*

Powtarzam: Ani komunizm sowiecki ani najbardziej liberalna i oświecona kolonialna polityka mocarstw zachodnich nie zdołały rozwiązać problemów narodowościowych — nie zdołały przekonać ludzi na pięciu kontynentach, że tylko pewne narody mają prawo do niepodległości, a inne narody ,,nie warte kilku kopiejek'' — by użyć frazy prem. Chruszczowa — tych praw nie mają. I również należy jeszcze raz podkreślić, że komunizm nie okazał się skuteczną namiastką wolności. Na satelictwo godzą się tylko ci komuniści, którzy muszą się godzić, a konformizm sowiecki akceptują tylko te partie komunistyczne, które można przywołać do porządku groźbą zbrojnej interwencji.

Walter Lippmann przyrównał niedawno Chruszczowa do Metternicha. Porównanie — choć Lippmann inaczej interpretował analogię — jest bardzo trafne. Metternich był wrogiem wolności i obrońcą ,,starego porządku'' i całe życie straszyło go widmo ,,Wiosny Ludów''.

Nie zdajemy sobie sprawy ze skali przemian. Tym razem nie chodzi o garść rewolucjonistów w genewskich kawiarniach ani o uliczne rozruchy w kilku europejskich stolicach. Dziś fermentują i burzą się nie tylko narody, ale całe kontynenty.

Doświadczenie historyczne uczy nas, że reżymy nigdy się nie reformują tylko upadają. Ale są wyjątki. Przyszłość Rosji

jako światowego mocarstwa zależeć będzie od tego czy ustanowi nowy wyjątek od przytoczonej wyżej reguły.

Nie można popierać wolności na Kubie, gdy się ją kruszy na Węgrzech. Nie można być antykolonialnym w Afryce a prokolonialnym w Europie wschodniej. Rosjanie sądzą, że kolonializm sowiecki nie jest kolonializmem tylko dlatego, że jest sowiecki. Kto w to ma wierzyć poza wybranym narodem rosyjskim? Czy Rosjanie sądzą, że dzięki tej semantycznej formułce w zmienionym świecie oni jedni utrzymają swoje kolonialne imperium?

Semantyczne możliwości w tej dziedzinie są zarówno wyczerpane jak i zdyskredytowane. Mieliśmy już czarnych Portugalczyków, kawowych Francuzów, ale kolonialnemu władaniu życia to nie przedłużyło. Kolonializm jest kolonializmem bez względu na terminologię. Gdyby Polacy i Węgrzy byli czarni świat trząsłby się z oburzenia a na kolonizatorów sowieckich sypałyby się zewsząd gromy potępienia. Ale niewątpliwie i na białych Murzynów przyjdzie kolej.

Obecne imperium sowieckie miałoby szansę przetrwania w metternichowskim świecie. Gdyby rządy spoczywały w rękach wielkich mocarstw, których jedynym zadaniem byłoby podtrzymywanie *status quo* — wówczas sowieckiemu imperium nic by nie zagrażało. Ale od czasów Stalina i Roosevelta nastąpiła olbrzymia decentralizacja władzy nad światem. Decentralizacja władzy nastąpiła również w bloku państw komunistycznych. Ten proces będzie postępował.

W epoce po-kolonialnej ku której zmierzamy — Rosjanie mogliby utrzymać swój mocarstwowy status tylko za cenę przebudowy swego imperium w *Commonwealth* — we wspólnotę wolnych i niepodległych narodów. Nie ma innej drogi rozładowania problemu narodowościowego, który jest kardynalnym zagadnieniem, a w końcu i kamieniem grobowym każdego imperium.

Rosjanie sądzą, że ich to nie dotyczy, bo Historia jest po ich stronie. Ale narody, które Rosja ujarzmia nie są po jej stronie i w ostatecznym rozrachunku tylko to będzie się liczyć.

W niniejszym artykule chcieliśmy tylko ogólnie zarysować problem do którego jeszcze powrócimy. Te rozważania pragnąłbym zamknąć uwagą, że mówiąc o przebudowie sowieckiego imperium *Commonwealth* nie mamy na myśli kontrrewolucji tylko ewolucję. Powolny, stopniowy, nieustępliwy napór. Przed „białymi Murzynami" we wschodniej Europie nie ma innej drogi niż ta, którą kroczyło 600.000.000 byłych poddanych brytyjskiego kolonialnego imperium. Imperia nie reformują się dobrowolnie. Reformują się poprzez koncesje, które trzeba kolejno wywalczać.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Algier

Jednobrzmiące komunikaty, ogłoszone dzisiaj w Paryżu i w Tunisie podały, że 20 maja rozpoczną się w Evian, nad Lemanem, rokowania francusko-algierskie. Długoletni dramat, zużywający siły materialne i moralne narodu, który nadawał w ciągu kilku wieków ton kulturze europejskiej, wchodzi w okres rozstrzygający. Jeżeli te rokowania doprowadzą do pokoju i konstruktywnego rozwiązania najtrudniejszego spośród istniejących obecnie zagadnień dekolonizacyjnych, Francja będzie mogła powrócić do Europy z całym ładunkiem swego geniuszu ludzkiego, a z tą chwilą kto wie, czy nowe perspektywy nie otworzą się przed światem zachodnim.

Sprawa Algierii wykracza bowiem znacznie poza ramy likwidacji dawnego francuskiego imperium kolonialnego. Po klęskach, poniesionych przez Zachód na Kubie i w Laosie, Algier nabrał charakteru najpoważniejszego obiektu wojny politycznej pomiędzy Zachodem i komunistycznym Wschodem. Zwycięstwo koncepcji de Gaulle'a będzie jednocześnie odzyskaniem przez świat zachodni pozycji moralnej i politycznej wobec obszarów narodowości i ras, które przechodzą proces dekolonizacyjny. Jej niepowodzenie groziłoby przyjęciem przez przyszłą Algierię orientacji wschodniej i oznaczałoby dla Zachodu klęskę dokliwszą od dotychczasowych.

Dochodzi do tego nadlemańskiego spotkania po siedmiu latach wojny, od pewnego czasu prawie całkowicie pozbawionej klasycznych operacji wojskowych, a polegającej z jednej strony głównie na morderczej akcji terrorystycznej, zatruwającej atmosferę życia codziennego i ład społeczny, z drugiej zaś — na strzeżeniu ogromnymi siłami wojskowymi bezpieczeństwa publicznego i normalnego biegu życia ludności, zarówno europejskiej, jak muzułmańskiej. Generał de Gaulle, od chwili swego powrotu do władzy na skutek wydarzeń majowych 1958, rozpoczął konsekwentną akcję, zmierzającą do zakończenia tej beznadziejnej wojny rozwiązaniem politycznym, skoro środki wojskowe, pomimo przytłaczającej przewagi sił i całkowitego niemal opanowania terenu w znaczeniu operacyjnym, okazały się niewystarczające.

U schyłku IV Republiki ścierały się z sobą po stronie francuskiej dwie koncepcje rozwiązania sprawy algierskiej: całkowita integracja w ramach państwa francuskiego i autonomia państwowa w organicznym związku z Francją. Pierwsza z tych koncepcji pochodziła z kół kierowniczych ludności europejskiej Algierii i miała poparcie armii. Druga, oficjalna, nie miała żadnych szans realizacji na skutek bezsilności kolejnych rządów. W wyniku starcia pozorne zwycięstwo odniósł obóz inte-

gracyjny, opanowując w maju 1958 ulice Algieru i powodując przez bezpośrednie zagrożenie metropolii upadek IV Republiki, która, w ostatnim odruchu obrony powołała do władzy samotnika z Colombey-les-Deux Eglises.

Generał de Gaulle, dokonawszy oceny położenia w Algierze i pozycji Francji w świecie, uznał koncepcję integracji za przestarzałą co najmniej o 10 lat. Prawdopodobnie, jak o tym świadczą jego przemówienia, rozważał przez jakiś czas możliwość zastosowania koncepcji autonomicznego państwa algierskiego w organicznym związku z Francją. Z tych czasów pochodzi znany slogan o Algierii algierskiej w przeciwstawieniu do głoszonego przez integracjonistów sloganu Algierii francuskiej. We wrześniu 1959 pierwszy prezydent V Republiki, przy entuzjastycznym uznaniu przez opinię całego świata, zapowiada rozstrzygnięcie sprawy Algierii w drodze samookreślenia, w głośnym od tej pory tryptyku: Algieria francuska, Algieria algierska, niepodległość. Obóz skrajnie nacjonalistyczny, zarówno w metropolii, jak i szczególnie w Algierze, przeceniając sympatie armii i poparcie, którego doznaje ze strony sztabów i biura akcji psychologicznej, przechodzi do coraz to gwałtowniejszej opozycji wobec szefa Państwa i wreszcie decyduje się bronić swej koncepcji w drodze akcji bezpośredniej. W styczniu 1960 ludność europejska Algieru wychodzi na ulice, organizacje nacjonalistyczne wznoszą barykady. Wojsko jednak nie dopisuje, zajmuje zaledwie postawę życzliwej neutralności. W Paryżu rozlega się potężny i zdecydowany głos szefa państwa, a magia jego prostych, trafnie dobranych i miażdżących słów kruszy wszystkie opory. Wydawało się, że zdjęta została ze sprawy algierskiej hipoteka spisku skrajnie nacjonalistycznego i burzliwego Forum Algieru. Odniósłszy zwycięstwo w zasadzie, rząd paryski zastosował metodę pobłażliwości w konsekwencjach. Zamiast represji, przeprowadzono kontredans przeniesień kilkudziesięciu oficerów i urzędników z Algierii do metropolii i odwrotnie. Niestety, przeniesieni zabrali z sobą swoje idee i uprzedzenia, zachowując w wielu wypadkach związki o charakterze spiskowym. Długotrwały ,,proces barykad'', wytoczony osobistościom najbardziej skompromitowanym, zamienił się w trybunę propagandową.

Niektórzy zwolennicy koncepcji gen. de Gaulle'a w metropolii i zagranicą, zarzucają mu niewykorzystanie zwycięstwa, odniesionego nad styczniową rewoltą algierską, kiedy, dzięki spotęgowanemu auterytetowi mógł był narzucić swoją wolę i doprowadzić do otwarcia rokowań z algierskim frontem wyzwolenia narodowego (F.L.N.).

Niestety, mimo swego geniuszu politycznego generał de Gaulle nie jest wszechmocny. Nawet on nie potrafi podważyć zasady, że negocjacja nie może się odbyć bez udziału strony przeciwnej. Z punktu widzenia G.P.R.A. (,,Rząd tymczasowy republiki algierskiej'') sytuacja w roku 1960 nie była dojrzała do rozpoczęcia rozmów. Operacyjnie obszar Algierii został opanowany przez wojska francuskie, oddziały tzw. Armii Wyzwolenia Na-

rodowego mogły sobie pozwolić zaledwie na sporadyczne wypady ze swoich baz w Tunisie i w Maroku. Jest w interesie każdej strony walczącej nie przystępować do negocjacji inaczej jak z pozycji siły, chyba, że jej brak zmusza do kapitulacji. Wytężone zabiegi G.P.R.A., zmierzające do osłabienia pozycji politycznej Francji w planie międzynarodowym przez wykorzystanie poparcia bloku sowieckiego i grupy afro-azjatyckiej na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych, poczyniły w roku 1960 niewątpliwe postępy. Zaczęła też napływać, głównie do baz tunizyjskich, pomoc w broni i materiale wojskowym ze strony państw bloku sowieckiego. W ocenie G.P.R.A. czas działał na korzyść powstania, nie należało się więc spieszyć. W wyniku tej oceny Algierczycy wycofali się w sierpniu 1960 z negocjacji w Melun pod pozorem nieporozumień proceduralnych. Nie tylko jednak względy obiektywne skłaniały G.P.R.A. do zwlekania. Kierowniczy zespół powstania nie jest bynajmniej monolitem politycznym. I w jego łonie ścierają się rozbieżne poglądy i interesy. W jego skład wchodzą ludzie dwóch generacji, różnego pochodzenia społecznego różnej przeszłości politycznej. Obok polityków, często zawodowych (Ferhat Abbas był posłem do parlamentu francuskiego i przeciwnikiem niepodległości Algieru wtedy, kiedy o nią walczył Messali Hadż), zasiadają w tym zespole wojskowi, przybyli z pola walki, a wśród nich za postać reprezentatywną uchodzi Belcacem Krim, przyszły kierownik delegacji, mającej się udać do Evian.

Według wiadomości, uporczywie nadchodzących w ciągu ostatnich miesięcy, swobodę decyzji politycznych G.P.R.A. paraliżować miał spór między tendencją narodowo-niepodległościową, grupującą elementy względnie umiarkowane i wojskowe a tendencją rewolucyjną, grupującą czynniki młodsze. Zwolennicy tendencji rewolucyjnej wypowiadają się za przeprowadzeniem w przyszłej niepodległej republice algierskiej przemian gospodarczych i społecznych według modelu chińskiego, ich zdaniem najbardziej odpowiedającego krajom gospodarczo niedorozwiniętym i stawiającym sobie za cel szybkie uprzemysłowienie. W konsekwencji, wypowiadają się przeciwko jakiemukolwiek porozumieniu z Francją, a za kontynuowaniem wojny i dążeniem do jej umiędzynarodowienia. Gdyby to ostatnie dążenie okazało się nieosiągalne, z rozpoczęciem rokowań należy wyczekać, ich zdaniem, do chwili, kiedy nacisk opinii publicznej w metropolii, a zwłaszcza jej odłamu skrajnie lewicowego (komuniści i tzw. Zjednoczona Partia Socjalistyczna, ,,P.S.U.'') zmusi rząd francuski do bezwarunkowego wyrzeczenia się Algierii i do pogodzenia się z jej przejściem do obozu ,,pozytywnej'' neutralności, zorientowanej na blok sowiecki.

Nie bez wpływu wreszcie na przedłużającą się wstrzemięźliwość G.P.R.A. w sprawie przystąpienia do rokowań pozostawała do ostatnich tygodni nieufność co do istotnych zamiarów de Gaulle'a. Przywódcy powstania wytworzyli wśród sobie prawdziwą obcesję, którą nazwali pułapką negocjacyjną. Miała ona

polegać jakoby na wciągnięciu ich w rokowania ze z góry powziętym zamiarem zerwania pod jakimkolwiek pozorem, mającym skompromitować G.P.R.A. i umożliwić de Gaulle'owi stworzenie organicznie związanego z Francją państwa autonomicznego przy udziale Messali Hadż i muzułmańskich posłów algierskich do parlamentu francuskiego, oraz przedstawicieli europejskiej ludności Algierii. Gdy francuski minister spraw algierskich oświadczył w wywiadzie prasowym, że będzie rozmawiał z Messali Hadż, tak, jak będzie rozmawiał z G.P.R.A. przywódcy powstania uznali swoje urojenia za rzeczywistość i uchylili się od negocjacji, wyznaczonej pierwotnie na 8 kwietnia. Dopiero przemówienie de Gaulle'a z 11 kwietnia, oraz zdławienie przez niego zamachu wojskowego czwórki emerytowanych generałów, przekonało G.P.R.A. o szczerości intencji prezydenta Francji.

Ostatnim czynnikiem, który wpływał hamująco na realizację koncepcji algierskiej de Gaulle'a była armia. Nie dowodzona i pozostawiona sama sobie w okresie IV Republiki, zamknęła się ona w ramach tradycyjnych pojęć wojskowych, jak honor i jedność, pojęte, jako najwyższe kryteria. W okresie nieobecności państwa zaczęła sama, może z konieczności, określać swoje zadania, przekształcając się, konsekwentnie, w siłę polityczną. Służyła w swoim rozumieniu dobru narodu francuskiego, którego granice zamieszkania chciała widzieć na przestrzeni od Dunkierki do Tamanraset, w głębi Sahary i za którego składową część uważała za możliwe uznawać 10 milionów muzułmanów. Pojęcie honoru zabraniało jej opuszczenia w jakiejkolwiek sytuacji miliona Europejczyków, którzy swoim wysiłkiem stworzyli wszystko to, co Algieria posiada wartościowego. Z tego samego powodu armia uważała za swój obowiązek dochowanie wierności wobec tej części ludności muzułmańskiej, która deklarowała się po stronie Francji. Ośrodkiem, który wypracowywał polityczną doktrynę wojska w Algierii było biuro akcji psychologicznej w sztabie naczelnego dowódcy. Oddziaływało ono głównie na kadry oficerskie i na oddziały wyspecjalizowane, (wojska spadochronowe, Legia Cudzoziemska), w których panowała ślepa dyscyplina i ściślejsza, niż gdzie indziej solidarność z dowódcami. Na skutek normalnego ruchu personalnego doktryna polityczna wojska przenikała zarówno do oddziałów, stacjonowanych w Niemczech, jak do metropolii, gdzie spokrewniała się z podobnymi prądami cywilnymi, głoszonymi jawnie i tajnie. Na tej podstawie powstał powstał spisek, który obalił IV republikę. Na tej podstawie poważna część zawodowych kadr wojskowych przeszła do opozycji wobec szefa państwa w miarę krystalizowania się jego koncepcji algierskiej.

Nieporozumienie polega na tym, że armia, pełniąca swą służbę w atmosferze dramatycznego napięcia, trwającego od siedmiu lat, w nastroju solidarności z europejskim farmerem, który po całodziennej pracy na roli barykaduje się na noc, w ciągłej gotowości do obrony przed napadem, poczuwająca się do odpowiedzialności za bezpieczeństwo muzułmańskiego mera,

który wykonuje swe obowiązki pomimo wyroków śmierci, jakie otrzymuje ze strony powstańców — zaczęła utożsamiać dobro Francji z losem obszaru geograficznego, którego bezpieczeństwo powierzono jej pieczy. Koncepcja de Gaulle'a wywodzi się również ze źródeł nacjonalistycznych, ale bardziej zgodnych z duchem dziejów Francji i bardziej nowoczesnych. Zapewne, przewaga materialna Francji mogłaby jej pozwolić na utrzymaniu się siłą na obszarze od Algieru do Tamanraset i zachować pod swoją kontrolą autonomiczny twór państwowy, stworzony przez siebie bez udziału powstańców, ale ceną takiego rozwiązania byłoby przedłużenie wojny, prawdopdobnie jej umiędzynarodowienie, zmobilizowanie przeciwko Francji świata arabskiego, utrata wpływów w murzyńskiej Afryce pofrancuskiej, przejście Maroka a może i Tunisu na neutralizm o orientacji prosowieckiej, izolacja polityczna Francji na terenie O.N.Z. i w dalszej konsekwencji oskrzydlenie sfery OTANU od południa przez penetrację sowiecką. Generał de Gaulle przeciwstawia koncepcji państwa, utrzymującego się siłą na określonym obszarze geograficznym ideę Francji wiecznej, promieniującej na świat i atrakcyjnej zarówno w sferze swoich bezpośrednich wpływów politycznych i gospodarczych, jak i poza nią, siłą swego oddziaływania kulturalnego. Wierzy on w misję swego kraju i w tym znaczeniu utożsamia się z Francją jak żaden z mężów stanu z wyjątkiem może Richelieu. To poczucie misji uzbraja go w nieprawdopodobną odwagę i pewność siebie. Jak pisze jeden z jego krytyków, jest generał de Gaulle ,,jedynym nowoczesnym mężem stanu, posiadającym wolę zakrojoną na miarę dramatów dwudziestego wieku''. Tylko on może zakończyć dramat algierski w sposób, godny Francji, jako symbolu pewnej kultury i pewnej postawy etycznej.

Ostateczny zarys koncepcji gen. de Gaulle wyraża jego przemówienie z 11 kwietnia tego roku. Polega ona na stworzeniu państwa algierskiego niezależnego ,,na wewnątrz i na zewnątrz'', a więc o pełnej suwerenności. Państwo algierskie przystąpić powinno do dobrowolnego związku z Francją, która udzieli mu pomocy w zakresie bezpieczeństwa, rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Ostateczna decyzja powzięta będzie przez ludność Algierii, europejską i muzułmańską, w drodze samookreślenia przez referendum. Gdyby samookreślenie wypadło przeciwko Francji, pozostawi ona Algierię swemu losowi, przegrupuje ludność europejską i muzułmańską, uznającą się za Francuzów, zaprzestanie udzielania wszelkiej pomocy i wydali z metropolii 400 tysięcy pracowników algierskich. De Gaulle wierzy, że koncepcja niepodległości Algierii w związku z Francją zwycięży, otwierając szerokie perspektywy na zbliżenie trzech państw Magrebu, które, zająwszy pozycję neutralizmu, zorientowanego na Zachód, zablokowałyby przy pomocy Francji zachodni basen morza Śródziemnego i zachodnią część Afryki Północnej przed penetracją sowiecką. Dla tej części swojej koncepcji politycznej znajduje de Gaulle znakomitego interpretatora, a nawet często propagatora, w osobie prezydenta Burguiby, poważnie zaniepo-

kojonego istnieniem na terenie Tunisu baz F.L.N. zaopatrywanych przez blok sowiecki i ewentualnością przechylenia się przyszłego państwa algierskiego w kierunku orientacji na komunistyczny Wschód. W umyśle de Gaulle'a wreszcie, rozwiązanie sprawy algierskiej i realizacja francuskiej koncepcji afrykańskiej na obszarach arabskich i murzyńskich powinny pozwolić Francji na powrót w pełni prestiżu i potencjalnych możliwości do jej misji w Europie i na scenie światowej.

Ogłoszenie zasady niepodległości Algieru podziałało na zorganizowaną tajnie część kadr wojskowych w Algierii i w metropolii, jak żagiew, rzucona na beczkę prochu. Dzięki wspólnictwu inspektora lotnictwa wojskowego emerytowani generałowie: Challe i Zeller zostają przerzuceni dnia 21 kwietnia drogą powietrzną do Algieru, gdzie już zastają przebywającego tam od pewnego czasu emerytowanego generała Jouhaud. Dołączy do nich w niedzielę 23 kwietnia przebywający od wielu miesięcy w Madrycie emerytowany generał Raoul Salan. Zastają oni sytuację przygotowaną do zamachu przez kilku pułkowników, specjalistów od akcji psychologicznej i dowódców niektórych pułków spadochroniarzy. W nocy z piątku na sobotę 22 kwietnia miasto Algier zostaje opanowane bezkrwawo i bez udziału ludności cywilnej, przez oddziały, pozostające pod dowództwem należących do spisku oficerów. Dopiero w niedzielę 23 kwietnia zwołana zostaje na Forum Algieru manifestacja publiczna, na której przemawia kolejno czwórka emerytowanych generałów. Nie odnajdują oni jednak tego nastroju, jaki panował przed trzema laty, w maju 1958. Nie mogą go odnaleźć, bo sytuacja jest głęboko zmieniona. Zamiast słabych i przez nikogo nie słuchanych rządów ówczesnych ster Francji znajduje się w rękach człowieka, którego reakcje są piorunujące. W szeregach wojska dwuletnie oddziaływanie szefa państwa poprzez inspekcje, oraz poprzez przemówienia, wygłaszane w czasie licznych podróży po prowincjach francuskich, wywarły wpływ, którego nie dostrzegli spiskowcy. Objęcie dowództwa samowolnie przez oficerów emerytowanych, naruszając podstawowe zasady dyscypliny, wywołało kryzys sumienia w umysłach nie tylko żołnierzy kontyngentu, ale wielkiej ilości oficerów. Dowódca jednego z trzech korpusów algierskich, dowódcy wielu okręgów dywizyjnych, lotnictwo, załoga bazy morskiej w Mers el Kebir, większość żandarmerii i policji odmawiają przyłączenia się do buntu albo zajmują postawę wyczekującą. W niedzielę rozlega się potężny głos de Gaulle'a, który na podstawie (jakby wyjętego z naszej konstytucji kwietniowej) artykułu 16, powierzającego prezydentowi nieograniczoną władzę w wypadku zaistnienia okoliczności, uniemożliwiających normalne funkcjonowanie władz państwowych, zakazuje wojskowym wszystkich stopni wykonywania rozkazów czwórki emerytowanych generałów, nawet gdyby one były uzasadniane koniecznościami operacyjnymi, wynikającymi z toczącej się wojny. To przemówienie, zakończone apelem do narodu francuskiego o pomoc, galwanizuje masy ludowe w metropolii. W przeciwieństwie do powszechnej bier-

ności, jaka panowała w maju 1958, opór krystalizuje się błyskawicznie, gdyż znajduje w szefie państwa wolę zwycięstwa. Syndykaty robotnicze, zawieszając chwilowo rewindykacje społeczne, organizują na poniedziałek 24 kwietnia jednogodzinny manifestacyjny strajk generalny, w którym bierze udział 10 milionów Francuzów. Tego samego dnia, korzystając z uprawnień artykułu 16-go, prezydent pozbawia czterech zbuntowanych generałów i kilku pułkowników stopni oficerskich. We wtorek 25 kwietnia w dyrektywach dla wojska w Algierii wydaje rozkaz przejścia do czynnej akcji przeciwko zrewoltowanym oddziałom i do użycia broni, gdy tego zajdzie potrzeba. Na szczęście, obyło się bez tej ostateczności. Miażdżące ciosy, zadane buntowi rozkazami szefa państwa, wroga postawa metropolii, odmowa części kadr oficerskich i większości żołnierzy spowodowały załamanie się przywódców rewolty. Jeszcze tego samego dnia, a raczej w nocy opuszczają oni Algier i znikają w tłumie. Jedynie najpoważniejszy z nich wojskowo, główny przywódca buntu, generał Challe, decyduje się ponieść konsekwencje swych czynów i oddać w ręce sprawiedliwości. W kilka dni później pójdzie w jego ślady były generał Zeller.

Jak wynika z zeznań aresztowanych, zamiarem ich było przeprowadzenie demonstracji wojskowej w celu zmuszenia szefa państwa do zmiany jego polityki algierskiej. Nie zamierzali oni jakoby dokonywać desantu w metropolii w celu objęcia władzy w państwie. Nie wiadomo, a raczej dobrze wiadomo jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby cała armia usłuchała wezwania do buntu i opanowała całkowicie Algier. Zdumiewa niedocenienie przez zbuntowanych reakcji generała de Gaulle, tak przecież łatwych do przewidzenia. Warunkiem ewentualnego powodzenia wojskowego zamachu stanu było rozpoczęcie go w metropolii, przez neutralizację szefa państwa. Bunt, przeprowadzony w Algierze, częścią tylko zgromadzonych tam sił, był z góry skazany na izolację i likwidację.

Ustrój republikańsko-demokratyczny wyszedł jeszcze raz z tej ciężkiej próby zwycięsko, wzrósł prestiż i autorytet szefa państwa. Bunt wstrząsnął jednak głęboko armią, która po tych czterech tragicznych dla niej dniach znalazła się bliska stanu rozkładu. Wrogi stosunek, jaki wytworzył się między jednostkami lojalnymi i tymi, które dały się wciągnąć do buntu, rozbił jedność wojska, kultywowaną przez kadry jako najwyższe imponderabilium. Krytyczna postawa żołnierzy kontyngentu w stosunku do części korpusu oficerskiego postawiła pod znakiem zapytania spoistość wewnętrzną oddziałów i zasady dyscypliny wojskowej. Szef państwa zdecydowany jest tym razem iść bardzo daleko w dążeniu do przywrócenia wojsku jego właściwej roli jednego z organów w służbie państwa i pozbawienia go cech samoistnej siły politycznej. W tej chwili przeprowadzana jest na szeroką skalę akcja represyjna w stosunku do części korpusu oficerskiego i tych jednostek wojskowych, które w ciągu dramatycznych perypetii wojny indochińskiej, a później algierskiej

nabrały cech pretoriańskich. Kilkunastu generałów i pułkowników zostało zdegradowanych i oddanych pod sąd, dwaj z nich Challe, główny przywódca buntu i Zeller zagrożeni są karą śmierci. Setki oficerów zostało usuniętych ze stanowisk i skazanych na areszt dyscyplinarny. Kilka pułków spadochronowych, świetnie wyszkolonych i zaprawionych bojowo w dwóch wojnach kolonialnych, o wartości technicznej, przewyższającej wszystko, co w tej dziedzinie posiadają armie nowoczesne, w tym legendarny 1 pułk spadochronowy Legii Cudzoziemskiej, zostało rozwiązanych i rozproszonych po innych jednostkach. W tej chwili warunkiem ocalenia spoistości armii lądowej jesj jej szybka reorganizacja i jeszcze szybsze zakończenie akcji represyjnej. Mniej ucierpiało w dramacie kwietniowym lotnictwo, które w przytłaczającej większości zachowało postawę lojalną, a wcale — siły morskie, które od początku i przez cały czas kryzysu pozostały sprawnym narzędziem woli rządu.

W tej chwili wydaje się, że ze sprawy algierskiej została zdjęta hipoteka armii i że prezydent republiki uzyskał swobodę działania. W każdym razie w przemówieniu, jakie wygłosił 8 maja, podtrzymał w pełni stawisko, zajęte w deklaracji z 11 kwietnia. W dwa dni później została powzięta decyzja w sprawie daty rozpoczęcia rokowań. Nie znaczy to, aby nie należało liczyć się z możliwością zaburzeń i odruchów, a nawet nowych, głębokich wstrząsów. Organizacje tajne z tzw. O.A.S. (*Organisation de l'Armée Secrète*) na czele, trudne do wytropienia z uwagi na poparcie ludności europejskiej, wzywają do dalszej walki bez względu na postawę wojska, zapowiadają wyjście na barykady, grożą akcją terrorystyczną w stosunku do wyższych urzędników, oraz osobistości, wypowiadających się za polityką szefa państwa. Ewentualna realizacja tych pogróżek może przybrać charakter krwawy nie tylko z powodu represji, ale i z uwagi na ludność muzułmańską, która zachowała postawę bierną w czasie kryzysu ściśle wojskowego, ale gotowa jest wyjść na ulice miast w razie manifestacji cywilnej ludności europejskiej.

W takiej to atmosferze najwyższego napięcia rozpoczną się 20 maja negocjacje w Evian. Jeżeli w polityce możliwa jest jakaś logika, to pomimo wszystkich trudności, nagromadzonych w ciągu 7 lat wojennych, powinno tym razem dojść do pokoju i porozumienia. Właściwie nie ma innej alternatywy poza kontynuacją wojny do absurdu, z niebezpieczeństwem jej umiędzynarowienia, co nie może leżeć w interesie ani Francji, ani F.L.N.

Ponieważ zasada niepodległości Algierii została przez Francję uznana, głównymi zagadnieniami, przed którymi stanie konferencja w Evian, będą: zakres i formy związku z Francją, statut ludności europejskiej i sprawa Sahary. Zagadnienie związku niepodległej Algierii z Francją spowoduje niewątpliwie presję bloku sowieckiego, a także Kairu na przywódców algierskich, gdyż chodzi w tym wypadku o jedną z zasadniczych po-

zycji strategicznych (nie tylko w znaczeniu wojskowym) w walce pomiędzy Zachodem i komunistycznym Wschodem. Jeżeli jednak powstańcy algierscy potrafią zapanować nad uprzedzeniami i hamulcami psychicznymi, to rozwiązanie profrancuskie powinno im się wydać pod każdym względem korzystne. W czasie, kiedy na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych wysuwa się postulat opodatkowania państw bogatych w wysokości 1% ich dochodu narodowego na pomoc dla krajów, gospodarczo niedorozwiniętych, Francja przeznacza na ten cel od dawna 2% swego dochodu narodowego, w większości na Algierię. Bilans handlowy francusko-algierski kształtuje się od lat ujemnie dla Algieru, pomimo, że jego udział w wymianie z metropolią wzrasta powoli, ale stale, głównie dzięki osiągnięciom gospodarczym ludności europejskiej. W roku 1960 wartość eksportu Algierii do metropolii wyniosła 1,9 miliardów nowych franków (1 dolar US = NF. 4,9), a wartość importu z metropoli 6,4 miliardów NF. Żadne inne państwo nie tolerowałoby takiego stosunku, z którego wynika, że Algieria w obecnym stanie utrzymywana jest przez Francję. Mimo niepewności politycznej, francuskie inwestycje publiczne nie tylko trwają, ale stale wzrastają, a rząd robi, co może, aby zachęcić, za cenę różnych przywilejów fiskalnych, inwestycje prywatne. Algieria należy do krajów gospodarczo niedorozwiniętych, ale w rozwoju swoim jest bardziej zaawansowana, niż jakiekolwiek inne państwo arabskie. Masa 400 tysięcy pracowników algierskich w metropolii zapewnia stały dochód znacznemu odsetkowi ludności tubylczej. Dochód narodowy na głowę ludności, bardzo jeszcze niski w porównaniu z państwami zagospodarowanymi, jest jednak wyższy, niż w jakimkolwiek innym kraju arabskim i to już po uwzględnieniu wysokich dochodów ludności europejskiej. Całkowite zerwanie związków z Francją spowodowałoby natychmiastową katastrofę gospodarczą i chaos społeczny, zwłaszcza, gdyby nastąpił przymusowy powrót kilkuset tysięcy Algierczyków z metropolii. Jeżeli chodzi o kadry ludzkie, to, dzięki liberalnej polityce francuskiej są one w Algierii liczniejsze, niż w jakimkolwiek innym kraju, przechodzącym proces dekolonizacji, nie są jednak wystarczające dla całkowitego zastąpienia Europejczyków, zwłaszcza w dziedzinie techniki, nauki i zdrowia.

O ile w większości krajów kolonialnych ludność europejska składa się przeważnie z kadr administracyjnych, o tyle w Algierii składa się ona z miliona mieszkańców stałych, osiadłych od 130 lat. Europejczycy stworzyli główne bogactwa kraju i przywiązali się do tej ziemi, w którą włożyli tyle wysiłku, jak do ziemi ojczystej. Można ograniczać ich pretensje do identyfikowania ich interesów lokalnych z interesem Francji, ale nie sposób pozostawić ich na łaskę i niełaskę nowego państwa. Jednym z zadań konferencji w Evian będzie zapewne opracowanie zasad współżycia ludności europejskiej z muzułmańską przez rozwiązanie statutowe, zapewniające jej jakąś autonomię i udział w rządach niepodległej Algierii.

Zagadnienie Sahary przedstawia głównie trudność prestiżową, gdyż Algierczycy będą walczyć o rozciągnięcie na ten obszar ich suwerenności państwowej. Jeżeli chodzi o istotę zagadnienia, to znaczy rezultaty finansowe eksploatacji złóż naftowych i gazu naturalnego, skończy się prawdopodobnie na wspólnym zainteresowaniu państw, sąsiadujących z Saharą, zapewniającym Algierii znaczną część dochodów pod formą *royalty*. Dla tego rozwiązania Francja uzyska poparcie wszystkich zainteresowanych państw ościennych, łącznie z Marokiem i Tunisem, głównym sojusznikami F.L.N.

Jeżeli konferencja w Evian zakończy się pozytywnie, jej wyniki poddane zostaną zatwierdzeniu w drodze referendum, aby zadość uczynić zasadzie samookreślenia. W przeciwnym wypadku, oby się on okazał nieprawdopodobny, de Gaulle przystąpi, jako do akcji wstępnej przed aktem samookreślenia, do budowania niepodległego państwa algierskiego, stwarzając muzułmańskie kadry administracyjne i pociągając do współpracy opozycyjne w stosunku do F.L.N., choć słabsze od niego tendencje arabskie, przede wszystkim Narodowy Ruch Algierski (M.N.A.), na czele którego stoi weteran walki o niepodległość Algieru, Messali Hadż. Rozwiązanie to popchnęłoby F.L.N. w objęcia bloku sowieckiego, zmusiłoby Francję do stałego utrzymywania kilkusettysięcznej armii na obszarze Algieru, nie pozwoliłoby na wypełnienie w całej rozciągłości jej misji w skali europejskiej i światowej. Można oczekiwać, że de Gaulle uczyni wszystko, na co go stać, a stać go na wiele, aby uwolnić siebie i Francję od hipoteki algierskiej.

,,Tymczasowy Rząd Republiki Algierskiej'' znalazł się również wobec decydującej próby historycznej. W chwili, kiedy staje u progu odpowiedzialności za losy powstającego państwa, powinien umieć przełamać w sobie uprzedzenia i kompleksy, wytworzone w ciągu siedmioletniej wojny terrorystycznej.

Paryż, 10 maja 1961.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

Kronika angielska

FERDYDURKEIADA

Pamiętam, że ,,Ferdydurke'' ściągnąłem z biurka Jalu Kurka, który był moim najbliższym sąsiadem w redakcji IKC. Był to rok 1937. Byłem wówczas znacznie młodszy od naszych młodych z ,,Kontynentów''. Ale

jakby mi ktoś wtedy powiedział, że za ćwierć wieku wrócę do Ferdydurki na Chiswicku i będę się bawił odczytywaniem jej w przekładzie angielskim byłoby mi raczej trudno w to uwierzyć.

Zawsze sądziłem, że „Ferdydurke" należy do owych utworów nieprzetłumaczalnych, które wyłuskane z oryginalnej formy językowej tracąc kształt tracą i sens. Okazało się, że tak nie jest.

„Ferdydurke" jest przykładem jak mylący bywa termin „literatura emigracyjna".

„Pan Tadeusz" — by sięgnąć po klasyczny przykład — przez pewien czas był dziełem literatury emigracyjnej. Ze statusu utworu emigracyjnego napisanego na emigracji i przez emigranta awansował do rangi arcydzieła literatury polskiej.

„Ferdydurke" stanowi przykład odwrotnego procesu. Została napisana i wydana w Polsce przez najrdzenniej polskiego pisarza jaki kiedykolwiek istniał. Kafka ani w połowie nie był tak żydowski a Sartre ani w ćwierci nie jest tak francuski jak Gombrowicz jest polski.

Powieść narobiła hałasu, była „literacką sensacją" — tematem kontrowersji i polemik. Przyszedł rok 1939 — wojna, klęska okupacja i wszystko ucichło.

Ale Gombrowicz wierzył w swoją książkę. Gdy się oswoił z językiem kraju swego osiedlenia przetłumaczył „Ferdydurke" na hiszpański (w czym pomogli mu argentyńscy pisarze) i w roku 1947 po dziesięciu latach książka zmartwychwstała na drugiej półkuli w hiszpańskim wydaniu. Tak oto „Ferdydurke" w swym drugim wcieleniu pojawiła się jako dzieło emigracyjne. Gombrowicz do roku 1956 w kraju był na indeksie i mógł pisać i wydawać tylko na emigracji. Ale jego twórczość emigracyjna znalazła niespodziewany oddźwięk w Polsce. Wiem od Miłosza, że „Transatlantyk" wydany przez „Kulturę", w kraju był czytany, analizowany, dyskutowany, nicowany — ponieważ obnażał węzeł gordyjski polskich „upupień" w sposób równie bezlitosny jak celny. Tylko mało wytrawny czytelnik metodę groteski brał za groteskę.

W Gombrowiczu i Miłoszu literatura emigracyjna dopełniła swej misji ponieważ obaj ci autorzy napisali dzieła syntetyzujące procesy intelektualne w kraju, a które w Polsce ukazać by się nie mogły.

Są sytuacje z których jedynym wyjściem jest... wyjść. Miłosz wyszedł, więc mógł spojrzeć z zewnątrz na to co działo się w kraju i na to co działo się w nim i w jego kolegach, gdy był w kraju.

Alfa (ze „Zniewolonego Umysłu") został. Został i znalazł się w pułapce. Przeczytałem ostatnio ponad 600 stron liczący tom jego opowiadań. Bije z tych stron gorycz niedopełnienia. Lecz w Polsce jedno „upupienie" można było tylko zastąpić drugim „upupieniem".

Alfa pojmował rolę pisarza jako moralisty epoki. Był moralistą w swojej pierwszej książce, którą nagrodzono przed wojną i był moralistą w swojej pierwszej książce, którą nagrodzono po wojnie. Zapomniał o jednej podstawowej rzeczy. Moralista podobnie jak sędzia musi być niezależny i niezawisły.

W kraju, w którym co dwadzieścia lat wszystko się zmienia, w kraju w którym mężczyzna w sile wieku może mieć dziś za sobą: prawicę narodową, katolicyzm, okupację, konspirację, Powstanie Warszawskie, obozy niemieckie, wyzwolenie przez Armię Czerwoną, komunizm, legitymację

partyjną, wiosnę w Październiku i ugór dzisiejszy — człowiek w takim kotle ciśnień nie może mieć w stosunku do niczego dystansu i perspektywy. Człowiek ten przeżył kilka żyć i nie jest pewien, które z nich było jego własne.

To co ludzi urzekło w kraju gdy dostali do ręki książki Gombrowicza to był dystans. Ktoś z nich spojrzał na rzecz polską z zewnątrz — wolny i w swej absurdalnej wolności świętokradczo groteskowy. Nam tkwiącym w narodowych habitach ten szaleniec szydzący w zwyczajnych spodniach i w zwyczajnej koszuli wydał się księdzem, który publicznie zrzucił sutannę. Nie tylko zrzucił, ale ją podeptał, wśród nieprzystojnych grymasów.

Czy można być Polakiem zrzuciwszy narodowy habit? Czy można traktować polskość z góry, z dystansu — jak wszystko inne na świecie?

Ale wracajmy do Ferdydurki. Przyszedł rok 1956/57. ,,Ferdydurke" po dwudziestu latach ukazuje się na półkach księgarskich w Warszawie. Pierwszy nakład — 10 tysięcy egzemplarzy — zostaje rozsprzedany w przeciągu kilku dni. Ukazują się inne utwory Gombrowicza, a teatry wystawiają jego sztuki. Artur Sandauer przed mikrofonem radiostacji warszawskiej określa autora Ferdydurki jako jednego z największych współcześnie żyjących pisarzy i dumę narodu polskiego. W prasie literackiej pojawia się lawina esejów o Gombrowiczu, który, jak nagle odkryto, był Sartre'm przed Sartre'm, Beckettem przed Beckettem i Ionesco przed Ionesco. Gombrowicz podbił nie tylko wyposzczoną polską publiczność, nie tylko zawładnął warszawską kawiarnią, ale swym skrzydłem zagarnął drapieżnie tak młodych jak i starych, Marii Dąbrowskiej nie wyłączając.

Ten olbrzymi sukces pisarza emigracyjnego w kraju przekreśla wszystkie teorie ,,nad-wiślanizmu". Nie jest prawdą, że musi się mieszkać w Radomiu, by pisać po polsku i o Polakach. Prawdą jest coś wręcz innego. Pisarze małych i średnich narodów — narodów nacjonalistycznych o przyspieszonym pulsie i o wysokim ciśnieniu historycznym — nie mają możliwości zdobycia dystansu i perspektywy. Nie mają możliwości wyłączenia się z tańca narodowego, wyskoczenia z karuzeli, której ruch deformuje wizję i uniemożliwia bezinteresowną zadumę.

Pisarz musi być z narodem i poza nim — musi *to belong* i *not to belong* — musi mieć możliwość całkowitego oderwania się i ucieczki. Oczywiście w normalnych warunkach powinien mieć zawsze możliwość powrotu.

Literatura Polski Ludowej wyglądałaby zupełnie inaczej gdyby pisarze mieli możliwość ,,twórczego oderwania się", możliwość wyjazdu za granicę nie na tydzień, lecz na rok lub na dwa lata. W odniesieniu do pisarzy małych i średnich narodów to jest wskazane w każdych warunkach, nawet w okresach kwitnącej demokracji i liberalizmu. Nie wyobrażam sobie, by Miłosz, gdyby przez całe życie tkwił kamieniem w Radomiu — co Gombrowiczowi doradzał Adolf Rudnicki — mógł napisać ,,Rodzinną Europę". Nigdy by się nie wydobył z kręgu narodowych ,,upupień" i uległby ponuremu geniuszowi ,,deformacji miejsca".

Drodzy panowie — *don't get me wrong*. Można mieszkać na prowincji i o małym prowincjonalnym miasteczku napisać arcydzieło w skali światowej, ale pod warunkiem, że się samemu nie jest prowicjonalnym.

Ale wróćmy do Ferdydurki bo ona jest heroiną niniejszego romansu. Faktem jest, że ta dziwna książka pierwszym atakiem zdobyła Zachód.

Recenzje niemieckie były równie entuzjastyczne jak francuskie — angielskie równie pełne pochwał jak włoskie.

Nie jestem krytykiem literackim i nie jest moim obowiązkiem (Bogu chwała!) odsłaniać łańcuch przyczyn, który spowodował ten sukces. W mojej laickiej opinii prawdziwy sukces literacki, podobnie jak prawdziwa uroda — wymyka się analizie. Sukces, który w całości można by wyjaśnić, nie byłby sukcesem. Ryzykuję również pogląd, że w roku 1937 — tzn. w roku swych urodzin „Ferdydurke" nie miała żadnej szansy zdobycia Zachodu. Wpierw seria bardzo wybitnych panów musiała napisać „wstęp" do Ferdydurki. Owa seria obejmuje autorów od Freuda po Sartre'a.

Nie ulega również dla mnie wątpliwości, że Gombrowicz nie byłby dziś Gombrowiczem, gdyby dzielił losy Alfy. Wydaje mi się, że Conradowski dylemat lojalności i wierności samemu sobie obowiązuje i zawsze będzie obowiązywał. Ale by dochować wierności sobie samemu trzeba mieć możliwość pozostania samym sobą.

O WYCHOWYWANIU KROKODYLI

„Wojna w roku 1939 nie tylko nie była z góry obmyślona, ale była błędem i rezultatem dyplomatycznych pomyłek po obu stronach".

„Wydarzeń z pierwszego i trzeciego września (1939 r.) nie było można przewidzieć w dniu 23 sierpnia (1939 r.). Zarówno Hitler jak i Stalin sądzili, że zapobiegli wojnie a nie, że ją spowodowali".

„Stan zbrojeń niemieckich w roku 1939 dostarcza decydującego dowodu, że Hitler nie planował powszechnej wojny, a prawdopodobnie w ogóle nie chciał wojny".

„Zniszczenie Polski nie stanowiło części jego (Hitlera) pierwotnego planu. Wprost przeciwnie pragnął rozwiązania kwestii gdańskiej w taki sposób, by Niemcy i Polska mogły żyć na przyjaznej stopie".

Powyższe cytaty, których można by przytoczyć znacznie więcej — pochodzą z świeżo wydanej książki oxfordzkiego profesora A.J.P. Taylora pt. „The Origins of the Second World War".

Wydaje mi się, że prof. Taylor w cytowanym studium postawił sobie za cel „odbrązowanie Hitlera". To nie żaden demon, żaden prorok — tylko chytry i bezwzględny mąż stanu, który przy minimalnych kosztach chciał osiągnąć maksymalne korzyści.

Wszyscy historycy, podobnie jak publicyści, starają się sprowadzić politykę na swojskie podwórko racjonalnej analizy. I to jest zrozumiałe. Szaleńcy i pomyleńcy nie mogą być pacjentami ani historyków ani publicystów. Studia kliniczne do nas nie należą.

Nie ulega wątpliwości, że legendy tworzące się z czasem wokół takich postaci jak Hitler czy Stalin ogromnie utrudniają pracę historyka. Mit nie należy do historii, ale osobowość i charakter postaci dramatu dziejowego stanowią często jedyny klucz do zrozumienia przeszłości.

Nie wiem czy prof. Taylor widział kiedyś przemawiającego Hitlera. Jeżeli nawet go nie widział to musiał czytać „Mein Kampf". Hitler

w pewnych okresach swego życia był sprytnym, logicznym i zaskakująco pomysłowym politykiem. Ale charakterystyka jego postaci nie może się na tym kończyć. Był bowiem czymś znacznie więcej. Hitler był jeszcze ideologiem zafascynowanym własną, irracjonalną wizją świata. Jego stosunek do Żydów, jego stosunek do bolszewizmu — wymykają się racjonalistycznej analizie. Idea krucjaty przeciwko komunistycznej Rosji nie opuszczała go nigdy i w końcu przypieczętowała jego los.

Gdyby Hitler był racjonalnie, pragmatycznie myślącym politykiem — za ideał sytuacji europejskiej byłby uznał Monachium. W tej konferencji nie brały udziału ani Stany Zjednoczone ani Rosja. Racjonalnie wnioskujący niemiecki mąż stanu byłby zdał sobie sprawę z podstawowego faktu, że Niemcy tak długo mogą dominować w Europie dopóki Europa jest Europą. Innymi słowy naczelnym zadaniem polityki niemieckiej winno było być pielęgnowanie neutralności Rosji i Stanów Zjednoczonych. Oba te mocarstwa w 1939 roku nie marzyły o niczym innym tylko, by pozostać neutralne w stosunku do europejskiego konfliktu. Hitler jednak nie tylko nie umiał Rosji zneutralizować, ale po latach „wygnania" przywrócił ją Europie pasując Sowiety na pierwsze mocarstwo europejskie. Tym samym pogrzebał niemieckie sny o potędze i hegemonii, wydaje się, że na zawsze.

Konferencja monachijska znacząca szczyt mocarstwowej pozycji Niemiec była równocześnie ostatnią czysto europejską konferencją. Nie okazała się jednak bramą wiodącą do Europy niemieckiej. Jej epilog rozegrał się w dniu 25 kwietnia 1945 r. w Torgau. Tego dnia w samym środku Niemiec i w środku Europy spotkały się armie dwóch poza-europejskich potęg: Rosji i Stanów Zjednoczonych. Był to koniec zarówno Niemiec jak i Europy dawnego stylu.

Prof. Taylor pisze, że Gdańsk nie był wárt kości brytyjskich grenadierów. Gdańsk nie był wart niczyich kości i gdyby spór wyczerpywał się wyłącznie w zagadnieniu gdańskim, do wojny z całą pewnością by nie doszło.

Choć osobiście jestem jak najdalszy od chęci wybielania roli Hitlera — zgadzam się z prof. Taylorem, że znaczny procent winy za wybuch drugiej wojny światowej ponoszą Anglia i Francja. Natomiast stwierdzić należy, że w procesie, który Taylor wytacza Beckowi wina polskiego ministra nie została udowodniona. Krytykowałem Becka wielokrotnie, ale w owym okresie jego polityka była nie tylko prawidłowa, ale jedynie możliwa. Po prostu nie było innej polityki.

Rozważając wydarzenia ostatnich miesięcy, które poprzedziły wybuch drugiej wojny światowej — należy pamiętać, że wszyscy żyliśmy wówczas pod wrażeniem Monachium. Bez względu na to co pisze prof. Taylor twierdzę, że w Monachium pogrzebano możliwości kompromisowego załatwienia kwestii polsko-niemieckiej. Pogrzebano również możliwości jakiejkolwiek mediacji.

Czesi mieli dobrze wyposażoną armię i sojusz z Francją. Mimo to nastąpiła kapitulacja a Hitler o zachodnich mężach stanu wyraził się później z pogardą: „to są nędzne kreatury — widziałem ich w Monachium".

Gdy kryzys w stosunkach polsko-niemieckich doszedł do zenitu Hitler wnioskował, że przedstawienie monachijskie zostanie wznowione. I z jego strony to było logiczne rozumowanie.

Beck rozumował po tych samych liniach co Hitler — to znaczy po liniach monachijskich. I dlatego zdawał sobie sprawę, że w tych warunkach nie ma możliwości kompromisowego rozwiązania, bo najmniejsze ustępstwo prowadziłoby nieuchronnie do wznowienia Monachium. Gdyby nie było Monachium Beck mógłby wnioskować, że kompromis leży w sferze rzeczy możliwych. Ale w sierpniu 1939 r. nie mógł mieć tych złudzeń.

Jednym z odwiecznych zagadnień polityki jest sprawa ,,karmienia krokodyla'' czyli strategia ustępstw. Kompromisowe rozwiązanie, które ratuje pokój jest lepsze od wojny. Lepiej było nam oddać Gdańsk a uratować Warszawę. Ale nie mieliśmy takiego wyboru. Uratować od bombardowań Warszawę i Londyn można było podejmując wojnę prewencyjną w chwili gdy Hitler wkroczył do Nadrenii. Wówczas krokodyl był mały i bez zębów. Polityka ustępstw ma pewne zasadnicze wady. Nie można ustępować bez końca bo przychodzi moment kiedy już nie ma z czego ustępować. Wskutek tego partner, który do tej pory zawsze ustępował nagle organizuje opór. Organizuje opór wówczas kiedy krokodyl ma już nie tylko zęby ale jest solidnie podtuczony.

Ale najważniejszy w tej sprawie jest moment psychologiczny. Partner, który przez lata stosuje nieodmiennie polityką ustępstw wychowuje swego przeciwnika, przyzwyczaja go (jak psa Pawłowa) do pewnej postawy. Wyrabia w nim refleks warunkowy, który wyraża się podświadomym przekonaniem, że każdemu naciskowi odpowiada automatycznie ustępstwo.

W ten sposób mocarstwa zachodnie uwarunkowały postawę Hitlera. Ten sam refleks warunkowy wyrabiamy cierpliwie w przywódcach na Kremlu. Któregoś dnia przywódcy sowieccy mogą wyreżyserować potężny kryzys, który — ku ich najwyższemu zdumieniu — wywoła wojnę a nie serię nowych ustępstw. Wywoła wojnę, której nikt nie chciał. Odpowiedzialność spadnie wówczas nie tylko na krokodyla, ale i na ,,profesora Pawłowa'', który go tak wychował.

LONDYŃCZYK

Co robić?

Stare to pytanie jak świat, ale zawsze aktualne. Szczególnie w obecnej chwili, to jest wiosną 1961 roku, a więc po Kubie, po wypadkach francuskich i w obliczu sytuacji w Afryce i w południowo-wschodniej Azji, pytanie to coraz częściej można usłyszeć zarówno z ust wytrawnych polityków jak też zwykłych, szarych ludzi. Nie zabieram się w związku z tym do pisania uczonych traktatów, nie myślę też występować w roli dziennikarskiej Kassandry, a już na pewno nie w charakterze Pytii. Chcę po prostu rozpatrzyć, jak się to mówi ,,na chłopski rozum'', garść kluczowych, moim zdaniem, zagadnień politycznych. Dla jasności zaznaczam, że chodzi tu o dalszy ciąg wywodów, które poruszyłem przed miesiącem, w artykule pt. ,,Niedorozwinięta polityka''. Traf chciał, że akurat w tym czasie wybuchła awantura kubańska, która po raz któryś tam z rzędu potwierdziła tezę o kiepskiej polityce Zachodu.

Dla młodego prezydenta Ameryki Kuba to głęboki kielich goryczy. Ale nie mają racji ci mędrcy, którzy twierdzą, że prezydent Stanów Zjednoczonych powinien był siłą poprzeć inwazję emigrantów kubańskich. Nie ma bowiem gorszej polityki niż wyzwalanie ludzi, którzy nie chcą wyzwolenia. Na Kubie jeszcze trwa stan nacjonalistycznej euforii, na zmianę tych nastrojów nie ma lepszego lekarstwa niż czas.

Rewolucja kubańska Fidela Castro była w pierwszej fazie rewolucją nacjonalistyczną, która oparła się o elementy chłopskie, tak jak to miało miejsce w trzech krajach, gdzie komunizm zwyciężył mniej więcej o własnych siłach, a więc w Rosji, w Chinach i w Jugosławii. Rebelianci kubańscy nie byli rewolucjonistami, ale kontrrewolucjonistami i ten fakt przesądził z góry o fiasku całej imprezy. Siłom społecznym, wyzwolonym przez rewolucję Fidela Castro nie zdołali przeciwstawić żadnych atrakcyjnych idej, bo ich nie mieli. W konsekwencji awantura kubańska jest dla polityki amerykańskiej lekcją niewątpliwie bardzo bolesną, ale tym niemniej potrzebną i pożyteczną. Zmusza bowiem do głębokiej analizy ruchów rewolucyjnych, przy-

nagla do rewizji utartych pojęć i niebezpiecznych szablonów. Żąda wreszcie nowego spojrzenia na świat, a w ślad za tym ukrócenia działalności tych wszystkich aparatów, które od lat pchają politykę Stanów Zjednoczonych na drogę zgubnych eksperymentów.

Dlatego wydaje mi się, że skutki tej niefortunnej operacji w ostatecznym rozrachunku mogą — choć nie muszą — być pozytywne i to nie tylko w odniesieniu do Ameryki Łacińskiej ale w zasięgu o wiele szerszym. Nie będzie to sprawa łatwa i błaha. Chodzi przecież o rozgrywkę z rozmaitymi grupami interesów i z wieloma aparatami, które wyrosły na koniunkturze zimnej wojny i które będą zaciekle broniły istniejącego status quo. Odnosi się to również (a może nawet i w większym stopniu) do tych grup i aparatów, które kształtowały i wciąż jeszcze kształtują amerykańską politykę w stosunku do krajów Europy Wschodniej. Ale człowiek o takich ambicjach politycznych i z tak silnie wykształconym instynktem politycznym, jak John Kennedy — o ile nie zechce dopuścić do tego, aby jego gwiazda zbladła przedwcześnie, jak się to swego czasu stało z blaskiem polityki Eisenhowera i Dullesa, musi te sprawy opanować.

Zasadniczą nauką, jaka wypływa zarówno z wypadków na Kubie, jako też w Laosie, we Francji czy w Kongo, jest ten fakt oczywisty, że siły wsteczne, zachowawcze, konserwatywne lub nawet faszyzujące odchodzą do lamusa historii. Nie jest to zasługą komunistów, którzy na olbrzymiej połaci ziemi walczą z nowymi formacjami oporu, postępu, rewolucji, ale wynikiem obiektywnych procesów, z których wyłania się jutrzejszy świat. Procesy te można hamować i opóźniać, ale nie można ich cofnąć, tak jak nie można zatrzymać czasu i życia. To nie są gołosłowne frazesy, ale namacalne fakty. Z jednej strony jesteśmy świadkami oszałamiającego tempa rozwoju techniki i nauki, wieku rakiet, energii atomowej, penicyliny i streptomycyny, emancypacji ludów, dekolonizacji, nowych form architektury, sztuki abstrakcyjnej, a z drugiej strony — Węgier, Suezu, Algierów i Kub, scholastycznych sporów Chruszczow-Mao, anachronicznego socrealizmu, zamkniętych granic i średniowiecznej cenzury.

Jak wyjść z kryzysu?

Amerykański katzenjammer po wypadkach na Kubie obserwuję z dalcka. Fiasko inwazji przeżyłem w Paryżu, gdzie wkrótce inne sprawy przesłoniły perspektywę spojrzenia. Obecnie studiuję kryzys amerykański z odległości Berlina, gdzie wszystkie wiadomości przełamują się w mojej retorcie laboratoryjnej, do której wsypuję codziennie lekturę moskiewskiej ,,Prawdy'', ,,New York Timesa'', ,,Le Monde'', czasem prasy angielskiej. Jak zwykle słucham radia: amerykańskiego AFN, paryskiego transmitowanego przez miejscową francuską stację wojskową i moskiewskiego — via rozgłośnia wojskowa ,,Woł-

ga", która przeznaczona jest dla dywizji sowieckich w Niemczech i „grupy północnej", czyli stojącej w Polsce. Do tego dochodzi podwójny program telewizyjny: zachodnioniemiecki, współpracujący w ramach „Eurovision" z Europą Zachodnią i USA, oraz wschodnio-niemiecki, transmitujący ostatnio programy z Moskwy. Z komunistycznych głosów przebija przede wszystkim radość, że do niedawna żywione obawy, iż Kennedy wniesie do polityki Zachodu dynamizm, który zakończy okres stagnacji ostatniej kadencji republikanów, a tym samym zmusi Chruszczowa do obecnie niepożądanej ze względów wewnętrznych (przygotowanie 22 zjazdu KPZS) jak też i ideologicznych (z trudem osiągnięty kompromis sowiecko-chiński) kontrofensywy i inicjatywy, stały się nagle zagadnieniem nieistotnym. Szczęściarz Chruszczow otrzymał serię prezentów, których, z wyjątkiem wyczynu Gagarina, wcale się nie spodziewał. Pozwolą mu one przygotować w spokoju niezwykle ważny zjazd partii i również w polityce zagranicznej bez specjalnych wysiłków przebrnąć przez lato.

Obraz świata zachodniego na początku maja 1961, to jest w czasie kiedy piszę tę korespondencję, wygląda opłakanie. Oczywiście należy liczyć, że histeria obecnych dni szybko minie, ale osad, który pozostanie po serii nieszczęść, jakie dotknęły Zachód, nie zginie bez śladu. W Ameryce będzie się zapewne jeszcze dość długo wałkowało kompleks winy o Kubę. Francja będzie przez długie miesiące zaabsorbowana likwidacją skutków zduszonego puczu algierskiego i nieuniknioną czystką w wojsku i w aparacie państwowym. Niemcy weszły w stadium walki wyborczej przed wrześniowym głosowaniem do parlamentu. W ostatecznym bilansie widzimy długi okres straty drogocennego czasu w głównych arteriach sojuszu atlantyckiego.

I stąd wypływa, moim zdaniem, poważna szansa dla Wielkiej Brytanii. Zresztą nie tylko szansa, ale i odpowiedzialność wobec kontynentu i całej struktury sojuszów zachodnich. Dopóki Stany Zjednoczone górowały nad Związkiem Sowieckim potencjałem wojskowym dzięki przewadze broni nuklearnych, dopóki blok wschodni na skutek stalinowskiej polityki ekonomicznej znajdował się w obliczu katastrofy gospodarczej, zaś kwestia pomocy dla krajów słabo rozwiniętych nie odgrywała żadnej roli — sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Wówczas Europa Zachodnia mogła marzyć o roli jakiejś trzeciej siły, choć i wtedy takie sny o potędze w rzeczywistości nie wiele były warte. Obecnie zarówno w sensie militarnym, jak też ekonomicznym rola resztówki kontynentalnej w zestawieniu z olbrzymimi zadaniami, stojącymi przed całym światem zachodnim zmalała niepomiernie. Widzą to zdaje się najlepiej ludzie z nowej ekipy w Waszyngtonie. Nic więc dziwnego, że nalegają na szerszą niż dotychczas integrację nie tylko militarną, ale przede wszystkim ekonomiczną i polityczną. Luksus podziału na dwa systemy gospodarcze Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Strefy Wolnego Handlu jest nie do pomyślenia, ponieważ na dalszą metę musiał-

by doprowadzić do poważnych powikłań w obozie zachodnim, nie mówiąc o reperkusjach psychologicznych w stosunku do do idei europejskiej.

Idealnym wyjściem byłoby rozbudowanie systemu atlantyckiego do granic jedynego układu handlowo-płatniczego i monetarnego Europa Zachodnia — Anglia — Ameryka i Kanada. Tego rodzaju rozwiązanie nastąpi niewątpliwie w ciągu najbliższych lat, ale do tego czasu trzeba będzie szukać koncepcji połowicznych czy częściowych. Otóż podstawowym warunkiem wzmocnienia dzisiejszej struktury Zachodu jest silniejsze związanie zachodniej części naszego kontynentu z wyspami brytyjskimi. Anglia bowiem może odegrać rolę również w sensie czynnika stabilizacyjnego, a to z uwagi na rozwój wydarzeń tak we Francji jak i w Niemczech — (obydwa kraje znajdą się w niedługim chyba czasie przed trudnym problemem sukcesji silnych obecnie, ale związanych z autorytetem jednostek rządów) jest rzeczą pierwszorzędnej wagi.

W pewnym sensie chodzi tu o przystosowanie tradycyjnej brytyjskiej polityki równowagi sił do nowego układu faktorów politycznych, wojskowych i ekonomicznych pod kątem widzenia takiej formy koegzystencji, jak to rozumieją komuniści czyli do długofalowej rozgrywki o jutrzejsze oblicze świata bez zastosowania siły militarnej. W Londynie zrozumiano chyba w międzyczasie, że Anglia nie może występować w roli maklera pomiędzy Ameryką, a Sowietami, bo nie jest czynnikiem równorzędnym i należy jako partner do jednej ze stron zaangażowanych. Tak samo dawne względy na *Commonwealth* nie powinny być dziś poważną przeszkodą w dziele reorientacji dotychczasowej polityki *splendid isolation* wobec kontynentu. Niewątpliwie w takim wypadku idea federalizacji zachodniego przyczółka europejskiego w myśl koncepcji parlamentu strassburskiego ulegnie przekreśleniu. Ale wszyscy wiemy, że Strassburg stał się dziś Mekką jedynie dla zawodowych komiwojażerów europejskich, a w istocie jest już czczą formułką. Zespolenie Anglii z kontynentem, początkowo nawet luźnymi węzłami, jest sprawą ważniejszą niż sny zacnych, ale poczciwych Europejczyków przy kominkach w Strassburgu.

Pomoc dla ofiar kolonializmu

Zespolenie energii Zachodu nie może być celem, ale środkiem wiodącym do konkretnej mety: zwycięstwa nad komunistycznym totalitaryzmem. Droga do tego zwycięstwa musi być z rozmaitych względów okrężna i musi prowadzić przez Afrykę i Azję. Do Europy Wschodniej, po straconych okazjach z okresu wspólnego sojuszu ze Stalinem nie można wejść w charakterze równego konkurenta Moskwy, bo w Moskwie wiedzą, że to by oznaczało koniec rosyjskiej supremacji w państwach satelickich. Ale szlaki konkurencyjne do neutralnych czy neu-

tralistycznych państw afro-azjatyckich są otwarte. Trzeba będzie je tylko umiejętnie i jak najuczciwiej wykorzystać. Jest to sprawa olbrzymiej wagi, głównie z powodu uczestnictwa tych krajów w ONZ. Chruszczow przejrzał już dawno doniosłość tego czynnika i mizdrzy się nawet do tych Afrykańczyków i Arabów, którzy niemiłosiernie prześladują partie komunistyczne (np. Kassem w Iraku czy Nasser w Zjednoczonej Republice Arabskiej). Choć grozi on czasami bojkotem lub nawet rozłamem w ONZ jeśli się nie zaakceptuje jego planów reformy tej instytucji, ale są to „strachy na lachy", bo Moskwa ani na chwilę nie myśli opuścić tak uniwersalnej organizacji jak ONZ, szczególnie teraz, kiedy liczba niedawnych kolonii przekształconych w samodzielne państwa rośnie w zawrotnym tempie i niedługo będzie decydowała we wszystkich głosowaniach na East River w New Yorku.

Znaczenie ONZ jeśli patrzeć na tę organizację z punktu widzenia koncepcji opartych o tradycyjne przesłanki polityki mocarstwowej jest nieomal żadne. Ale nie o to chodzi. Jest to jedyna instytucja, w której już niedługo będą zasiadały wszystkie dawne kolonie białych. Dla tych nowych państw, które idą i pójdą drogą militarnego neutralizmu, fakt uczestniczenia na forum światowym jest psychologicznie o wiele większym zaszczytem aniżeli był nim udział w Lidze Narodów małych państewek, powstałych na gruzach imperiów sprzed pierwszej wojny światowej. Rządy nowych państw ery postkolonialnej, obarczone zrozumiałymi resentymentami, będą szukały jak największej satysfakcji właśnie na forum ONZ. Zachód będzie im musiał iść na rękę. I dlatego jest rzeczą nader ważną, aby w łonie ONZ, powstałym z ducha niedemokratycznej zasady wielkich mocarstw, przeprowadzić daleko idące reformy w sensie uniwersalizmu i neutralizmu, i tym samym pogrzebać imperialistyczne plany Moskwy, przybrane w szaty rzekomego równouprawnienia narodów-członków ONZ. Razem z tym łączą się takie sprawy jak powołanie do życia międzynarodowej policji czy formacji wojskowej ONZ nie w sensie dotychczasowych kontyngentów narodowych, ale wyszkolonych administracyjnie, geograficznie, fachowo i krajoznawczo oraz językowo kontyngentów międzynarodowych, które w wypadkach koniecznej interwencji z ramienia ONZ byłyby w stanie sprostać swym zadaniom.

Jeśli różne akcje ONZ mogą i powinny odbywać się kolektywnie wraz z krajami bloku wschodniego, to pomoc ekonomiczna dla krajów słabo rozwiniętych, musi iść po linii konkurencji Wschód-Zachód. Wszelkie komasowanie działalności filantropijnej razem z totalitarnymi reżymami komunistycznymi byłoby bez sensu, bo można już dziś przewidzieć co by z tego wyszło. Zachód musiałby dawać pieniądze, a Wschód szerzyłby w Azji i Afryce propagandę, że są to oczywiście środki Związku Sowieckiego. Zresztą nie widzę potrzeby dlaczego rządy lub specjalne instytucje Zachodu miałyby się same pozbawić tak mocnej broni jaką jest pomoc ekonomiczna dla państw afro-azjatyckich.

Blok wschodni nie jest w stanie na te cele przeznaczyć nawet połowy takich nakładów inwestycyjnych na jakie Zachód może sobie śmiało pozwolić bez obawy, że z tego mogą wyniknąć przykre następstwa dla własnej gospodarki. Zarówno sowiecki plan siedmioletni jak też nowe pięciolatki państw satelickich przewidują tak olbrzymie inwestycje wewnątrz bloku komunistycznego, że radykalne zwiększenie dostaw towarowych lub upłynnienie środków pieniężnych na pożyczki dla krajów słabo rozwiniętych jest mało prawdopodobne. Może ktoś powie, że Moskwa i jej satelici mogą się posłużyć dumpingiem w formie przestarzałych lub ,,wybrakowanych'' maszyn i urządzeń, których nie można zepchnąć w normalnym handlu zagranicznym. Takie wyjście wydaje mi się zupełnie niemożliwe, bo po pierwsze państwa nowopowstałe są bardzo wyczulone na jakość oferowanych im dostaw, a po drugie ramy produkcji przemysłowej bloku wschodniego są wciąż jeszcze zbyt szczupłe. Do tego dochodzi ponadto jeszcze jeden bardzo ważny moment. Większość państw słabo rozwiniętych jest jak najżywotniej zainteresowana w tym, aby ich kontrahenci zagraniczni kupowali artykuły rolnicze i owoce a wzamian płacili dewizami lub towarami przemysłowymi. Otóż chłonność rynków bloku wschodniego na tego rodzaju importy — ze względu na rygorystyczną politykę ograniczonej konsumpcji towarów luksusowych, do których na Wschodzie Europy należą również takie artykuły jak kawa, banany, pomarańcze itd — jest bardzo nikła i ten stan rzeczy potrwa jeszcze dość długo. Do czego to prowadzi, wskazuja dysproporcje w gospodarce planowej Niemiec Wschodnich. Politycy NRD jeszcze niedawno obiecywali przedstawicielom państw afrykańskich, że w następnych latach rząd ich zakupi ogromne ilości egzotycznych artykułów, zwłaszcza owoców. A tymczasem z tekstu zatwierdzonego obecnie planu 5-letniego wynika, że ani konsumpcja owoców południowych (obecnie prawie żadna) ani spożycie kawy nie ulegną w ciągu najbliższych lat poprawie.

Koncepcja ,,narodowej demokracji''

A jednak Związek Sowiecki i jego trabanci odnoszą poważne sukcesy w świecie afroazjatyckim. I to pomimo faktów, że pomiędzy pomocą Zachodu i Wschodu istnieje kolosalna różnica na niekorzyść państw socjalistycznych. Kiedy bowiem Zachód udzielił krajom słaborozwiniętym w czasie od 1956 roku około 30 miliardów dolarów (w tym Ameryka dała połowę), to cały Wschód zdobył się na pomoc w wysokości czterech i pół miliarda dolarów. Tajemnica sukcesu przy tak małym nakładzie kosztów polega na dwojakiej taktyce. Kreml koncentruje się na realizowaniu spektakularnych obiektów, które każdy Afrykańczyk czy Arab może dojrzeć, nawet kiedy jest analfabetą, tak jak każdy warszawiak nie może nie zauważyć Pałacu Kultury. Tenże

Kreml nie ma najmniejszych skrupułów w sprawach propagandy. Jeśli da komuś rubla to nie omieszka rozreklamować tego kroku jakby co najmniej udzielił milionowych kredytów. Z czasem taka propaganda przeje się niewątpliwie i społeczeństwom krajów gospodarczo i kulturalnie zacofanych, ale na razie ta metoda daje fantastyczne skutki.

W parze z propagandą odbywa się konsekwentna infiltracja ideologiczna. Nie w formie szkolenia kadr komunistycznych, ale drogą pośrednią, która oficjalnie otrzymała termin techniczny koncepcji ,,demokracji narodowej''. Polskim twórcom ruchu endeckiego nawet się nie śniło, że kiedyś komuniści ukradną im tytuł ich idei, aby pod tym sztandarem tworzyć zawiązki społeczeństw totalitarnych w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej. Termin ten usankcjonowano na ostatniej naradzie 81 partyj komunistycznych w listopadzie 1960 roku w Moskwie. Głównymi elementami ,,demokracji narodowej'' w społeczeństwach krajów słabo rozwiniętych są takie problemy jak ,,rozwiązanie kwestii chłopskiej'', ,,stworzenie i rozszerzenie sektora państwowego w gospodarce narodowej'', stanowisko ,,burżuazji narodowej'' oraz walka przeciwko wszelkim wpływom Zachodu, szczególnie przeciwko bazom wojskowym i hasłom antykomunistycznym. W gruncie rzeczy jest to koncepcja pierwszej, wstępnej fazy ,,demokracji ludowej'', lansowana pod innym szyldem i przystosowana do warunków społecznych i klasowych w krajach afroazjatyckich i południowo-amerykańskich.

Zachód przeciwstawia się ofensywie Związku Sowieckiego i Chin w krajach niedorozwiniętych głównie przy pomocy pieniędzy. Akcja taka jest potrzebna, ale pozbawiona koncepcji politycznej nie może dać pożądanych wyników. Zresztą nawet pomoc ekonomiczna obarczona jest wieloma negatywnymi zjawiskami. Przede wszystkim obserwujemy na tym odcinku niesłychany rozgardiasz. W ciągu krótkiego czasu powstało w świecie zachodnim tyle najróżniejszych urzędów, instytucji, fundacji i komitetów, że nawet ludziom pracującym w tej dziedzinie trudno się już dziś wyznać w tym kto co robi, co i komu daje. Plany i inicjatywy, a nawet konkretne kroki bywają nie tylko dublowane, ale często pomnażane w dziesięciokroć albo i więcej! W samych tylko Niemczech zachodnich można się doliczyć obecnie około 170 organizacji, powołanych do niesienia pomocy krajom słabo rozwiniętym. Niczym potworny wrzód rozrasta się w błyskawicznym tempie w poszczególnych krajach zachodnich nowa forma międzynarodowej biurokracji, pochłaniająca wielkie sumy pieniędzy, które przy mądrej koordynacji i po uporządkowaniu tego straszliwego chaosu mogłyby być użyte nie na pensje, synekury i diety dla urzędasów, ale właśnie na pomoc Afro-Azjatom. Znaczna część pieniędzy tonie również w kieszeniach politykierów krajów niedorozwiniętych. Czas najwyższy zrobić w tej dziedzinie porządek zanim będzie za późno. Chyba jedynym wyjściem byłoby stworzenie Międzynarodowego Komitetu Koordynacyjnego i kreowanie wspólnej puli a więc

Międzynarodowego Funduszu Niesienia Pomocy Krajom Słaborozwiniętym.

W ramach takiego funduszu można by finansować rozmaite projekty, uzgadniać inwestycje, udzielać pożyczek przedsiębiorstwom nawet z krajów wschodnio-europejskich celem wykonywania zamówień. Idea rzucona przez prezydenta Kennedy'ego o tzw. Korpusie Pokoju winna być przepracowana wspólnie z socjologami, ekonomistami i Związkami Zawodowymi i powinna stać się wielkim przedsięwzięciem, które rozbudziwszy wśród młodzieży ducha przygody i nowoczesnego pionierstwa, mogłoby, nawiasem mówiąc, przyczynić się do rozwiązania bardzo ważnych trudności, wynikłych pośród młodej generacji wielu krajów.

W Moskwie istnieje tzw. Uniwersytet Przyjaźni Narodów, ostatnio przemianowany na uniwersytet im. Lumumby, gdzie młodzież z krajów Afryki, Azji i Południowej Ameryki kształci się bezpłatnie. Koncepcja uniwersytetu — jak słyszę — nie jest udana, bo studenci muszą się najpierw nauczyć rosyjskiego, a oprócz tego zaczynają (choć nie wszyscy) odczuwać dotkliwie wszechwładną indoktrynizację. Mimo to imprezy tej nie należy lekceważyć. Czyż Zachód nie mógłby zorganizować na miejscu, to znaczy w kilku ośrodkach w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej, uniwersytetów i wyższych, a nawet średnich szkół fachowych i w ten sposób nadrobić choć częściowo zaniedbania i spuściznę reżymów kolonialnych?

Sugestie polityczne

Podstawową sprawą będzie jednak wciąż strona polityczna. Moskwa rozpętała wielką wojnę propagandową wśród wczorajszych ludów kolonialnych. Wystarczy wziąć do ręki katalogi moskiewskiego wydawnictwa wschodniego, aby się przekonać, jaką wagę przywiązuje Politbiuro Chruszczowa do akcji uświadamiającej, czy raczej wykrzywiającej obraz świata. Czas nagli: trzeba aby kraje i środowiska nieskompromitowane kolonializmem, przystąpiły najpierw do kontrakcji, a potem do ofensywy właśnie w tej dziedzinie. Pomysł Mieroszewskiego iż należałoby stworzyć Instytut Antykolonialny zasługuje na rozwagę i poparcie. Ludy Afryki i Azji, wśród których Islam odgrywa wielką rolę, nie wiedzą faktycznie niczego o koloniach Rosji czy o sowieckiej polityce narodowościowej. To nie znaczy jednak, że taki Instytut nie miałby wydawać solidnych i obiektywnych rozpraw o kolonializmie zachodnim, który i tak w ciągu najbliższych lat stanie się przedmiotem badań historycznych, bo zniknie bezpowrotnie z oblicza ziemi.

Pozostaje jeszcze do przemyślenia kwestia, w tym kontekście bodajże najdonioślejsza, a mianowicie co należy przeciwstawić komunistycznej koncepcji tzw. ,,demokracji narodowej'', i jak uchronić społeczeństwa byłych kolonii czy zacofanych państw południowo-amerykańskich przed totalitaryzmem komu-

nistycznym. Koncepcja Moskwy i Pekinu na tym polu działania jest jasna: zrewolucjonizowanie chłopstwa i podburzanie warstwy inteligenckiej, będącej w przeważającej liczbie i tak swego rodzaju ,,Lumpenproletariatem'', przeciwko wszelkiemu ładowi, opartemu na wzorach Zachodu, przy równoległym zakładaniu bazy pod etatyzm, drogą forsownej industrializacji tych krajów.

Przy tym wszystkim musimy pamiętać, że kraje słabo rozwinięte nie mają ani ani tzw. trzeciego stanu, czyli kupców, drobnych przedsiębiorców i rzemieślników, ani klasy robotniczej w sensie uświadomionych i zorganizowanych w Związkach Zawodowych pracowników przemysłowych. Z drugiej strony siły nacjonalistyczno-biurokratyczne które tam sprawują władzę pragną przeskoczyć etapy powolnej ewolucji. Propaganda sowiecka podsuwa im wzory ustroju opartego na scentralizowanym etatytyzmie i gospodarce planowej. Niektórzy przywódcy tych krajów jak np. Sekou Touré w Gwinei są urzeczeni taką koncepcją.

Zachód nie ma poza doraźną i chaotyczną pomocą gospodarczą innej koncepcji społecznej dla krajów słabo rozwiniętych, jak przeszczepianie własnego ustroju, na tamtejsze warunki prawie że zupełnie nieprzydatnego. W związku z tym trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że w warunkach, które pozostały w spuściźnie po erze kolonialnej, osiągnięcie względnej stabilizacji politycznej i gospodarczej w tej części świata nie obejdzie się bez zastosowania pewnych środków etatystycznych i planowych. Ale chodzi o to, aby taka ingerencja państwa nie posłużyła do stworzenia podstaw do ustrojów na wskroś totalitarnych i nie udusiła słabych co prawda ale jednak istniejących pierwiastków społeczeństw i systemów pluralistycznych. Wydaje mi się, że w tym trudnym dziele pożyteczną robotę mogliby wykonać przedstawiciele zachodnio-europejskiego, a zwłaszcza skandynawskiego ruchu spółdzielczego i kooperatywnego. Przenoszenie systemu zachodniej konkurencji kapitalistycznej na tereny Afryki i Azji jest przedsięwzięciem skazanym na fiasko. Ale zaszczepianie idei spółdzielczości, jaką mamy w najrozmaitszych formach w Danii czy nawet w Niemczech Zachodnich i którą należałoby odpowiednio do konkretnych warunków zmodyfikować nie wydaje mi się utopijne i niewykonalne. Trzeba tylko pokonać atmosferę obojętności i wygodnictwa, która jest najgroźniejszym wrogiem wszelkiej inicjatywy na Zachodzie, a tym samym potężnym sprzymierzeńcem opartych na rozkazie akcji sowieckich czy chińskich. Impulsy w tej dziedzinie mogą wyjść zarówno z kół politycznych jak też i gospodarczych i naukowych Zachodu, przy czym młodzi działacze związków zawodowych — a nie starczy gracze, którzy zjedli zęby na zimnej wojnie — mogliby się stać prawdziwymi pionierami tej jakże ważnej sprawy.

Jest jeszcze jedno zagadnienie. Myślę tu o zagadnieniu kolonializmu sowieckiego w Europie i Azji, kolonializmu opartego na kanonach polityki mocarstwowej starej Rosji i operującego

nowoczesnymi metodami totalizmu komunistycznego. Nadszedł czas, aby ten temat gruntownie przeanalizować w możliwie wszystkich płaszczyznach, a więc z punktu widzenia polityki Zachodu, dekolonizacji Afryki i Azji oraz roli emigracji rosyjskiej i nierosyjskiej z krajów Europy Wschodniej.

Bogdan OSADCZUK

Polski model gospodarczy a uprzemysłowienie Azji

Gdy przed dwoma laty w kraju toczyła się dyskusja na temat polskiego modelu gospodarczego dotyczyła ona przeważnie sprawy decentralizacji decyzji gospodarczych oraz zasad, które winny obowiązywać przy wyznaczaniu cen. Gdy na emigracji mówi się o polskim modelu gospodarczym ma się na myśli przede wszystkim różnice pomiędzy systemem gospodarczym, który wytworzył się w Rosji, a tym który usiłowano ukształtować w Polsce po-październikowej. Gdy w krajach azjatyckich mówi się o odrębnym polskim modelu gospodarczym — ma się przede wszystkim na myśli metody uprzemysłowienia kraju.

Dotychczas były dwa zasadnicze wzory uprzemysłowiania się krajów opóźnionych gospodarczo zastosowalne w Azji: japoński i rosyjski. Teraz mówi się również o wzorach jugosłowiańskim, polskim i chińskim. W tym artykule będę się starał podejść do kwestii polskiego modelu gospodarczego z tego właśnie, azjatyckiego, punktu widzenia.

Komunizm a przeludnienie agrarne

Cechą wspólną większości krajów, które w drodze rewolucji czy też podboju popadły pod panowanie komunistyczne, jest, że były to (i w dużym stopniu jeszcze są) tereny przeważnie rolnicze z poważną rezerwą siły roboczej na wsi (Niemcy Wschodnie i Czechosłowacja stanowią pod tym względem wyjątek). Rządy komunistyczne podjęły wysiłek przyśpieszenia uprzemysłowienia opierając się przede wszystkim o tę rezerwę. Polityka, którą w tym celu stosują wzbudza ogromne zainteresowanie w Azji, gdzie konieczność zmniejszenia przeludnienia agrarnego stawia na porządku dziennym sprawę przyspieszenia uprzemysłowienia. Drogi i metody tej polityki nie są jednak

identyczne we wszystkich krajach komunistycznych. Pod tym względem rozwój przebudowy gospodarczej w Polsce odbiegł w niektórych, dość zasadniczych, punktach od wzorów radzieckich. Daje to podstawę do mówienia o różnych modelach uprzemysłowienia.

Oparcie uprzemysłowienia o rezerwę siły roboczej na wsi oznacza *transformację* czynnika który jest w nadmiarze (tzn. rąk roboczych) w czynnik brakujący (tzn. kapitał w formie maszyn, narzędzi, gmachów, urządzeń komunikacyjnych itd.). Dlatego żeby te transformacje skutecznie przeprowadzić trzeba te rezerwy siły roboczej *zmobilizować*. Nie ma jednak całkowitej zgodności pomiędzy komunistami co do tego jakie metody są *dozwolone* przy przeprowadzaniu tej mobilizacji.

Biorąc rzecz z gruba (bo nie chciałbym wchodzić w zawiłości psychologii poszczególnych przywódców) możemy powiedzieć, że w dziejach rewolucji rosyjskiej trockiści i staliniści byli skłonni traktować chłopa wyłącznie jako nawóz dla realizacji programu przebudowy gospodarczej, wówczas gdy zwolennicy Bucharina, działacze związków zawodowych oraz ci ekonomiści, którzy przyczynili się do stworzenia pierwotnej wersji pierwszego planu pięcioletniego, upierali się przy niektórych ,,przesądach demokratycznych'' i uważali że, pomimo wszystko, pewien wzgląd na ludzkie cierpienia i na godność człowieka musi być zachowany. Stąd w ramach samego obozu komunistycznego powstały poważne różnice co do programu praktycznego działania w sprawie uprzemysłowienia.

Dysproporcja na rynku dóbr konsumpcyjnych

Sądzę, że właściwości różnych możliwych modeli uprzemysłowienia mogą być najlepiej uświadamiane przez scharakteryzowanie tych *przeszkód*, które muszą być przezwyciężone aby tę mobilizację rezerwy roboczej i jej przetworzenie w kapitał rzeczowy osiągnąć. Dwie największe trudności na drodze przyspieszonego uprzemysłowienia polegają, po pierwsze, na problemie rozłożenia ciężarów akumulacji na różne warstwy społeczne; po wtóre, na problemie zrównoważenia rosnącego popytu na dobra konsumpcyjne, i ich podaży. Wydaje mi się że dla charakterystyki różnicy pomiędzy sowieckim, a polskim modelem uprzemysłowienia ten drugi problem jest szczególnie ważny. Dlatego też chciałbym w dalszym ciągu tych rozważań przede wszystkim na nim się skoncentrować.

Istota tego drugiego problemu polega na tym, że przy przyspieszonym uprzemysłowieniu powstaje często dysproporcja na rynku dóbr konsumpcyjnych, wynikająca z szybszego wzrostu popytu na te dobra, niż ich podaży. Nie jest ona ani specjalnie polskim, ani też specjalnie sowieckim zjawiskiem: jest to zjawisko ogólne, związane z procesem gwałtownego przeistaczania się gospodarki naturalnej w towarową w krajach prze-

ludnionych agrarnie. Zajmują się dziś nim ekonomiści hinduscy. Prof. C.N. Vakil, który stoi obecnie w Kalkucie na czele Instytutu Badania Społecznych Skutków Uprzemysłowienia, nazywa je *wage-goods gap*.

Zjawisko to powstaje stąd, że włościański syn, który z małorolnego gospodarstwa przenosi się do przemysłu, stwarza dodatkowy popyt na rynku. Tymczasem ci, którzy pozostają na gospodarstwie, nie rzucają od razu na rynek tych dóbr, które on spożywał, lecz używają wewnątrz gospodarki na ludzką lub zwierzęca konsumpcję. Zwykle, po pewnym czasie, rolnictwo dopasowuje swoją produkcję do tego zwiększonego popytu, lecz jest to proces powolny. Drobny rolnik nie ma mentalności producenta towarowego: jest on często niedożywiony i myśli przede wszystkim o tym aby więcej zjeść, a dopiero w dalszym rzędzie o zdobyciu nieco więcej gotówki. Gotówki potrzebuje na to, aby opłacić podatki oraz nabyć pewne dobra przemysłowe (narzędzia rolnicze, ubránie itp.); jeżeli tych dóbr nie może dostać, nie ma powodu zwiększania produkcji. Wzrost cen na produkty rolne nie zawsze go skłania do zwiększenia ich podaży.

W systemie gospodarki kapitalistycznej, jeżeli uprzemysłowienie jest oparte o import kapitału zagranicznego, trudności te są rozwiązane automatycznie przez wzrost przywozu dóbr konsumpcyjnych (lub przez obniżenie ich eksportu). Tak byłoby prawdopodobnie obecnie i w Polsce, gdyby Polsce w swoim czasie zezwolono przystąpić do Planu Marshala, lub gdyby Polska należała do jakiejś kombinacji Środkowo-Europejskiej i była włączona do tego prądu żywiołowego rozwoju, który odbywa się dziś w Niemczech Zachodnich.

Lecz w krajach gospodarki kierowanej potrzebne są posunięcia polityki rządowej aby odbudować zachwianą równowagę na rynku środków spożywczych. Sposób, w jaki Związek Sowiecki na początku okresu pięciolatek zareagował na ten brak równowagi, zadecydował o specyficznych właściwościach stalinowskiego wzoru uprzemysłowienia, zaś sposób, w jaki zareagowała Polska w połowie lat pięćdziesiątych, zadecydował o odrębności wzoru polskiego.

Dla charakterystyki metod likwidacji dysproporcji na rynku dóbr konsumpcyjnych podstawowe znaczenie ma pierwsza dekada intensywnego uprzemysłowienia. Dla Rosji będzie więc to pierwsza dekada po r. 1928. W tym właśnie roku proces odbudowy po pierwszej wojnie światowej i okresie wojen domowych został zakończony i Związek Sowiecki przystąpił do realizacji pierwszego planu pięcioletniego. Dla Polski będzie to dekada po 1949 r., kiedy został zakończony trzyletni plan odbudowy powojennej i rozpoczęła się realizacja planu sześcioletniego.

Model stalinowski

W Rosji jaskrawa rozpiętość pomiędzy podażą środków żywności, a rosnącym zapotrzebowaniem na nie, która zaryso-

wała się już w r. 1928 spowodowała tendencję do zwyżki cen w wolnych obrotach. Wywoływało to wzrost płac nominalnych co groziło wywróceniem wszystkich planów finansowych (a w szczególności planów w zakresie budownictwa inwestycyjnego), oraz spadek płac realnych, co przyczyniło się do zatamowania przypływu rąk roboczych ze wsi do miasta. Proces wzrostu gospodarczego został zagrożony przez zatkanie się dwóch kanałów: tego, którym szedł dopływ rąk roboczych, oraz tego, którym szedł dopływ środków żywnościowych do miasta.

Kierownictwo partii rozwiązało te dysproporcje na rynku dóbr spożywczych w sposób brutalny przez zarządzenie masowej kolektywizacji. Kolektywizacja stalinowska w latach 1929-1930 nie była wcale spowodowana dążeniem do podniesienia produkcji rolnej. Było to przede wszystkim postawienie pompy, która by pompowała ze wsi do dyspozycji rządu produkty rolne potrzebne do wyżywienia miast i wojska. W istocie rzeczy względy, które wywołały gwałtowną akcję kolektywizacyjną w latach 1928-30, były bardzo zbliżone do tych motywów które powodowały Tatarami, a potem rządami carskimi, w popieraniu istnienia rosyjskiej wspólnoty wiejskiej, bo była to dogodna jednostka podatkowa. Znaczenie stalinowskiej kolektywizacji polegało przede wszystkim na tym, że wprowadzona została policyjna kontrola na dystrybucję produktów pracy rolnika. Zaciemniło to istotny sens problemu kolektywizacji, który musi być przede wszystkim problemem skooperowania drobnych wytwórców rolnych w celu podniesienia produkcji.

Stalinowska kolektywizacja spowodowała również wzmożenie migracji ze wsi do miasta. Było to skutkiem połączenia kolektywizacji z akcją tzw. likwidacji kułaków. Wielu zamożniejszych, lub po prostu bardziej oszczędnych i pracowitych, włościan zamordowano. Kilka milionów deportowano częściowo do łagrów, częściowo na osiedlenie przymusowe. Spowodowało to masową ucieczkę ze wsi do miast tych co się czuli bardziej zagrożeni. Nie mogąc przyciągnąć robotnika ze wsi do miasta w drodze ofiarowania mu lepszych warunków bytu, sowiecka kolektywizacja osiągnęła ten sam cel przez obniżenie stopy życiowej na wsi.

Kolektywizacja sowiecka wywołała poważny spadek produkcji rolnej, który przyjął charakter zupełnie katastrofalny w dziale hodowli, gdzie pogłowie bydła spadło o blisko 50%, a pogłowie owiec i kóz o blisko 75%; lecz jednocześnie nastąpiło w Związku Sowieckim podniesienie towarowości produkcji rolnej. Cel więc dostarczenia pewnego minimum środków żywności dla tych, co pracowali w przemyśle i w budownictwie inwestycyjnym, został osiągnięty kosztem ogólnego obniżenia poziomu życia w całym Związku Sow., a w szczególności poziomu życia chłopa oraz poziomu życia tych kilku milionów deportowanych do ,,łagrów'' i ,,posiołków''. Produkcja przemysłu ciężkiego zaczęła gwałtownie wzrastać, lecz to w dużym stopniu było równoważone przez spadek produkcji dóbr konsumpcyjnych.

Straty moralne spowodowane akcją likwidacji kułaków nie dadzą się obliczyć. Nie mogą one być mierzone tylko ilością pomordowanych lub deportowanych włościan. Była to akcja zbrodni organizowanych systematycznie na rozkaz z góry; i, razem z hitlerowską akcją eksterminacji Żydów w Europie Środkowej, przyczyniła się do załamania się we współczesnym świecie wiary w człowieka, oraz tego wielkiego kryzysu moralnego, przez który przechodzi nasza cywilizacja oparta o ideały humanistyczne.

Polska droga do socjalizmu

W Polsce na początku lat pięćdziesiątych (tzn. na początku okresu planu sześcioletniego) wytworzyła się sytuacja podobna do tej, jaka była w Rosji na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych: brakło szeregu dóbr konsumpcyjnych, ceny na wolnym rynku rosły, płace realne obniżały się, proces migracji robotnika wiejskiego do miasta został zatamowany; chociaż na ogół wszystkie te tendencje przejawiały się w polskim wypadku mniej jaskrawo niż to było w Rosji na początku pierwszej pięciolatki.

Reakcja polskich czynników rządzących na ten stan rzeczy wykazała jednak pewne wahania. Początkowo chciano się trzymać ściśle wzorów sowieckich, nawet na tych odcinkach gdzie to było wyraźnie wbrew nakazom zdrowego sensu. Upaństwowienie handlu detalicznego w 1950 wbrew interesom szerokich rzesz konsumentów było wyrazem tej postawy. Rząd miał wyraźną intencję ściśnięcia kraju żelazną obręczą nie tylko w celu wydobycia środków na płacenie haraczu Rosji oraz koniecznego rozbudowania własnego aparatu produkcyjnego, lecz również dla pokornego wykazania, że Polska w niczym nie ma zamiaru ulepszać wzorów ustalonych w ,,ojczyźnie proletariatu światowego'' w latach pierwszych stalinowskich pięciolatek.

Ten sam rząd jednak cofnął się przed krwawym widmem kolektywizacji typu stalinowskiego. Nie ulega wątpliwości że opór chłopa polskiego przeciwko gwałtownej kolektywizacji, połączonej z mordami, deportacjami i niszczeniem pogłowia inwentarza żywego, byłby co najmniej równie zdecydowany jak opór chłopa ukraińskiego na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Rosja w ciągu pierwszej pięciolatki skolektywizowała około 62% wszystkich gospodarstw chłopskich oraz około 78% włościańskiej ziemi uprawnej (1). Polska w ciągu okresu sześciolatki (1950-1956) skolektywizowała około 10% przestrzeni uprawnej oraz około 6% gospodarstw włościańskich.

Po Październiku Polska usiłowała odbudować zachwianą równowagę na rynku dóbr konsumpcyjnych częściowo przez obniżenie stopy inwestycyj, częściowo przez import środków żywności (który stał się możliwy na ulgowych warunkach dzięki

(1) *Bolszaja Sow. Encyklopedia*, 1947, tom specjalny S.S.S.R. str. 850.

istnieniu specjalnych nadwyżek zbożowych w Stanach Zjednoczonych), częściowo poprzez nacisk na płace realne. Najbardziej jednak istotna różnica polegała na tym, że, podczas gdy w Związku Sowieckim w trakcie realizacji pierwszego planu pięcioletniego zareagowano na trudności aprowizacyjne przez wzmożenie nacisku na chłopa, w Polsce, odwrotnie, zaczęto ten nacisk zmniejszać, aby zachęcić go do podniesienia produkcji. Chłopom pozwolono opuszczać spółdzielnie rolnicze, z czego ogromna większość polskich kołchoźników skwapliwie skorzystała; a dochody, które państwo ciągnie z dostaw przymusowych, przeznaczono na cele inwestycyjne na wsi.

Z programu kolektywizacji nie zrezygnowano, lecz zaczęto go traktować więcej jako problem nowej organizacji produkcji, a mniej jako tworzenie machiny do egzekwania od producentów rolnych ich wytworów, jak to było w modelu stalinowskim. Uznano, że ta nowa organizacja produkcji wymaga uprzedniego wytworzenia szeregu przesłanek technicznych oraz psychologicznych — i pod tym kątem widzenia zaczęto kształtować program polityki rolnej.

Polski Październik a Azja

Przemiany październikowe wywołały duże zainteresowanie w krajach azjatyckich. Wielkie kraje południowej Azji, posiadające ogromną niewykorzystywaną rezerwę siły roboczej — Indie, Indonezja i Pakistan — są dziś w dużym stopniu na rozdrożu jeżeli chodzi o metody rozbudowy gospodarczej. Te drogi rozwojowe, które w końcu XVIII wieku doprowadziły do rewolucji przemysłowej w Anglii, zarówno jak i te, którymi kroczyły Stany Zjednoczone i anglosaskie dominia brytyjskie, są wykluczone w Azji, bo warunki są tam zupełnie odmienne. Warunki, istniejące w Japonii, Rosji i Europie Wschodniej na początku okresu przyśpieszonego uprzemysłowienia tych krajów, są bliższe dzisiejszej sytuacji azjatyckiej, niż warunki, które leżały u podłoża industrializacji krajów zachodnich. W Azji (z wyjątkiem niektórych niedużych węzłowych rejonów handlowych jak Hong-Kong, Singapore oraz Liban, lub szczęśliwców obdarzonych naftą jak Kuwait czy też Brunei) nie ma prawdopodobieństwa, aby prywatna inicjatywa i akumulacja kapitalistyczna mogły stworzyć punkt wyjścia dla spontanicznego rozwoju na większą skalę. Liberalizm gospodarczy, który wciąż ma wielu zwolenników na uniwersytetach brytyjskich i amerykańskich, jest w stosunku do Azji koncepcją utopijną. Azja potrzebuje dzisiaj wielkich programów inwestycyj publicznych, aby sprostać naciskowi wynikającemu ze wzrostu ludności.

Model japoński, który ma tę przewagę nad wzorem sowieckim, że potrafił wywołać równomierny wzrost rolnictwa i przemysłu, jest dziś trudny do zastosowania wobec odmiennej sytuacji psychologicznej i odmiennego charakteru nadbudówek ideo-

logicznych, niż te które istniały w końcu zeszłego stuleia. Model sowiecki odstrasza ponurym widmem wiwisekcji dokonanej na ludności rolniczej przez Stalina. Gdy przed kilku laty podróżowałem poprzez Indie byłem zdziwiony, że prawie każdy inteligent hinduski, z którym rozmawiałem, uświadamiał sobie o wiele lepiej niż przeciętny Anglik, co przecierpiał chłop rosyjski za czasów pierwszych pięciolatek.

W światopoglądzie większości inteligentów południowej Azji dużą rolę odegrywa element tego co w historii rosyjskiej i polskiej ideologii społecznej nazywamy ludowością. Program bezwzględnej eksploatacji chłopa, głoszony przez Trockiego i Preobrażenskiego, a realizowany przez Stalina, napełnia tych inteligentów odrazą i przestrachem. Dlatego też ogłoszenie przez Polskę hasła odmiennej metody przebudowy socjalistycznej wywołało we wszystkich krajach azjatyckich dużo sympatii oraz wzrost zainteresowania sprawami polskimi. Dzisiaj w krajach tych eksperci polscy, przysłani w ramach międzynarodowej pomocy technicznej, są na ogół chętnie widziani, nieraz chętniej niż eksperci z jakiegokolwiek bądź innego kraju. Polaków uważa się często za tych, którzy lepiej rozumieją specyficzne problemy krajów azjatyckich niż zachodnio-Europejczycy, Amerykanie, czy też Rosjanie.

Czy Polska droga do socjalizmu jest wyłącznie polską?

Program, który wyłonił się po październiku trudno uważać za jakąś specyficzną manifestację ducha polskiego. Główną cechą tego programu było dążenie do unikania gwałtu szczególnie w stosunku do producentów rolnych oraz utrzymanie pewnej równowagi pomiędzy rosnącym popytem na dobra konsumpcyjne, a ich podażą. W Związku Sowieckim pierwsza wersja pierwszego planu pięcioletniego była zbudowana na analogicznych zasadach zdrowego rozsądku. Na przełomie jednak lat dwudziestych i trzydziestych większość ekonomistów i statystyków sowieckich, którzy przyczynili się do ułożenia tego planu, zniknęła z powierzchni życia publicznego, a prawdopodobnie również w ogóle z tego świata. Ten sam los ostatecznie spotkał i tych co temu planowi udzielili poparcia, np. Mikołaja Bucharina, najwybitniejszego obok Lenina teoretyka partii, oraz M. Tomskiego, przewodniczącego Centralnej Rady Związków Zawodowych, oraz innych. Likwidacji fizycznej uległo również szereg innych działaczy związków zawodowych oraz szereg wyższych urzędników Komisariatu Skarbu. Samo zaś wykonywanie planu przeistoczyło się w rodzaj zawodów w zakresie ilościowych wyników produkcji przemysłowej przy poważnym obniżaniu się produkcji rolnej.

Nie twierdzę wcale, aby ten przyjęty w Rosji stalinowskiej system niezbalansowanego rozwoju był systemem absurdalnym, chociaż był anty-socjalny i głęboko niemoralny. Ostre zachwianie

się równowagi gospodarczej może prowadzić do załamania się lecz może być również impulsem do dalszego postępu. System transformacji gospodarczej, przyjęty w Rosji stalinowskiej, był związany z morderstwami, gwałtami, oraz utrzymywaniem w nędzy szerokich mas. Mógł prowadzić do potęgi, do obdarzenia świata nowym Hitlerem, lecz nie do tego co przez półtorej setki lat ludzie przywykli rozumieć pod słowem socjalizm. Każdy, kto poznał łagry sowieckie, kto podróżował przez te rozległe tereny, gdzie zasadniczym elementem krajobrazu były druty kolczaste i wieżyczki strażników, zgodzi się chyba z tym, że nie były to zakłady wytwarzające moralne i psychologiczne przesłanki dla ustroju socjalistycznego. Ten system omnipotencji państwa, który w Związku Sowieckim jest obecnie nazywany socjalizmem, zarówno jak i ten system omnipotencji partii, który podobno ma być zrealizowany jeszcze w ciągu życia obecnego pokolenia i nazwany komunizmem, nie stanowi w istocie ani socjalizmu ani komunizmu. Są to przygotowawcze stadia do tego nowego porządku stosunków społecznych który opisał Orwell. Polska, jak i inne kraje satelickie, stanowić miała nawóz przy budowaniu tego nowego orwellowskiego porządku rzeczy, do którego Kreml prze z ogromną siłą wielkich prądów dziejowych, zrodzonych w mrokach historii. W zrodzeniu tej siły partycypowali nie tylko Lenin i Stalin, lecz także Iwan Groźny, Piotr Wielki i Mikołaj I.

W październiku 1956 Polska potrafiła zerwać z narzuconą jej przez Moskwę rolą wiernego naśladowcy wzorów stalinowskich, i zwrócić się do programu przebudowy socjalistycznej, który w istocie bardzo przypomina program, opracowany przez najtęższe głowy rewolucji rosyjskiej zanim jeszcze Stalin zdążył wymordować większość wybitniejszych przedstawicieli socjalizmu rosyjskiego, nie wykluczając szeregu wybitnych bolszewików. Model więc transformacji gospodarczej, tak jak zarysował się po październiku, trudno uważać za jakiś specjalnie polski wynalazek. Lecz fakt, że w 1956 Polska ten zwrot potrafiła przeprowadzić, jest świadectwem wielkich sił dynamicznych które tkwią w narodzie polskim; jak również jest zasługą polskich komunistów, zarówno małej garstki tych, co wierzą, jak i ogromnej masy tych, co nie wierzą w komunizm, lecz zachowali nieco wiary w godność człowieka.

Kwestia, czy Polska ostatecznie potrafi utrzymać się na tej linii czy też zostanie z niej zepchnięta, ma znaczenie sięgające znacznie dalej niż wąski zakres spraw regionalnych Europy Środkowo-Wschodniej. Polska jest dziś *a test case* dla odpowiedzenia na pytanie czy w ogóle jakiś, chociażby bardzo ograniczony, zakres wolności osobistej, jest do pomyślenia w systemie gdzie Partia Komunistyczna trzyma w swoich rękach ośrodki dyspozycji. To co się nazywa ,,polską drogą do socjalizmu'' czy też ,,polskim modelem gospodarczym'' — stanowi symbole tej możliwości.

Stanisław SWIANIEWICZ

„Po Prostu"

Lektura tekstów z tygodnika „Po Prostu", zebranych w antologii mego przyjaciela Jeleńskiego (*La Realta dell'ottobre Polacco*, Editore Silva, Milano, 1961), utwierdziła mnie w szacunku i sympatii, jakie zawsze żywiłem do polskich rewolucjonistów. Nawet w ponurym aparacie Kominternu było zawsze dla mnie ulgą mieć do czynienia z Polakiem a nie, na przykład, z Węgrem. Dyrektywy były identyczne, to znaczy — gdy o nich dziś myślę — zawsze ohydne, ale lepiej było je otrzymywać od osób inteligentnych i lojalnych niż od jakiegoś Rakosi'ego. Nie bez powodu Stalin gdy myślał o kompromisie z Hitlerem, zaczął od eksterminacji całego kierownictwa Polskiej Partii Komunistycznej. Polacy stanowili w Kominternie jedyną grupę, zdolną do przeciwstawienia się temu szaleństwu. (Mówiąc o polskich komunistach chcę skorzystać z okazji, by przypomnieć fakt z historii Włoskiej Partii Komunistycznej, a mianowicie postać Fanny Jezierskiej, którą w cień usunęły jedynie przesądy burżuazyjne. Uczenica Róży Luksemburg i Karla Liebknechta, z którymi była w przyjaźni, Fanny Jezierska przybyła do Włoch i przez całe lata była cenną współpracowniczką kierownictwa partii, zarówno w okresie Bordigy jak i za Gramsciego, dzieląc wszystkie ryzyka naszej ówczesnej egzystencji z godną podziwu naturalnością).

Tytuł „Po Prostu" ujmuje w skrócie stan ducha i intencje grupy redakcyjnej, zwłaszcza w okresie marzeń tego jesiennego poranka jakim był polski Październik 1956 r. Była to próba odważna, niemal bohaterska, demistyfikacji, patetyczny wysiłek nawiązania na powrót utraconego kontaktu z rzeczywistością. Trzeba zdać sobie sprawę, że akcja „Po Prostu" ukształtowała się i wyraziła wewnątrz marksizmu, i że o jej oryginalności stanowiła właśnie wola wolnej od przesądów krytyki — opartej na autentycznej metodzie marksistowskiej — pseudomarksistowskiej sytuacji wytworzonej przez stalinizm.

Prawdę mówiąc, żaden porządek społeczny nie wytrzymuje szczerego zestawienia ze swymi własnymi źródłami. Spróbujcie sądzić dzisiejsze chrześcijańskie kościoły na podstawie Ewangelii i Pism Ojców a dojdziecie do tego samego wniosku. Ale mimo, że redaktorzy „Po Prostu" byli marksistami, ten argument „historycyzmu" ich nie onieśmielał i kto wie czy nie mieli racji. Nie jest wcale powiedziane, że Historia ma zawsze rację i że

sumienie musi zawsze ustąpić przed faktami dokonanymi; skądinąd, jasna i stanowcza świadomość może również stanowić fakt dokonany.

Wobec buntu umysłów, jedynym zwycięstwem, jakie może osiągnąć rządząca biurokracja jest uznanie krytyki za herezję i rewizjonizm i odrzucenie wszelkiej dyskusji. Niestety ekskomunika pociąga za sobą dla nonkonformistów poważne skutki praktyczne, z których najgorszym jest milczenie, ale nie stanowi, sama przez się, zwycięstwa nad ich argumentami. Jeśli „Po Prostu" zostało ostatecznie zawieszone w październiku 1957 to dlatego właśnie, że jego tezy były nie do odparcia. Na próżno jego redaktorzy żywili iluzję zbawienia pisma, na próżno starali się stosować wybiegi. „Lewica" — pisał młody filozof, Leszek Kołakowski — „nie odrzuca kompromisów z rzeczywistością, ale żąda by nazywano je kompromisami... Lewica wie, że jest nieraz bezsilna wobec zbrodni, ale nie chce nazywać zbrodni dobrym uczynkiem". Jasne, że były to żądania nie do przyjęcia, gdyż arbitralizm filologiczny jest okiem w głowie każdej władzy totalnej. Cóżby pozostało dyktaturze, gdyby nie mogła zmieniać bieżącego znaczenia słów?

Zawsze było łatwiej gwałcić słowa niż rzeczy. Tak jak ten mnich, który pościł mówiąc szczupak na kury i befsztyki, jak Mussolini, który rozwiązał kwestię naszych robotników rolnych nazywając ich staroświecko wieśniakami. Podobnie w reżymie sowieckim czy w demokracjach ludowych najemni pracownicy ekonomii państwowej pozostają pracownikami najemnymi, tak zwana nadwartość ich produkcji przechodzi w posiadanie „nowej klasy" i olbrzymiego aparatu państwowego, a oni sami na stan rzeczy, warunki, zarząd fabryk czy organizacji, w których pracują, nie mają większego wpływu niż we Włoszech robotnicy zależni od kolei państwowych czy monopoli państwowych. Ale otóż listek figowy: prawnie, razem ze wszystkimi innymi obywatelami są oni współwłaścicielami. Jest to prawo formalne, bez żadnych skutków pozytywnych i służy jedynie do usprawiedliwienia zakazu strajków.

Dokumentacja nominalistycznych sztuczek stalinistów zajęłaby bez trudu szereg tomów. Stąd prawdopodobny wniosek, że najskuteczniejszą bronią przeciw stalinizmowi byłoby zapewne uczciwe słownictwo. Zasługą „Po Prostu" było przeprowadzenie demistyfikacyjnej krytyki reżymu, tym niebezpieczniejszej, że jego redaktorzy stosowali do nagiej rzeczywistości, przykrytej łachmanami pseudomarksizmu, mierniki marksizmu. Skądinąd czymże jest marksizm jeśli wyzbywa się swej największej zalety, to jest krytyki fikcji prawnych? Czyż socjalizm nie narodził się z krytyki demokracji formalnej?

Orientacja studiów marksistowskich w ciągu ostatnich lat powinna sprzyjać odrodzeniu autokrytyki. Głównym motywem tych studiów jest obecnie alienacja, podobnie jak za poprzednich pokoleń był nim materializm historyczny czy teoria wartości. Ale w pojęciu alienacji probierzem, według którego sądzi się porządek społeczny, jest stopień integracji świadomości. Otóż z tego punktu widzenia nie ma różnicy w ludzkiej sytuacji po tej czy po tamtej stronie tak zwanej Żelaznej Kurtyny. I tu i tam anonimowość, biurokracja, depersonalizacja, rozszczepienie człowieka na podmiot i rzecz. Człowiek, który dąży do kontroli własnego postępowania jest w istocie manipulowany przez innych. Zwykłe przejście tytułów własności z biurokracji prywatnej do biurokracji państwowej nie wystarcza do usunięcia alienacji. Nie wystarczy również eksploracja kosmosu. Wydaje się, że byłoby zadaniem

socjalistów wszystkich odcieni, tych przynajmniej, którzy nie ulegają obsesji władzy i dążą do rewolucji na usługach człowieka, aby zastanowić się poważnie nad tezą Simone Weil o charakterze naturalnie opresywnym wielkiego przemysłu, bez względu na system własności. Dodam, że ta prawda została już przeczuta przez Fryderyka Engelsa i że istnieją jej ślady w jego polemice z anarchistami włoskimi. „Przynajmniej jeśli chodzi o godziny pracy" — pisał on — „można by napisać na bramach fabryk: „Porzućcie wszelką nadzieję, o wy którzy wchodzicie". Jeśli człowiek swoimi wiadomościami i odkrywczym geniuszem poskromił siły przyrody, to mszczą się one na nim, narzucając własny despotyzm, rosnący w miarę jak się je coraz bardziej wykorzystuje, despotyzm niezależny od jakiejkolwiek organizacji społecznej".

„Przynajmniej jeśli chodzi o godziny pracy" — pisał Engels; lecz mimo to marksiści przeciw równości politycznej demokracji burżuazyjnej, zawsze wytaczali argument, że robotnik nie może być równy swym przełożonym, jeśli podlega im w fabryce.

Doświadczenie „Po Prostu" trwało zbyt krótko, aby rezultaty myśli demistyfikacyjnej były równie ciekawe jak sama żywość umysłu. Dlatego właśnie jego waga nie ma dla nas charakteru retrospektywnego. Owszem, antologia Jeleńskiego powraca nas do owej rzeczywistości, pełnej niewiadomych, pełnej nadziei końca 1956 roku. Ale czytając (czy odczytując, gdyż niektóre z nich już znałem przynajmniej częściowo, gdy się ukazywały) owe eseje, owe reportaże, owe wiersze, o języku nieoczekiwanym, nerwowym, odważnym, nieraz impertynenckim, a przede wszystkim zawsze żywym — jedno wzruszenie przeważa nad innymi: świadomość, że natrafiamy tu być może na częściową odpowiedź na najtrudniejsze pytanie dotyczące przyszłości. Na pytanie: co potem? Ten problem istnieje już w nowych krajach, które wyzwalają się z niewoli kolonialnej, podobnie jak istnieje (dotychczas na płaszczyźnie teoretycznej) w krajach zajętych przez blok zwany komunistycznym. Trudno byłoby stawiać już dziś pytanie, jak będzie wyglądał ustrojowo „postkomunizm", ale warto się natomiast zastanowić w jakim kierunku winny iść wysiłki lewicowej inteligencji wobec kryzysu świata sowieckiego czy demokracji ludowych. Otóż jasne jest, że nie istnieją gotowe rozwiązanie (prócz reakcyjnych). Ale wydaje mi się, że „Po Prostu" jest strzałą we właściwym kierunku. Nie pozostaje nam nic innego jak nazywać chleb chlebem i wino winem — po prostu.

Ignazio SILONE

"Kurier Polski" w Bagdadzie

Kampania libijska i garnizony pustynne wynudziły porządnie żołnierzy Karpackiej Brygady. Kilkanaście tygodni połykania piasku pustynnego w Syrii, cztery miesiące ranienia kolan o ciernie i osty palestyńskie, nużąca walka z muchami i skorpionami, osłabiająca biegunka papataczi, potem zaciekły bój z moskitami pod Aleksandrią, wraz z ulewą bomb włoskich i bomb wielu rodzajów piwa egipskiego, australijskiego i szanghajskiego, tygodnie fortyfikowania wydm piaszczystych Agami, warty przy obozach jeńców włoskich, warty i fortyfikacje El Daby, Mersa Matruh, Sidi Hanish, Sidi Baggush, Alem Hamza, Bardii, przekopanie połowy Pustyni Zachodniej, potem trzy i pół miesiąca, jak obszył, walki pozycyjnej, codziennego corned beefu i słonej wody w Tobruku, krótki spazm gazalski, parę tygodni oddechu i łyk słodkiej wody w Cyrenaice, osłona odwrotu armii wśród straszliwego hamsinu i zimna w Mechili, i znów obrona skał Gazali, z szerzącą się plagą żółtaczki, podjazdami wyskakującymi na minach i codziennymi a nudnymi jak flaki z olejem nalotami niemieckimi, słowem trzy kwartały zaprawy bojowej, pół roku garnizonów i fortyfikacji pustynnych oraz trzy kwartały walk, hamsiny, naloty, muchy, pchły, moskity, szczury, skoczki egipskie, beef i pustynia — wszystko to zmuszało do klęcia w żywy kamień nawet świętych. Nawet najcnotliwsi maminsynkowie, harcerze, nawet uważający noszenie munduru polskiego za solenne nabożeństwo ochotnicy z Charbinu, od świtu do północy, a w czasie służby też przez całą noc wyrzucali z ust bez przerwy lawiny ozdobnych przekleństw, związanych przeważnie z przyrodzeniem obu płci i tegoż funkcjami. Sprawiało to niewątpliwą ulgę zwłaszcza duchową wyposzczonym i wygłodzonym weteranom.

Aliści nie ma kresu dla ziemskiej niedoli. Po libijskich roz-

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

koszach zapakowano kwiat karpackiej młodzieży do szkół podchorążych. Po kampanii wrześniowej, po ucieczkach z obozów, po marszu przez siedem zielonych granic, po roku walk na pustyni, po wniknięciu w najtajniejsze arkana nowoczesnej wojny, po roku otwierania konserw wystrzałem z włoskiego karabinka, kazano paru setkom wyjadaczy pustynnych ćwiczyć salutowanie w miejscu, zwroty w lewo i w prawo, witanie się z szefem, trójkąt błędów, strzelanie na 100 m. do tarczy i uprawianie tym podobnych rozrywek dla orląt i pacholąt z przysposobienia wojskowego.

Jeszcze najpoważniej podchorążówkę w El Amriya pod Aleksandrią, a potem w Beit Jirja pod Gazą, traktowali podtatusiali lekarze, którzy bez miłosierdzia opalali w słońcu dziwnie dotąd zachowane w stanie idealnej bladości kolana. Brzuszki i łysinki lekarskie pieszczotliwie gładził suchy wiatr od Morza Śródziemnego.

Piechota męczyła się w dwu kompaniach, z wzorowymi zresztą instruktorami. Ponadto uruchomiono baterie podchorążych artylerii polowej i przeciwlotniczej i — ma się rozumieć — pluton kawalerii. Tradycja rycerska nakazywała ułanom najsurowsze szkolenie. I rzeczywiście. Na obiad nigdy nie poszli biedacy, zanim nie odtańczyli i nie odśpiewali w kucki z dziesięciu żurawiejek. Piechota, przepojona duchem koleżeńskiej solidarności, postanowiła ulżyć doli ułańskiej. Zdarzyło się, że w czasie modlitwy porannej kompanii piechoty gorliwy instruktor zaaplikował ułanom za jakąś przewinę regulaminową, czy po prostu dla fantazji żurawiejkę:

Hej, dziewczęta w górę kiecki,
Jedzie ułan jazłowiecki.

Na tośmy tylko czekali. Obrażono nasze uczucia religijne. Meldunek ze skargą, a przy sposobności napiętnowanie obrzydliwych metod i raniących nasze uczucia pieśni w rodzaju:

Kto ma tyłek jak z mosiądza,
Niechaj jedzie do Grudziądza

itp.

Żurawiejki nieco przycichły i tylko przy porannej toalecie śpiewaliśmy półgłosem razem z ułanami nieoficjalne żurawiejki w rodzaju

Mało panów, dużo chamów
To Karpacki Pułk Ułanów,

ale przy musztrach brzmiało po staremu:

Świecą jak na niebie gwiazdy
Podchorążych pluton jazdy.

Najosobliwszą właściwością podchorążówek z Beit Jirji była wysoka w ich szeregach liczba wybitnych jednostek, znanych z życia umysłowego, dziennikarskiego i dyplomatycznego wśród młodego pokolenia. Salutowało zatem w marszu paru docentów, ze dwa tuziny nauczycieli szkół średnich, zwroty w miejscu wykonywała spora gromadka dyplomatów, dziennikarzy, literatów, muzyków, malarzy. A w plutonie sanitarnym białe kolana pokazywali prymariusze i sekundariusze szpitali.

Komendant centrum wyszkolenia, płk dypl. Zakrzewski i cała kadra dowódcza zasmakowali w tym inteligenckim żywiole i postanowili zeń zrobić wojskowy użytek. Na instruktorów dla drugiego turnusu dla kandydatów na podchorążych ewakuowanych z Rosji wyznaczono przeważnie zakutych inteligentów. Znalazł się wśród nich także piszący te słowa, chociaż budził wątpliwości w części kadry, czy zdał kiedykolwiek małą maturę. Wszystkie papierki osobiste kazano wojsku zniszczyć jeszcze w czasie kampanii wrześniowej, potem na Węgrzech roztropniej było ich nie mieć, a dwu świadków matury szukać po Palestynie jakoś się nie chciało. Zasiadłem tedy po raz drugi w życiu do matury przed komisją wyłonioną z grona oficerów drugiej grupy.

— Co to jest kulomb? — pytał przejęty swoją rolą egzaminator.

— Żartuje pan: chyba Kolumb?

— A co to jest praca?

— To bardzo szlachetne zajęcie.

— A jaka jest jednostka siły?

— Najniższa, to chyba drużyna.

Po takich mniej więcej odpowiedziach komisja oświadczyła, że właściwie żaden kandydat egzaminu nie zdał, ale ponieważ wszyscy wiele trudu włożyli w wyszkolenie, więc w przyszłości pomyśli się o kursach dokształcających.

Zapowiedź nowego, już trzeciego z kolei w życiu turnusu podchorążówki (pierwszy w Polsce w kompanii szkolnej O.N.), nie byłaby ostatecznie tak znowu straszna, gdyby nie tatarskie wieści o nowym miejscu postoju Armii Polskiej na Wschodzie, w Iraku, gdzie się miał nowy kurs zacząć. Wiersz Broniewskiego: „Lepiej mieć na ... czyrak, niźli zamieszkiwać Irak" — tylko w małym stopniu oddaje pogardę żołnierzy polskich dla ziemi pierwszych rodziców. Zła sława Iraku była, jak się potem okazało, mocno przesadzona, niemniej roczne wywczasy irackie trudno również zaliczyć do rozkoszy.

Któż więc mógłby się oprzeć nagłemu wezwaniu do Teheranu przez ministra prof. Kota, jeszcze zanim transporty centrum wyszkolenia ruszyły morzem i lądem nad Tygrys i Mały Zab? Z nieba spadło te wezwanie.

Minister Kot rozbił swój wielki namiot w poselstwie R.P. w Teheranie i wzywał do siebie upatrzonych ludzi z wojska. Najpierw, mądrze i po ojcowsku, przywitawszy gościa wesołym „kopę lat", wzywał swego skarbnika radcę Kościałkowskiego i zlecał mu wypłatę 150 tumanów na rękę każdego wezwanego.

— Niechże pan dobrze zje, wypije i w ogóle, a za tydzień lub dwa niech się pan zgłosi znowu do mnie — zwykł był mawiać przy tym.

Obejrzawszy tedy Teheran, zwiedziwszy gospodę Czerwonego Krzyża z kwaśnym mlekiem, pierożkami i bigosem, zdobioną ręcznie przez braci Haarów, oraz kilka restauracji i kawiarenek perskich o charakterze europejskim, jak np. ,,Lalezar'' i ,,Petit Coin de France'', posmakowawszy perskich win i kazwińskiej żubrówki, nasyciwszy oczy Gulistanem, arykami płynącymi bokiem ulic i ośnieżonym wierchem góry Darbent, pocieszywszy na prędce jakąś smutną ochotniczkę, mniej więcej po tygodniu, z ostatnim tumanem w kieszeni, wracało się w progi poselstwa.

W tym czasie — a był to lipiec roku 1942 — do progów ministerialnych pielgrzymowali: bracia Ksawery i Mieczysław Pruszyńscy (jeden z Brygady Karpackiej, drugi z placówki prasowej w Kujbyszewie), docent Kazimierz Grzybowski, Jan Erdman, Zdzisław Kleszczyński, nadto dłużej już Teheran zagrzewali prof. Swianiewicz, Teodor Parnicki, Anatol Krakowiecki, Roman Fajans, Roman Fengler, Jan Tabaczyński, młody działacz ludowy Wilk i spora ekipa dziennikarzy, pisarzy, polityków oraz dyplomatów, którzy się wydostali z Rosji.

Po Teheranie snuły się tłumy Polaków. Zespoły teatralne i muzyczne polskie koncertowały co wieczór w perskich lokalach. Wychodziły, ma się rozumieć, dwa pisma: ,,Polak w Iranie'' i ,,Zew'', tygodniki, które zawierały mniej więcej te same wiadomości i artykuły podpisywane przez tych samych mniej więcej autorów, chociaż jeden był ,,cywilny'', a drugi ,,wojskowy''. Roman Fajans, wymizerowany po łagrze sowieckim, dwoił się i troił. On to głównie wypełniał łamy ,,Zewu'' i ,,Polaka''. Józef Czapski rzucał podwaliny pod potężny później gmach propagandy, kultury i oświaty Armii Polskiej na Wschodzie i 2 Korpusu. Nie ostygnąwszy jeszcze po walce o zaginionych oficerów polskich w Rosji i o dzieci, organizował wystawy, związek plastyków, dmuchał w najdrobniejsze iskierki talentów, łopotał jak flaga na maszcie. Hermina Naglerowa zato milczkiem bobrowała po bazarach. Parnicki błądził po ulicach, mówiąc do siebie dialogami pisanych właśnie ,,Srebrnych orłów''.

Prof. Kot z lubością zamykał się z każdym wezwanym na pogawędki. Miałem zaszczyt słuchać w Uniwersytecie Jagiellońskim świetnych wykładów prof. Kota, byłem studentem jego seminarium historii kultury i zdawałem przed nim egzamin z historii Polski. Prof. Kot kończył gimnazjum rzeszowskie razem z moim ojcem i darzył mnie zawsze szczerą życzliwością, aczkolwiek nieraz na Plantach podnosił na mnie laskę z powodu moich poglądów narodowych. Sam jednak lubił szeroko opowiadać o swoich własnych tarapatach z policją, przy czym co i rusz wskazywał laską: — O, widzi pan, to tajniak!

W Teheranie minister Kot kazał mi przestudiować swoje raporty z Rosji do gen. Sikorskiego, które potem wyszły dru-

kiem w dwu tomach. Uderzyło mnie w nich mnóstwo niezmiernie rewelacyjnych szczegółów o antysemityzmie Stalina i przywódców sowieckich. Po czym minister przystąpił do rzeczy.

— Gdzie by pan chciał popracować dla rządu gen. Sikorskiego? Ma pan do wyboru teren od Kujbyszewa po Nowy Jork.

— Ja, panie profesorze, najchętniej przy wojsku.

— Dobrze. W Bagdadzie będzie wychodził dziennik dla wojska. Wejdzie pan do redakcji. Mógłbym pana powołać na redaktora naczelnego, pod jednym wszakże warunkiem. Jak pan wie, Bielecki jest teraz w opozycji do rządu. Natomiast Seyda... Musi się pan więc opowiedzieć po stronie Seydy.

Zawahałem się. Widząc mój opór prof. Kot skierował mnie do rąk Romana Fenglera, a ten z kolei prasował mnie przez kilka godzin, polewając wódką, gdy zbyt bolało.

Wódka wyzwala w niektórych osobnikach dziwny upór. Żegnając gościnnego Fenglera powiedziałem więc uroczyście:
— Nie!

Nie było już tedy więcej mowy o redaktorstwie naczelnym. Potem doliczyłem się coś pięciu kandydatów, którym minister Kot proponował to samo stanowisko. Ale, co najdziwniejsze, z Londynu już wtedy płynął Ludwik Rubel, dawno upatrzony na redaktora naczelnego dziennika w Bagdadzie. W bezpośrednich eliminacjach na miejscu zwyciężył rokujący piękne nadzieje Zdzisław Kleszczyński, przed wojną publicysta ,,I.K.C.", teraz wiernie deklarujący lojalność wobec gen. Sikorskiego i gorące sympatie dla Stronnictwa Ludowego. Był to w ogóle okres największego rozrostu Stronnictwa Ludowego w dziejach, przynajmniej wśród intelektualistów. Bohdan Łączkowski, Jerzy Kurcjusz, doc. Kazimierz Grzybowski, nawet doświadczony księgarz Scharf, ba, podobno sam Bernard Singer za znak swój w owym czasie uważali zieloną koniczynkę. Mówiono to także o pośle w Teheranie, Baderze. Anatol Krakowiecki pisał wierszyki ludowcowe, Czuchnowski jeszcze wtedy nie został ziemianinem, a także i Broniewski tęsknił do Polski w słowach:

A potem
Niech już będzie Sikorski z Kotem.

Zamierzeniem ministra Kota było utworzyć na Wschodzie podległe ministerstwu informacji i dokumentacji, lecz samodzielne centrum badawcze i wydawnicze (Polish Information Centre). Centralę P.I.C. założono w Jerozolimie, kierownikiem jego mianując Jana Tabaczyńskiego, a zastępcą doc. Kazimierza Grzybowskiego. Centrum wydawało podręczniki szkolne oraz klasyków literatury (kierownikiem wydawnictw szkolnych był autentyczny ludowiec dr Łukasz Kurdybacha), prowadziło placówkę archiwalną i badawczą, księgarnię, wydawało dzieła autorów przebywających na Środkowym Wschodzie (w tych ramach ukazały się ,,Srebrne orły" Parnickiego oraz liczne tomiki prozy i poezji żołnierzy (P.I.C. ponadto wydawał tygodnik literacki

,,W drodze'' (okres wspaniałego rozkwitu pisma przypadł na redakcję najpierw Wł. Broniewskiego, później Wiktora Weintrauba, a schyłkowy na redakcję Zdzisława Broncla) i opiekował się dwoma dziennikami: ,,Gazetą Polską'' w Jerozolimie i ,,Kurierem Polskim'' w Bagdadzie.

,,Gazeta Polska'' istniała już dawniej jako organ konsula Kańskiego. Teraz Kot usunął Kańskiego i rozpędził dotychczasową redakcję ,,Gazety''. Pismo to nigdy nie przyprawiało swym poziomem o zawrót głowy, ale pod względem dziennikarskim prezentowało się dobrze i rzetelnie (redaktor Tadeusz Borowicz). Kiedy minister Kot na krześle redaktora naczelnego usadowił najpierw czarującego poetę Mariana Czuchnowskiego, a potem gorliwego ,,ludowca'' Zdzisława Kleszczyńskiego, gdy zamiast artykułów wstępnych zaczęły się najpierw pojawiać wiersze o święcie ludowym, a potem zamiast wywodów politycznych dęte przysięgi wierności dla Nieśmiertelnej i Niezwyciężonej oraz artykuły w rodzaju ,,Skrzydlaci mściciele nasi'', ,,Bombardować!'', ,,Każdy posłem Rzeczypospolitej'' itp., gdy wreszcie rój grafomanów oblazł pismo, żal ściskał serce.

Z Teheranu wyjechał pod koniec lipca samochód ciężarowy z częścią zespołu mającego założyć i wydawać dziennik w Bagdadzie, pod komendą porucznika Brygady Karpackiej Kazimierza Grzybowskiego. Być może, że miotały nim jakieś namiętności polityczne, ale był to człowiek rozumny, świetny organizator, niezrównany towarzysz doli żołnierskiej i dziennikarskiej, o dużym poczuciu humoru i rozległej wiedzy politycznej, prawnej i humanistycznej, docent prawa U.J.K.

Jechaliśmy przez Kazwin, Hamadan, Kermanshah do Qizil Ribat, poprzez scenę dziejów, arenę marszów starożytnych władców Persji, wśród osobliwej przyrody i jeszcze egzotyczniejszej ludności, a więc przez skupiska czcicieli ognia i anioła-pawia, czyli szatana.

W Bagdadzie pracowała już pełną parą Polska YMCA, w pięknym gmachu obok północnego dworca w dzielnicy Waziriyah. W tejże to, eleganckiej (jak na Bagdad), willowej dzielnicy miało swą siedzibę także poselstwo R.P. z chargé d'affaires, a niebawem posłem Henrykiem Malhommem i Czerwony Krzyż. Z czasem doszła do tego kwatera bagdadzka gen. Andersa, siedziba placówki propagandy i prasy Armii Polskiej na Wschodzie, drukarnia polowa, dom ochotniczek itd., tak że Waziriyah stała się na przeciąg roku dzielnicą polską.

Duszą domu YMCI była pani Schmalowa, wdowa po zaginionym w Rosji sędzi ze Lwowa, ze swymi uroczymi córeczkami Lalą i Marysią. Pracowały one od świtu do nocy z życzliwym dla wszystkich uśmiechem. Zespół dziennikarski, powołany do pracy w Bagdadzie, pierwsze dni, a nawet tygodnie spędził w YMCE.

Z Teheranu do Bagdadu, prócz doc. Grzybowskiego i Mieczysława Pruszyńskiego, który zgłosił się do lotnictwa, przyjechało nas dwu: Anatol Krakowiecki i niżej podpisany. Z Pa-

lestyny przybyli i czekali już na nas: Zdzisław Kleszczyński, Stanisław Wajnberg, zdolny prawnik warszawski i bardzo utalentowany dziennikarz, chudziutki jak szczapa chłopaczek Pioś Borkowski, syn wojewody, wreszcie Franciszek Olszewski, b. kierownik wydawniczy katowickiej „Polonii", który miał się rozejrzeć w możliwościach drukarskich i zająć stroną techniczną pisma oraz urządzeniem zespołu. Był to człowiek o najmniejszej głowie, jakiego w życiu spotkałem. Odznaczał się ponadto bajkową oszczędnością; wolał się bić z kelnerami arabskimi niż im zostawić napiwek. Strzegł też nadzwyczajnie czystości obyczajów. Do wanny wchodził w podkoszulku i kalesonach. Gdy go raz na tym przyłapał Wajnberg, odparł bez zająknienia: — Widzi pan, to dla oszczędności: od razu się pierze bieliznę. — Ale zapewne nie znosił też widoku nieprzyzwoitych części ciała.

Bagdad okazał się dla kontynentalnych zamiarów dziennikarskich idealną pustynią. Niektóre drukarnie miały wprawdzie nawet starożytne linotypy z łacińskimi znakami, być może jeszcze z czasów Hammurabiego, lecz oczywiście mowy nie było o znakach polskich. Arabscy linotypiści bardzo słabo znali alfabet łaciński. Ręczne czcionki łacińskie to była w ogóle utopia. W kasztach, jak w sezamach, mieszały się całe zwaliska czcionek najdziwniejszych typów i alfabetów, tak że tylko jedną czcionkę można było od biedy uważać za polską £, która normalnie oznacza funt szterling. Używaliśmy jej gorliwie. Ostatecznie polski dziennik miała drukować i do końca drukowała spelunka pod nazwą Tafajud, w ciemnym zaułku śródmieścia Bagdadu zwanym Akulija.

Lecz zanim udało się sprowadzić polskie matryce do linotypu z Jerozolimy, zanim przetarło się wszystkie drogi urzędowe, nim się znalazło na kwaterę zespołu hotel nad Tygrysem „Maude", nim się ten zespół ostatecznie uformował, minęło kilka miesięcy. Zanim ukazał się pierwszy numer dziennika, redaktorów przyjął na posłuchaniu wracający z Rosji przez Bagdad do Anglii gen. Sikorski. Uroczy pan był bardzo na nas łaskaw. — Wiem, wiem — mówił do każdego z osobna — kto pan jest. Proszę tylko pamiętać: przede wszystkim jedność. Jest was tylko czterech i należycie podobno do pięciu stronnictw. Za wiele o jedno.

— Melduję posłusznie — wypaliłem jak Filip z konopi po tej uwadze — że chciałbym pozostać w wojsku.

Generał zmarsowiał.

— Ja jestem Wodzem Naczelnym i szefem rządu. Pismo będzie rządowe, a w wojsku polityki nie ma. Więc dostaniecie bezterminowe urlopy.

Żal mi ścisnął serce, głównie dlatego, że nie mogłem już odtąd liczyć na piwo z NAAFI. (Co prawda z czasem zorganizowałem sobie pełny przydział piwa wszystkich szeregowych Komendy Placu, Oddziału II oraz całego duszpasterstwa polowego, tak że mi pragnienie nie dokuczało).

Niezbyt długo zespół się zastanawiał nad nazwą dziennika.

Ponieważ większość redaktorów pochodziła z Krakowa, dość zgodnie orzekliśmy: ,,Kurier Polski'', ale Anatol Krakowiecki uparł się, że dla podkreślenia egzotyczności trzeba jeszcze dodać ,,w Bagdadzie''. No i pierwszy numer ,,Kuriera Polskiego w Bagdadzie'' wyszedł, po wielkich mękach, z datą 3 grudnia 1942, we czwartek. Numer kosztował 12 filsów.

Koledzy z propagandy wojskowej składając nam życzenia pytali grzecznie, kiedy wydamy numer następny. Drugi numer wyszedł nazajutrz, i tylko raz, w dniu 2 sierpnia 1943, dziennik się nie ukazał z powodu braku prądu w dzielnicy, gdzie stała drukarnia. ,,Kurier'' wychodził do dnia 29 sierpnia 1943 i wydał razem 219 numerów.

Kazimierz Grzybowski wyjechał do Jerozolimy po wydaniu kilku pierwszych numerów. Za parę tygodni podążył za nim Franciszek Olszewski, ścigany aż do mostu na Tygrysie przez boyów z hotelu ,,Maude'' za niezostawienie napiwków.

Którejś niedzieli pod koniec stycznia 1943 Anatol Krakowiecki ujrzawszy kolegów zebranych pod kościołem zawołał wesoło: — Lajkonik przyjechał! — Niebawem ujrzeliśmy to dziwo, które Krakowiecki dość trafnie porównał do lajkonika. Był to starszy pan w rogatywce z kolorowym otokiem, z jednym naramiennikiem czarnym, a drugim bodajże białym, ze zwojami kolorowych sznurów, z gwizdkiem i tęczą baretek jakichś przedpotopowych odznaczeń. Starszy pan ponadto nosił okulary. Był to Ludwik Rubel.

Objął on stanowisko redaktora naczelnego, a rozżalony Kleszczyński opuścił Bagdad.

Zespół redakcyjny ostatecznie uformował się następująco: redaktor naczelny — Rubel, członkowie redakcji — Stanisław Wajnberg (depesze), Anatol Krakowiecki i Jan Bielatowicz. Z korektorami była wieczna bieda. Robili to zwykle amatorzy płci obojej, tak dalece bez pojęcia, że w końcu zrezygnowaliśmy z tej funkcji, sami się zaprzęgając do korekt. Pioś Borkowski biegał do irackiej cenzury i perswadował, że nic w ,,Kurierze'' nie sprzeciwia się interesom państwa irackiego. Raz tylko w felietonie zakwestionowała cenzura zdanie o brudzie domów publicznych w Bagdadzie czy coś podobnego. Natomiast mocno we znaki dała się nam wojskowa cenzura angielska, o czym dalej. Administrację prowadziła nadzwyczaj sprawnie pani Aniela Maleszewska, mając od czasu do czasu do pomocy siłę biurową. Nakład ,,Kuriera'' wynosił 10 — 12 tysięcy egzemplarzy. Więcej nie przechodziło przez arabską maszynę.

Trzeba było, oczywiście, znaleźć też polskich drukarzy. Tylko maszynistą był Arab. Towarzysze sztuki drukarskiej byli to świetni fachowcy: warszawiak Tadeusz Gogolewski, linotypista, który w ogóle nie robił błędów w składaniu, poznańczyk Konrad Hendel, także linotypista i zarazem zecer, bardzo ambitny, lecz mniej zdolny, Jan Krupski, świetny metrampaż z Tarnowa. Towarzystwo drukarskie, a i dziennikarskie było straszliwie trunkowe, prócz Rubla.

Ludwik Rubel był miłym kolegą, wiecznie dowcipkującym. W kieszeni marynarki nosił zawsze rosyjskiego rubla i często go wyjmował ze słowami: „To moja wizytówka". Miał rozległą znajomość stosunków personalnych, anegdot, facecji, wspomnień galicyjskich. Ogromnie służbisty, sikorszczyk prawie do nabożeństwa, ale i czuły na wszystko co andersowskie. Za szczyt szczęścia poczytywał rozmowę z generałami. W ogóle uwielbiał mundur, odznaczenia i wojsko. Posiadał rutynę nie tyle dziennikarską, co publicystyczną, ale trudno by go nazwać dziennikarzem wybitnym. Lubował się w gładkim i gromkim frazesie, często streszczał własnymi słowami depesze umieszczając je i podpisując jako artykuły wstępne, a jego poglądy strategiczne czy operacyjne wprawiały nas zawsze w dobry humor. Posiadał niezmierną łatwość publicystyczną, lecz jako redaktor ograniczał się do wypracowywania swoich artykułów wstępnych. Miał przy tym ambarasujący zwyczaj dawania ich do czytania wszystkim kolegom przed drukiem.

Wajnberg władał doskonale językiem angielskim i wobec pięknych zalet towarzyskich był w ogóle naszym oknem wystawowym na świat angielski. Przekładał depesze Reutera, ale pisał też dobre artykuły wstępne i inne.

Łącznikiem z cenzurą iracką był Pioś Borkowski, mimo młodego wieku dziwak, co miał we krwi, obdarzony przy tym niesamowitym apetytem. Wchłaniał obiad jak odkurzacz, nie zapominając nigdy upomnieć się o dobawkę oraz o „Worcestershire sauce", którego pół butelki każdorazowo wylewał na talerz.

Anatol Krakowiecki ma w dziejach polskiego dziennikarstwa bogatą kartę. Był to zmarnowany przez narkotyk dziennikarstwa talent literacki. Pisywał felietony, reportaże, wiersze, niektóre rzeczywiście piękne. Wiersze te wydał potem „Veritas" w Londynie pt. „Na latającym dywanie" z przedmową podpisanego. Pił mnóstwo, co strasznie mu szkodziło. To co wyprawiał czasami, trudno nawet określić jako libacje. Były to prawie zamachy samobójcze. Po każdym takim, z reguły całonocnym, seansie ratował go przekomiczny i przedobry Żyd z Polski, dr Makowski pasza, królewski lekarz nadworny, mąż ślicznej pani, Iny Bialer z Łodzi.

Popijawy urządzał Krakowiecki najczęściej w towarzystwie Broniewskiego i Mariana Czuchnowskiego. Mniej więcej w czasie gdy się rodził i pierwsze kroki stawiał „Kurier Polski", obaj poeci opuszczali wojsko dążąc na placówki prasowe w Palestynie. W hotelu „Maude" spędzili parę tygodni. Czuchnowski miał ładny zwyczaj przynosić do obiadu po kilka butelek kanadyjskiego piwa, ukrywanych starannie przed oczyma spragnionych oficerów brytyjskich pod bluzą battle-dressu, tak że wyglądał jak bogini-karmicielka Cybele.

Broniewski nie lubił piwa, ale mawiał, że skoro nie ma pod ręką wódki, to dobre i piwo, byle tylko nie iść spać trzeźwym jak bydlę. Napiwszy się godziwie, zasypiał późno w nocy.

Przez sen mówił wyraźnie i recytował wiersze, opędzając się przy tym jakimś szpetnym wizjom.

— A cóż za wstrętny krajobraz! Prawdziwie O-hyde Park! Zapakować i odnieść do domu!

To znów poeta majaczył:

Jakiś pan Zielonka
U lędźwi się błąka.
Odejdź, bo kopnę
I będzie okropne.

Rozmawiał też Broniewski przez sen ze znajomymi:

Więc mówię mu po kwadransie:
Do widzenia, mój Fajansie!

Zastanawiała go również nazwa naszego hotelu. Głowił się więc we śnie: — Cóż to znaczy Maude? To coś jak moja żona.

Po roku otrzymałem od poety wydany w Palestynie tomik wierszy z dedykacją: ,,Jedynemu świadkowi mojego życia pozagrobowego''.

,,Kurier'' miał stale 4 strony, czasem 6, a w święta wydawał numer podwójny. Od 19 marca 1943 znacznie powiększył format. W dniu śmierci generała Sikorskiego wyszedł nadzwyczajny dodatek. Pierwszą stronę zajmowały depesze (głównie Reutera), komunikaty rządu R.P. i artykuł wstępny. Mniej ważne depesze, ogłoszenia, poszukiwania rodzin, ,,poczta polowa'' itp. szły na stronie 4. Wewnętrzne wypełnialiśmy artykułami politycznymi, o tematyce wojennej, rozprawkami historycznymi i naukowymi, szkicami kulturalnymi, reportażami, felietonami, wierszami, kroniką, reprodukcjami artystów z Armii Polskiej. Każdy numer zdobiły liczne zdjęcia, reprodukcje plastyków i karykatury.

Z czasem wokół ,,Kuriera'' skupili się plastycy, podbijający wtedy właśnie Bagdad. Prym wodził swymi artykułami i inspiracjami Józef Jarema, który niekiedy budził redaktorów późno po północy, aby im na gorąco przedstawić swe pomysły. Pisywał też czasem Czapski.

Wbrew maksymie ,,Inter arma silent Musae'' nad namiotami wojskowymi rozbiła się bania z poezją. Redakcja otrzymywała setki wierszy, których wybór ukazał się potem w antologii wydanej przez ,,Bibliotekę Orła Białego'' pt. ,,Azja i Afryka''. Jest to rzadki dokument niemal masowej wypowiedzi poetyckiej całego społeczeństwa, obejmujący wiele wierszy nieprzeciętnych.

Duży nacisk kładła redakcja na wiadomości o kraju, jego dziejach i ludności, wśród której przyszło rozbić namioty szkolącej się wygnańczej armii. Przeszłości Mezopotamii, ludowi arabskiemu, jego obyczajom, historii i polityce poświęcał ,,Kurier'' sporo miejsca. Niezrównanym znawcą tej tematyki był młody arabista, który piętnaście lat potem, już jako profesor

uniwersytetu londyńskiego, zginął z pragnienia, zabłądziwszy w pustyni w czasie badań nad dialektami libijskimi, Witold Rajkowski.

Był on pomniejszym urzędnikiem w poselstwie R.P., mało lubianym z powodu swej mrukliwości i dziwactw charakteru. Sekretarz poselstwa, radca Henryk Słowikowski, umieścił nawet na drzwiach swego pokoju napis: „Panu Rajkowskiemu wstęp wzbroniony". Był to jednakże jedyny człowiek w poselstwie znający język, ba, różne dialekty arabskie. Drugim autorem od tematyki arabskiej, lecz trochę kontynuatorem baśni z tysiąca i jednej nocy, był Aleksander Grobicki.

Świat muzyczny przy „Kurierze" reprezentował pianista Zbigniew Grzybowski, zdolny i skromny kompozytor Alfred Schütz, poważny muzykolog Wiarosław Sandelewski oraz dwie urocze pieśniarki: Wera Ignatowicz i Janina Jasińska. Śpiewały one często przy akompaniamencie Alfreda Schütza, w lounge'u hotelu „Maude", a Krakowiecki napisał i wydał z nutami dwie śliczne dla nich piosenki: „Dorotkę" (muzyka Schütza) i „Mój daleki dom" (muzyka J. Petersburskiego).

Z teatrem natomiast, zarówno dramatycznym jak rewiowym, mieliśmy trochę na pieńku z powodu wygórowanych ambicji zespołów, których występy nie zawsze przyjmowaliśmy z entuzjazmem. Herminia Naglerowa aż do Włoch nie odzywała się do niżej podpisanego za surową ocenę jej dramatu „Tu jest Polska", a Zofia Terne za jakąś tam uszczypliwość nie robi tego aż po dziś dzień. Zresztą najbardziej urażony ujemnymi opiniami był generał Anders, który nas w końcu wezwał do siebie i złajał surowo za te wyskoki. Teatr dramatyczny, pod kierownictwem Jadwigi Domańskiej i pod reżyserią Wacława Radulskiego, szeroko skrzydła do lotu rozwinął dopiero we Włoszech, a także najpiękniejszy okres rewii Ref-Rena datuje się na czasy włoskie.

Współpracownicy „Kuriera Polskiego" pochodzili, oczywiście, przeważnie z A.P.W., ale drukowaliśmy czasem rzeczy przysłane z Palestyny, a nawet z Londynu.

Poseł R.P. w Bagdadzie Henryk Malhomme był przemiły towarzysko i gościnny. Najlepsze jednak stosunki łączyły redakcję „Kuriera" z sekretarzem poselstwa Henrykiem Słowikowskim. Co najmniej raz w tygodniu zapraszał on nieco cygański zespół redakcyjny do siebie, gdzie siedząc na dywanie i słuchając Ravela z płyt, można było wypijać nieograniczone ilości piwa kanadyjskiego z lodówki.

W kwietniu zaczęła się cenzura wojskowa angielska. Po raz pierwszy skreśliła ona ustęp w artykule pt. „Obecna sytuacja na froncie wschodnim", zamieszczony w nrze z 9 kwietnia 1943. Po raz drugi artykuł z białymi plamami ukazał się w nrze z 28 kwietnia. Omawiał on zerwanie przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z rządem R.P. Wreszcie 30 kwietnia skreślony został cały artykuł wstępny Ludwika Rubla. Później konfiskaty angielskie stały się już chlebem powszednim „Ku-

riera''. Raz nawet konfiskacie uległ wiersz Bazarewskiego pt. ,,Droga na północ''.

,,Kurier'' kolportował po obozach dom handlowy Selima Habiba, który przy okazji ofiarowywał wojsku różne inne usługi handlowe. Habib był chrześcijaninem obrządku chaldejskiego, miał urodziwą żonę i zapraszał czasem polskich dziennikarzy na cocktail party, gdzie się zbierała śmietanka burżuazji bagdadzkiej, bardzo wytworna i bardzo hałaśliwa. Kobiety odznaczały się niezwykłą urodą, niemal wszystkie jednak miały na policzku blizny po lokalnej ospie zwanej ,,różą Bagdadu''.

Pewnego dnia stawił się w hotelu ,,Maude'' ze świtą tłusty szeik Miszaan Ajfasal z Mosulu i oświadczył, że chce kupić ,,Kurier Polski''. Pani Maleszewska wręczyła mu ostatni numer. Na to żywo gestykulując szeik odparł, że mu chodzi o co innego. Chce kupić cały warsztat wraz z redakcją i przewieźć do Mosulu, bo jego przyjaciele polscy nie mogą się doczekać na codziennie spóźniający się samochód Habiba i skarżą się na niepunktualność dostaw. Długo trzeba było tłumaczyć szeikowi, że transakcji kupienia ,,Kuriera'' musiałby dokonać z rządem polskim. Skończyło się na darze £ 25 na dzieci polskie z Rosji. A swoją drogą, zmarnowana okazja.

W początkach czerwca opuścił redakcję Anatol Krakowiecki, udając się dla poratowania zdrowia do Persji. 14 lipca pojawił się ostatni artykuł Rubla. Od 10 lipca do wydania ostatniego numeru w dniu 29 sierpnia 1943 redakcja składała się z dwu tylko osób: St. Wajnberga i niżej podpisanego, toteż obaj tylko dzięki solidnym dawkom whisky mogli opędzić się robocie. Prócz redagowania, trzeba było także sporo dzień w dzień pisać.

W ostatnim, 219, numerze ,,Kuriera Polskiego w Bagdadzie'' znalazły się podziękowania dla redakcji od dowódcy A.P.W. i posła R.P. Gen. Anders pisał: ,,Kurier Polski w ciągu dziewięciu miesięcy swego istnienia rzetelnie wypełnił swe zadanie: informowania żołnierzy A.P.W. o wydarzeniach zachodzących w świecie''. W rzeczywistości jednak sztaby kosym okiem patrzyły na ,,polityczny'' i ,,cywilny'' dziennik, niezależny od nich. ,,Kurier Polski'', wbrew pierwotnym zamierzeniom, nie poszedł dlatego za wojskiem, bo gdy Armia Polska na Wschodzie ruszyła do Palestyny, zaczął się na jej użytek ukazywać ,,Dziennik Żołnierza APW'' pod redakcją Ludwika Rubla, który znów oblekł się w umiłowany mundur wachmistrza.

W czasie trzech kwartałów koegzystencji prasy rządowej i wojskowej w Iraku, mimo pilnego patrzenia sobie wzajem na palce, nigdy nie doszło do większych spięć ni zaognień. Jedyne poważne wymówki ze strony dowódcy APW spotkały redakcję ,,Kuriera Polskiego'' za niedostateczną, jego zdaniem, ocenę poziomu teatrów polowych oraz za zbytnie faworyzowanie drużyny piłkarskiej Dywizji Karpackiej. Bo, szczerze po latach wyznając, ,,Kurier Polski w Bagdadzie'' był nie tyle organem rządu gen. Sikorskiego, co Dywizji Karpackiej gen. Kopańskiego. Gen. Anders słusznie to ocenił, lecz wybrał sobie pozór

do wymówek najmniej usprawiedliwiony: świetnych piłkarzy karpackich, których drużyna jeszcze w Polsce jako drohobycki „Junak" weszła do Ligi państwowej, a potem pod skrzydłami opiekuńczymi mjra Mieczysława Młotka, zasilona graczami krakowskimi, lwowskimi i warszawskimi, biła Węgrów, Żydów, Arabów, Włochów, a nawet i amatorów Anglii. Nic dziwnego, że biła też łatwo Dywizję Kresową.

Placówka propagandy i prasy APW (zmieniająca co i rusz swoją nazwę) miała swój własny problem karpacki. Po połączeniu się Dywizji Karpackiej z resztą Armii w Iraku, prasa, mimo że jej szefem był w głębi duszy również karpatczyk, tj. mjr Józef Czapski, znalazła się w ręku dawnych żołnierzy Karpackiej Brygady: Józefa Poniatowskiego, Ryszarda Piestrzyńskiego, Juliusza Mieroszewskiego i innych. Ekipie tej usiłowali się przeciwstawiać inni członkowie redakcji „Orła Białego", głównego organu APW.

Dziś, z perspektywy niemal dwudziestolecia, jasne jest, że nie wyrażali oni poglądów ani armii ani jej dowódcy, lecz zakonspirowanej kamaryli pod nazwą „Salus Reipublicae", rtm. Klimkowskiego, który się mienił rzecznikiem dowódcy. Zaciągnął się do niej nawet, przejściowo zresztą, najgorętszy karpatczyk Adolf Bocheński. Była to konspiracja głównie ułańska, lecz penetrowała też wojskową propagandę. W czasie przyjazdu gen. Sikorskiego do APW, „salusowcy" rzucali mu pod nos ulotki skierowane przeciw jego osobie. Prawdę mówiąc, cały ten „Salus" to epizod raczej zabawny, aczkowiek nieco i rzewny, a to głównie z powodu osoby przywódcy, aresztowanego ostatecznie i postawionego przed sądem polowym.

Jan BIELATOWICZ

Jak uciekałem...

Rozkaz wyraźny:

— Zostać w Paryżu jak można najdłużej. Łączności nie rwać. Przeciwnie — przygotować do dalszej współpracy. Po przyjeździe do Angers („...oczywiście, jeśli pan porucznik będzie m u s i a ł w ogóle stąd wyjeżdżać!"), zameldować się w... ze szczegółowym raportem „jak było".

Już na odchodnym, razem z ostatnim uściskiem dłoni w korytarzu zabarykadowanym lawiną walizek, życzliwa rada:

— Zgłoście swój rozkaz wyjazdu u Francuzów zawczasu. Może wam zarezerwują transport.

Może.

W porannych gazetach niby wszystko w porządku, na ulicach — stada samochodów z betami na dachach. Śmigają na zachód. I coraz więcej sklepów zamkniętych. Na spotkaniu z G. — złośliwe relacje o ,,nastrojach'' w Reginie i w naszym attachacie wojskowym, już z grubsza opróżnionym. Pojechałem na Gare Montparnasse. Znajomek-aspirant — gorąco jak cholera (10 czerwca), a on w stalowym hełmie — wyjaśnia życzliwie i pogodnie, że nasz dworcowy komisariat wojskowy nie ma rozkazów ewakuacyjnych.

Potem byłem na Austerlitz. Dworzec ściśnięty kordonem Senegalczyków. Cywile, bez powodzenia usiłują przedrzeć się przez nich do prowokacyjnie pogwizdujących pociągów.

W ,,De la Paix'' — Józef Radzimiński. Wcale nigdzie nie wyjeżdżał. Całą niedzielę przeleżał na nadsekwańskiej krypie. Będziemy dalej trzymali się razem.

Następnego dnia zaczynam od Montparnasse'u. Przyjemny Francuzik w *Intendence Militaire* paryskiego okręgu, gdzie — według rady — zameldowałem się, uprzejmie uprzedził abym na ich transport nie liczył. Dworzec zamknięty, gęste posterunki *flick*'ów, na ulicy — koczujące tłumy (przypomina mi się warszawski Dworzec Główny w nocy z 1 na 2 września, 1939 r.), patrzą wilkiem gdy policja mnie przepuszcza.

Jedyny ślad po naszym komisariacie: sterta podartych papierów. Na brudnym stole, obok stalowego hełmu (pewno aspirant zapomniał), skrawek z którego machinalnie czytam: ,,...awsze Ci mówiłem, że nigdy ni...''. To bodajże Talleyrand doradzał aby unikać ,,zawsze'' i ,,nigdy'', co prawda w dyplomacji, a tu...

Miasto otwarte

Przed naszą Komendą Placu w Ambasadzie długa kolumna *camion*'ów. Kierowcy rozćwierkani beztrosko. Znaczy — benzyna jest. W korytarzu garść pół-cywilnych, pół-wojskowych interesantów bez większej emocji obserwuje żandarma, który pedantycznie odrywa orzełka od furażerki. Widać, coś go tam wszakże gnębi, bo tłumaczy przyglądającym się kolegom i paru oficerom, którzy właśnie zjechali z Modany, że t a k będzie pewniej, bo ,,katany będą Polusów wydawać boszom!''.

Nazajutrz, w środę 12 czerwca 1940 r., Paryż zostaje ogłoszony miastem otwartym. Józek, logicznie wywodzi, że pierwsze

patrole niemieckie trafią właśnie do naszej dzielnicy. Wobec tego — przenosimy się do centrum, do opustoszałego hotelu Danube. Miła panna wyjaśnia, że daje nam pokój, który był gabinetem gen. Sikorskiego. Może był... Z tym wszystkim jest bardzo podenerwowana, bo wielu oficerów polskich zostawiło w hotelu swe rzeczy, mundury, jak Niemcy wejdą mogą być przykrości... Pocieszamy, jak umiemy.

W metrze ładna Amerykanka, podobno kierowczyni ambulansu sanitarnego, opowiada Józkowi, że powiedzieli jej w konsulacie USA, skąd wraca, jakoby w odpowiedzi na wystąpienie Italii, do wojny... weszły Stany Zjednoczone, Turcja, Jugosławia i Rumunia. Spotykamy Jerzego Giżyckiego. Jest sceptycznie nastrojony co do możliwości opuszczenia przez nas Paryża. Nie ma rodaków w ,,Régence''. ,,Pod Strzechą'' — zamknięta. W ogóle coraz więcej zamkniętych sklepów, restauracyj, kawiarni. ,,De la Paix'' otwarta, ale pustawa. Młody książę X. z dwoma eleganckimi, równie młodymi panami. Cała trójka pogodna, prawie roześmiana, co na paryskim tle jest w tej chwili raczej egzotyczne.

Kiedyśmy wracali do hotelu, z dachu pobliskiego, niewykończonego jeszcze budynku fakultetu medycznego zdejmowali działka przeciwlotnicze. Paryż — miasto otwarte!

Jeszcze kilkanaście godzin

W czwartek ciekawa rozmowa z L., który nigdzie nie wyjeżdża, twierdząc głośno i ostentacyjnie, że przy Niemcach t e ż można żyć.

Niestety, jego wiadomości na ,,polskie'' tematy wydają się równie ścisłe, jak b a r d z o przykre. Tuż po nim spotykam mego francuskiego przyjaciela z ,,ichniego'' 5-go Biura. Kiedy Niemcy?

Oni obliczają, że jeszcze pozostało kilkanaście godzin, ale — obliczenia Niemców mogą być inne. Józek, 100% mężczyzna dopiero w niezwykłych sytuacjach, konstatuje że przede wszystkim należy nam się odpowiednio *copieux* śniadanie, bo nie wiadomo co będzie dalej z jedzeniem (coraz trudniej), a poza tym — nie wiadomo również czy nie będzie to nasze o s t a t n i e śniadanie paryskie.

Było. Zjedliśmy je we trójkę (Józek, Giżycki i ja) w znakomitej knajpie, której ,,patron'', chociaż żona popłakiwała, paniki nie wykazywał. Tłumaczył jej i nam, że jeśli Paryż jest miastem otwartym, to — wszystko w porządku. Giżycki ustalił, że o pociągach nie ma mowy. Koło 5-ej ppoł. pojechaliśmy metrem na Pte de Versailles. Miasto wylewało z siebie niekończący się strumień uciekinierów. Oczywiście nie było mowy

aby ktokolwiek chciał nas zabrać. Wszystkie wozy były przeładowane. Ludźmi i dobytkiem. I jakim dobytkiem...

Szliśmy pieszo. Prawie o zmierzchu, żandarmeria ściągała posterunki ze starych, podparyskich fortów. Oficer powiedział mi, że wycofują się w okolicę Orléans. Zabrali nas. Starannie umundurowani i grzeczni żandarmi ustąpili mi miejsca na skraju ciężarówki. Było oczywiście najgorsze, bo na tylnych kołach, ale mogłem przynajmniej, ponad ruchliwą strugą zapchanej szosy, patrzeć na o d c h o d z ą c y , w fiołkowej mgiełce, Paryż.

Byliśmy w Orléans świtem 14 czerwca. Miasto było zatarasowane tysiącami wozów. Ludzie pchali się do piekarń i do wody. Przy studni, na placu niepodal dworca, panie i panowie bez większej żenady usiłowali się myć. Z goleniem było trudniej.

Bocznymi drogami

Oficer w komendanturze francuskiej wyjaśnił lakonicznie, że nie ma żadnych wiadomości z Paryża, żadnych środków transportowych, nie ma chleba ani wina. Do tego na dworcu — martwo. Aby jakoś przybliżyć się do Angers, gdzie przecież czekali moi przełożeni wyszperałem konwój francuskiego lotnictwa morskiego. Wieźli amunicję do Rochefort. Na 15 ciężarówkach nieprzyjemne skrzynie. Na nich — sterty materaców, na materacach — ,,czerwone pompony'' i lotnicy w skoncentrowanym wysiłku, aby orżnąć nas w karty. W przerwach, bez względu na rezultaty, sprawiedliwie dzielili się z nami winem i czekoladą.

Jechaliśmy względnie szybko, bo bocznymi drogami, ,,kamuflując się'' w ten sposób przed ewentualnymi napastnikami Goeringa. Mimo to, w Thouars byliśmy dopiero w sobotę dn. 15 czerwca o 11-ej rano. Tu, po raz pierwszy trafiliśmy na rodaków. Bodajże oficerski ośrodek saperski. Niedaleko było Bressuire i Perthenay. W Thouars — dużo pań polskich, już wcale dobrze zadomowionych.

Tubylcy po kafejkach oburzali się na rodaków, że... wykupują ubrania cywilne i są stale pijani. Potem nie raz słyszałem od Francuzów, że Polacy narażają ich swymi mundurami i nieustającą gotowością do walki. Taki to był dziwaczny ten czerwiec 1940 r. W Thouars było i tak i tak. Wielu oficerów sposobiło się do Legii Oficerskiej, która miała stawić opór Niemcom na Loarze. Miał ją prowadzić gen. Jatelnicki. Takie przynajmniej były wieści z Angers. Wielu innych medytowało głośno jakby tu najłatwiej i najszybciej wyskoczyć do Bordeaux.

Obiektywnie — w domu rodaczki, która życzliwie udzieliła nam gościny, tych pierwszych oficerów nie spotkaliśmy. Tam dowiedzieliśmy się na pewno, że w Paryżu już są Niemcy.

Do Angers

Niby niefrasobliwi turyści, pociągiem, zjechaliśmy w niedzielę 16 czerwca do Angers. Wprost ze stacji poszedłem do hotelu, gdzie się miałem meldować po przyjeździe do nowego m.p. moich przełożonych. Raportu oczywiście jeszcze nie napisałem, bo i kiedy? Ale miałem doń stertę notatek. Nie było ani mego zwierzchnika, ani nikogo z oficerów. Wyjechali. Była natomiast jeszcze nasza Komenda Placu. Starannie ogolony, napawający zaufaniem por. Gosiewski radził szukać przełożonych w Saintes.

Płk. Leski zgodził się zabrać nas swoim wozem, jeśli otrzyma rozkaz wyjazdu z Angers. Był to bodajże pierwszy wypadek bezinteresownej, życzliwej uczynności ze strony rodaka — wyższego oficera. Przez Angers tej niedzieli przewalał się wartki strumień wozów z całej Francji. Polskie, wojskowe, podjeżdżały pod Komendę Placu. Chyba głównie w sprawach ,,benzynowych''. Jakubowskich, w tych marsowych maszynach nie widziałem, ale pułkowników z ,,kociakami'' — zatrzęsienie.

W poniedziałek jedliśmy rano śniadanie z oficerami francuskimi, znajomymi Józka. Oceniali zmianę rządu i mianowanie marsz. Pétain'a premierem, jako próbę porozumienia z Niemcami. Powiedziałem to płk. Leskiemu. Nie zgadzał się, uważając to za drogę do większego zdyscyplinowania i uspokojenia społeczeństwa francuskiego.

Tymczasem przyszła wiadomość, że Francuzi wysłali parlamentariuszy do Niemców. Jednocześnie — dwa naloty na Angers, bohatersko bronione przez... ckm'y. Po pierwszym nalocie, gdy już było wiadomo, że minął, na ganek Komendy Placu wyszedł jeden z majorów, podobnie jak my — kandydat na dalszą ,,ewakuację''. Na swe nieszczęście zapytał jednego z szoferów:

— No co, widzieliście niemieckich lotników?

A ten z miejsca:

— Ja to ich widział, ale pan major spod słomianki to tam dużo nie zobaczył!

Kierowcy, bezwzględni panowie sytuacji, byli wyraźnie ofensywnie nastrojeni wobec oficerów. Jeden z nich tłumaczył kolegom dostatecznie głośno aby słychać było w koło:

— Te nasze oficery, to zawsze nam mówią ,,wy''. A jak tylko jest smród, to od razu ,,kolego''. Jaki ja tam jego k o l e g a . . .

W Angers, jak w Thouars, obijały się jakieś pogłoski o... polskiej obronie Loary. Chociażby wbrew Francuzom. Rozmawiałem o tym w Komendzie Placu z jakimś oficerem. Płk. Leski leżał pod ścianą, na polowym łóżku, odwrócony tyłem, nakryty płaszczem. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że plecami jego wstrząsa dreszcz. Pomyślałem o płaczącym dziecku.

Opłata za transport

Do Saintes przyjechaliśmy nazajutrz, we wtorek 18 czerwca, koło południa. Było szaro i parno. Uliczki zakorkowane *camion*'ami wojskowymi, głównie z naszymi PL i wozami osobowymi. W niektórych, obok szykownych, damskich waliz bodajże od ,,Hermesa'', sterczały krótkie, kawaleryjskie karabinki. Było w tym coś z symbolu. Załogi szukały pożywienia. To nie było łatwe.

W bistro, gdzie jednak coś znaleźliśmy, spotkaliśmy Mieczysława Pruszyńskiego. Potem — na moście — por. Leszka Kirkiena. W wąskim zaułku, w cieniu strzelistych murów jakże pięknego kościoła... sterty ,,służbowych'' skrzyń i co najmniej pół Reginy, w najbardziej reprezentacyjnej obsadzie damsko-męskiej. Nareszcie, niemal za rękaw, zapominając — o zgrozo! — o wszystkich meldowaniach, złapałem szefa oddziału. Wyjaśnił dobrotliwie, że m ó j przełożony już urzęduje w Libourne.

Nastrój w Saintes był ciężki. Nie dziwota. Chyba wszakże nie paniczny. Pokaźna koncentracja rodaków działała krzepiąco. Giżycki gdzieś nam przepadł. Spaliśmy z Józkiem na schodach jakiegoś stryszku, już gruntownie obsadzonego przez rodaków i rodaczki. Wojna nie odbierała im entuzjazmu.

Nazajutrz rozstałem się z Józkiem.

Do Libourne zgodził się dać mi ,,lifta'' ex-kierowca naszego poselstwa w Lizbonie. Znałem go sprzed wojny.

Zabrał mnie na swą pakowną pół-ciężarówkę ,,gratis'', co było w one czasy gestem prawdziwego *caballero*. Przejazdy ku portom atlantyckim lub granicy hiszpańskiej wymagały kosztownych opłat. Zwykle w dolarach, złocie albo biżuterii.

Znajomi z Coëtquidan

W wozie było parę pań, 3 oficerów, cywil o wystraszonych oczach i bujnej czuprynie i ja. Oficerowie, szarmancko bawili współtowarzyszy. Jeden z kapitanów opowiadał, że: ,,my to już mamy t a k i e szczęście do wodzów. Jednemu mówiliśmy. ,,Wodzu prowadź!'' to nas zaprowadził do rumuńskiej granicy, a ten drugi znowu do Atlantyku!''. Żeby było weselej, co i raz straszyli nas okrzykiem ,,lotnik!''.

Tak dobrnęliśmy do Libourne dn. 19 czerwca nad wieczorem.

Przełożonego i kolegów nie zastałem. Znajomy pułkownik, przyjaciel mego ,,wodza'', zapewnił mnie solennie, że on już ,,płynie do Angliczanów''.

Spotkałem za to znajomego podchorążego z Coëtquidan. Wraz z dwoma kolegami ,,gwizdnęli'' wojskowy *camion*, większą ilość benzyny, broń z amunicją i postanowili jechać do Hisz-

panii. Ale od strony Perpignan, ,,bo tam podobno łatwiej przedostać się przez granicę''. Po drodze zarabiali przewożąc oficerów, którzy ,,zgubili się'' i chcieli być jak najdalej od Niemców. Przysłuchiwałem się rozmowie przedsiębiorczych podchorążych z 2 oficerami, którzy już wysupłali po 15 $ za ,,dostawę'' do granicy hiszpańskiej. Większość tych ludzi nie potrafiła wówczas wyjaśnić dokąd właściwie chcą jechać i po co. Widziałem, że tylko bardzo nieliczni chcieli rzeczywiście jechać do Anglii. Ludzie byli zmęczeni i przybici świadomością, że ta potężna Francja, tak kpinkująca z naszej klęski — po prostu l e ż y . . .

Kłopoty z radiostacją

Podchorążym zawdzięczam, że mogłem przespać się w ich ciężarówce zaparkowanej nad brzegiem Isle, niby w najwygodniejszym hotelu. Nazajutrz (20 czerwca), w sztabie głównym, który w Libourne jeszcze urzędował, przyjaźnie ujawniono mi, że przełożonych powinienem szukać w pobliskim Langon. ,,Sztabowa'' wiadomość coś znaczyła. ,,Przy okazji'' polecono mi abym poszedł do francuskiej Komendy Placu i wydostał od Francuzów... *camion,* potrzebny celem załadowania nań i przewiezienia do portu w Le Verdon radiostacji Naczelnego Wodza.

Dostałem odpowiednie ,,pisemko'' z autografem płk. Klimeckiego i powędrowałem do Francuzów.

— *Vous etes fou, mon lieutenant,* — stwierdził lakonicznie ppułkownik francuski. Poczęstował mnie ,,trupem'' i doradził życzliwie abym spróbował k u p i ć *camion* na mieście, co skrupulatnie powtórzyłem płk. Klimeckiemu.

O dziwo, sztab uznał, że jest to dobry pomysł i polecono mi go wykonać. W czwartek dn. 20 czerwca 1940 r. w Libourne do cna rozbebeszonym przez nieustającą powódź uchodźców francuskich, belgijskich, holenderskich, polskich, łatwiej można było znaleźć dziewicę niż jakikolwiek środek lokomocji.

Kiedy to zameldowałem (oględnie), polecono mi radiostację oddać francuskiej Komendzie Placu za pokwitowaniem. Zrozumiałe, radiostacja przedstawiała ponoć wartość miliona ówczesnych franków. Francuzi oczywiście odmówili. Wtedy, znowu po rozum do głowy. Kazano mi zdeponować cenny sprzęt u... mera Libourne.

Był to człowiek dobrotliwy, który nawet zbytnio się nie oburzył. Powiedział jedynie:

— *Merde,* — po czym, grzecznie się uśmiechając, zauważył wyjaśniająco: — *Je pense à ces haricots-verts* (jedna z francuskich odmian nazywania Niemców).

Potem zapytał mnie rzeczowo co zrobiliby z nim Niemcy, gdyby — po wejściu do Libourne, co powinno nastąpić lada chwila — znaleźli w merostwie radiostację?

Uścisnęliśmy sobie dłonie z pełnym zrozumieniem.

Dalsze poszukiwanie szefa

Wreszcie, późnym popołudniem nasi nieocenieni żandarmi zatrzymali po prostu miejski autobus paryski, który — pściuteńki — niefrasobliwie jechał sobie do Bordeaux. Chociaż kierowca krzywił się, załadowano na wóz nieszczęsną radiostację, ale... zamiast do Le Verdon, skierowano ją do Langon. To była znakomita okazja uchwycenia nieosiągalnego szefa. Pojechałem z nimi.

Poza autobusem z radiostacją i paru naszymi żandarmami (ochrona!), jechała swoim *camion*'em ekipa radiotelegrafistów MSZetowych z Angers. Byli to młodzi ludzie, na pewno doskonali fachowcy. Uradzili, że nic po nich w Anglii, natomiast — wrócą do kraju i tam włączą się do podziemia, które — najprawdopodobniej — t a k i c h specjalistów bardzo potrzebowało. Na razie, chcieli gdzieś przycupnąć, aby przeczekać bezpośrednie konsekwencje upadku Francji. Kalkulowali, że najlepiej będzie to zrobić w Pirenejach. Kiedy ładowali radiostację, zajrzałem do parterowego ,,osobniaka'', siedziby naszego Prezydium Rady Ministrów. Był jeszcze prof. Kot, Zabiełło, Wyszyński. Mieczysławski urzędował... w parterowym oknie, przed którym cisnęła się ciżba petentów. Bliskość władz Rzeczypospolitej dodawała otuchy i kurażu.

Kręcili się w tym tłumie usłużni panowie, którzy informowali, udzielali rad, służyli pomocą, protekcją. Według ich bezspornie a u t o r y t a t y w n y c h opinij, na statki płynące do Anglii można się jeszcze załadować t y l k o z *ordre de mission* Rady Ministrów. Hiszpanie wydają wizy w Hendaye, ale jedynie na paszporty dyplomatyczne.

Panowie chętnie prokurowali ,,rozkazy podróży'', akuratnie wypełnione, podpisane i reprezentacyjnie opieczętowane, nie niżej 1.000 ówczesnych fr.

Błękitne formularze paszportów dyplomatycznych, z podpisem samego wiceministra Gralińskiego, szły powyżej 100 $. W życiu nie widziałem wokół siebie t a k i e g o rojowiska ,,dyplomatów'' i rozmaitych *fonctionnaires de l'Etat et des grands services publics polonais,* jak wówczas w Libourne!

Raport zbyteczny

Wieczorem 20 czerwca byliśmy w Langon.

W opustoszałej szkole mieściny kwaterował gen. Kukiel z grupą oficerów. Tu, w jednej z klas zainstalowano radiostację. Po co — nie wiem. Słuchając przyjemnej muzyczki z Radio-Andorra, nudzili się przy niej MSZetowi radiotelegrafiści.

Moich przełożonych nie było nawet śladu.

W dwa dni potem, p i j a n y m pociągiem, który wiózł j u ż zdemobilizowanych rezerwistów francuskich, dojecha-

łem do Toulouse. Była jednym ogromnym obozem cygańskim Francuzów, Belgów, Holendrów, Polaków. Ludzie spali na ulicach, w chmarach zajadłych komarów nad kanałami. Rodacy, jak zwykle, byli zaradniejsi. Lokowali się wygodniej, weselej, w domach nie koniecznie prywatnych...

Colas, wszechwładny portier dworcowego hotelu Cie Midi, niezawodny przyjaciel z mych wojennych wędrówek hiszpańskich — i tym razem stanął na wysokości zadania. Dostałem luksusową łazienkę hotelową z polowym łóżkiem. Tam napisałem mój raport paryski. Nikt, nigdy nie odebrał go ode mnie.

Włodzimierz POPŁAWSKI

Książki

Ameryka widziana przez Osmańczyka

W przedsłowiu do swej książki o Ameryce Osmańczyk zaznacza, że ,,jako publicysta zaangażowany po stronie świata socjalizmu z natury rzeczy podchodziłem do opisywania zjawisk z pozycji mniej lub więcej bliskich marksizmowi''. Zaraz jednak autor dodaje bardzo istotne zastrzeżenie: ,,Nie oznacza to jednak by tego rodzaju publicystyczna praca mogła być w jakimkolwiek stopniu uważana czy osądzana jako marksistowska ocena współczesnej Ameryki''.

Przezorne to zastrzeżenie umożliwiło Osmańczykowi napisanie dobrej książki. Albowiem autor w ten sposób otworzył sobie drogę do pisania o Ameryce absolwując się niejako od reguł i konwencji obowiązującego marksizmu. Niewątpliwie w całym szeregu wypadków regułom tym i konwencjom musiał być posłuszny. Inaczej wątpliwe jest, by książka jego w ogóle mogła się w Polsce ukazać. Jednakże tam gdzie mógł, starał się fakty przedstawić rzeczowo, uczciwie, tak jak je widział. A że jest świetnym obserwatorem, że lata pobytu w Stanach poświęcił solidnym studiom nad zagadnieniami amerykańskimi, przeto książka jego może być uważana za najlepsze przedstawienie Ameryki, jakie dotąd ukazało się w Polsce. W rzeczywistości jest to, jak dotąd, jedyna rzetelna i inteligentna książka o Ameryce, jaka może być dostępna czytelnikowi w kraju.

Najgorzej musiała wypaść ta część książki, w której autor najbardziej musiał się liczyć z obowiązującymi konwencjami ideologiczno-cenzuralnymi. Odnosi się to przede wszystkim do części poświęconej amerykańskiej polityce zagranicznej. I jakkolwiek Osmańczyk stara się i tu wprowadzić elementy inteligentnej obserwacji, to jednak nie może odejść od zasadniczego schematu ideologicznego. I stąd dowiadujemy się, że poczucie

---

*) Edmund J. Osmańczyk: *Współczesna Ameryka*. 437 str. Czytelnik, Warszawa, 1960.

zagrożenia przez Rosję miało bardzo podrzędny wpływ na kształtowanie się powojennej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Polityka ta była wypadkową rozwijania się sił wewnętrznych, prowadzących Stany Zjednoczone na drogę imperialistycznej ekspansji. A więc — obowiązująca formuła. A przecież powojennej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych nie można zrozumieć, jeżeli nie przyjmie się bezspornego faktu istnienia sowieckiego imperializmu i rywalizacji obu światowych kolosów. Osmańczyk w ogóle zostawia na stronie sowiecki aspekt wydarzeń naszych czasów, fakt tej roli politycznej, jaką Związek Sowiecki odgrywa w skali światowej. Stąd obraz malowany przez naszego autora jest niepełny, zawieszony w próżni, nie dający odpowiedzi na najbardziej zasadnicze pytania. Trudno za to winić autora. Można mu tylko współczuć.

Ale tam, gdzie Osmańczyk miał większą swobodę wypowiedzenia się, książka jego jest naprawdę bardzo cenna. Trzeba zaznaczyć, że była ona pisana przed ostatnimi wyborami, które stały się zapowiedzią zasadniczych przemian w życiu amerykańskim. Niejedna z uwag Osmańczyka zyskuje na sile właśnie na tle tego, co nastąpiło po listopadzie roku 1960. Np. Osmańczyk trafnie dostrzegł fakt coraz silniejszego akcentowania swej obecności przez świat intelektualistów amerykańskich i przewidział, że rola tego świata będzie wzrastać.

Książka ma dwie wielkie zalety. Przede wszystkim autor doskonale uchwycił dynamizm życia amerykańskiego. W Polsce, gdzie obowiązujący schemat pseudomarksistowskiej doktryny nakazuje ,,kapitalizm'' amerykański widzieć statycznie, rozważania Osmańczyka na temat tempa i kierunku zachodzących w Ameryce przemian są czymś odświeżającym i odkrywczym. Drugim ważnym momentem jest dostrzeżenie, że procesy zachodzące w Ameryce są zapowiedzią podobnych procesów, jakie bądź już zaczynają zachodzić, bądź też zachodzić będą, w każdym społeczeństwie, przeżywającym ,,drugą rewolucję przemysłową''. Postępy technologii współczesnej, mechanizacja i automatyzacja, mają zasadniczy wpływ na życie społeczne dzisiejszej Ameryki i wpływ taki będą miały i na inne kraje bez względu na to, czy się je nazywa ,,kapitalistycznymi'' czy ,,socjalistycznymi''.

Tu jednak Osmańczyk musi się mieć na baczności. I tak dał czytelnikowi dużo do myślenia. Musi się wystrzegać doszukiwania się zbyt daleko sięgających analogii, stąd musi cały szereg dostrzeżonych zjawisk przypisywać wyłącznie kapitalizmowi. Ale właśnie na tle jego podstawowych rozważań to, co mówi o kapitalizmie, brzmi bardzo nieprzekonywująco. Czy wyłanianie się olbrzymich aparatów w rodzaju *Big Government, Big Army, Big Business* nie ma swego odpowiednika w Związku Radzieckim? Czy w obu systemach ,,druga rewolucja przemysłowa'' nie prowadzi do wytwarzania się bardzo podobnych instytucji życia zbiorowego? Oczywiście są różnice. *Big Labor* jest w Ameryce rzeczywistą siłą — Osmańczyk to stwierdza — nie

jest natomiast taką siłą w Związku Sowieckim. Dlaczego *lobbying* ma być wyłącznie właściwością krajów kapitalistycznych? Czyż formy *lobbyingu* — znacznie oczywiście prymitywniejsze — nie istnieją w Polsce Ludowej? Osmańczyk chyba o tym sam wie doskonale.

Przy wszystkich jednak tych ostrożnościach autor dobrze widzi uniwersalny charakter następstw ,,drugiej rewolucji przemysłowej''. I to jest niezmiernie cenną stroną jego książki. Nad jej uwagami czytelnik w Polsce powinien się dobrze zastanowić Niejedno z tego, co dziś jest uważane za swoiście ,,amerykańskie'', z czasem wystąpi i w Polsce. Tak samo jak już dziś zaczyna występować i w Związku Sowieckim.

Jest kilka punktów w książce Osmańczyka, którym pragnę poświęcić nieco więcej uwagi. Dla ogromnej ilości nie-Amerykanów rzeczą szczególnie trudną do zrozumienia jest sam fakt narodu amerykańskiego. W rzeczywistości żadne z kryteriów przynależności narodowej, jakie są w użyciu poza Ameryką, nie dadzą się zastosować do ludzi, którzy siebie zaliczają do narodowości amerykańskiej. To, że naród amerykański — mówi Osmańczyk — ,,nie jest jednolitą formacją socjologiczną, etnograficzną i antropologiczną, nie jest istotne dla Amerykanów, którzy narodowość i język wywodzą bezpośrednio ze swego obywatelstwa, a nie jak obywatele państw Europy czy Azji — z tradycji rodzinnej''. Dodajmy, że nawet wspólność językowa nie jest tu wystarczającym kryterium. Np. stan New Mexico jest stanem dwujęzycznym. Obowiązują tam dwa oficjalne języki — angielski i hiszpański. Niemniej jednak nawet ci obywatele stanu New Mexico, których językiem jest hiszpański, bez wahania zaliczają siebie do narodu amerykańskiego. Za Amerykanów uważają też siebie wszyscy ci — wciąż jeszcze bardzo liczni — obywatele Unii, którzy w swym życiu prywatnym i rodzinnym posługują się językami innymi niż angielski. Takie jest też wobec nich oficjalne stanowisko Stanów Zjednoczonych. Gazeta, wydawana w języku nie-angielskim, należy do prasy amerykańskiej, jeżeli ukazuje się w Ameryce i jest przeznaczona dla Amerykanów. Powieść, napisana przez Amerykanina w jakimkolwiek języku, należy do literatury amerykańskiej. Folklor obcojęzyczny — np. twórczość ludowa tzw. *Pennsylvania Dutch* czyli Niemców Pennsylwanii, albo piosenki hiszpańskie, powstałe w tych częściach Stanów, gdzie wciąż są silne tradycje Hispanidad — jest bezspornie składnikiem folkloru amerykańskiego. Słowem, moment wspólnego języka nie ma tu decydującego znaczenia.

Osmańczyk stara się wykazać, że w rzeczywistości mamy tu do czynienia ze swoistą formacją kulturową — z narodem obywateli USA. Jest to związek polityczno-prawny, który dopiero stopniowo przekształca się w jednolitą strukturę narodowo-kulturalną.

Czy jednak Osmańczyk nie upraszcza tu zagadnienia? Dla Polaka w szczególności, uchwycenie sensu narodowości amery-

kańskiej, jak jest ona rozumiana w Stanach Zjednoczonych, nasuwa specjalne trudności. Nie wolno zapominać, że w Polsce w wyniku długiego okresu istnienia bezpaństwowego wytworzyła się bardzo rygorystyczna definicja uczestniczenia w narodowości polskiej. Do tego definicja ta była zawsze silnie emocjonalnie zabarwiona. Była to definicja wąska, eliminująca wszystkich tych, którzy nie czynili zadość licznym wymaganiom ideologicznym. W pewnych okresach kwestionowana była polskość niekatolików. Koncepcja państwa narodowego i filozofia obozu narodowego szły w kierunku odrzucania od polskości wszelkich elementów obcojęzycznych, obcoplemiennych, by tylko wymienić Żydów. Próby przeciwstawienia się takiemu zwężającemu ujęciu były mało owocne. W okresie międzywojennym były przejściowe wysiłki stworzenia ideologii państwowej jako szerszej od narodowej, ale wpływ ich na społeczeństwo był nikły.

Nic też dziwnego, że Polak — a z nim i masa przedstawicieli innych zbiorowości narodowych — jest zakłopotany niezmiernie szerokim amerykańskim ujmowaniem narodowości. I tak samo — Amerykaninowi polskie ujmowanie narodowości wydaje się czymś szowinistycznym, dziwacznym i niezrozumiałym. Amerykanin za coś oczywistego uważa, że każdy obywatel Stanów Zjednoczonych jest Amerykaninem. I nie chodzi tu o tylko czysto zewnętrzny stosunek prawny. Obywatelstwo oznacza przyjęcie przez jednostkę pewnego systemu ideałów, który dopiero wyznacza fakt narodowości amerykańskiej. System ten jest zupełnie różny od tego systemu ideałów, jaki w ujęciu Polaka wyznacza fakt polskości. System amerykański — popularnie określany jako *American way of life* — jest zarówno bardzo ogólny jak i wieloznaczny. Niemniej jednak ma on pewien rdzeń wyraźny, mający za swoją treść ideały Wieku Oświeconego, sformułowane w Deklaracji Niepodległości i w *Bill of Rights*. I bez względu na to, czy ideały te są naprawdę wprowadzane w życie, od Amerykanina oczekuje się, że im służy i że w ten sposób dokumentuje swą amerykańskość.

Daje to podstawę dla niezmiernie szerokiej definicji Amerykanina i amerykańskości. Dochodzi do tego i tendencja, która ostatnio wyraźnie przybiera na sile. O ile jeszcze nie tak dawno opinia publiczna występowała przeciwko tzw. *hyphenated Americans* w rodzaju Polaków-Amerykanów, Włochów-Amerykanów itd., o tyle dziś coraz więcej się mówi o walorach tych Amerykanów, którzy uczestniczą w kulturach więcej niż jednej. Stąd zjawiska, które w Polsce budziłyby powszechne zgorszenie. Fakt, że członek gabinetu, Gubernator stanowy, Senator itp. jest jednocześnie np. działaczem syjonistycznym, proirlandzkim czy prowłoskim, w Ameryce nie tylko że nikogo nie gorszy, ale uważane jest za coś właściwego i wysoce wskazanego. Działacz taki jest bezspornym Amerykaninem, ale, będąc nim, zachowuje łączność kulturalną i ideologiczną ze środowiskiem, z którego wyszedł. Rzecz jasna, że w wypadku konfliktu lojalność jego będzie zawsze po stronie amerykańskiej. W każdym razie

polskie ,,albo-albo'' dla Amerykanina jest czymś zubożającym i bezsensownym.

Nie można tego porównywać z sowiecką koncepcją ,,narodu stu narodów'', by użyć słów Tuwima. Warunki są tu zupełnie różne. Na terenie Sowietów występują autochtoniczne lokalne grupy narodowe, nie zaś grupy emigracyjne, asymilujące się żywiołowo do określonej kultury narodowej. W praktyce też sowiecka koncepcja sowieckiego ,,nadnarodu'' oznacza politykę rusyfikacyjną, programowo narzucającą grupom nie-rosyjskim kulturę rosyjską. Taka polityka w Ameryce nie jest znana. Amerykanizacja jest procesem żywiołowym, który wcale nie ma na celu usuwania swoistych odrębności tych czy innych grup etnicznych. Jego celem jest wchłonięcie tych odrębności przez szeroki system wartości kulturalnych, określany jako amerykańskość. Stąd popularne powiedzenie, że tkanina Ameryki jest tkana z różnych włókien, pochodzących ze wszystkich stron świata. Osnową jednak są pewne zasadnicze ideały i wartości, zrodzone w wieku XVIII i przetwarzane na gruncie amerykańskim aż do naszych czasów.

Ale jest w książce Osmańczyka jeszcze i inny moment, który nasuwa poważne wątpliwości. Fakt, że w Stanach Zjednoczonych — najbardziej uprzemysłowionym kraju świata — nigdy nie wytworzyła się potężna partia robotnicza, jest niepokojącą zagadką dla ortodoksyjnego marksizmu. Przecież rozwój przemysłu musiał prowadzić zarówno do tworzenia się mas proletariackich jak i do zaostrzania się przeciwieństw klasowych. Przecież partia klasowo-robotnicza *musiała* powstać w jakimś okresie historycznym i stać się siłą potężną. A jednak nie powstała. Jak wytłumaczyć taką ,,anomalię'' historyczną? Powoływanie się na specyficzne warunki rozwojowe społeczeństwa amerykańskiego ortodoksyjnemu marksizmowi wystarczyć nie może. Kapitalizm w poszczególnych krajach może mieć swoje odcienie lokalne, *musi* jednak podlegać ogólnym prawom rozwojowym. Odpowiedź może być tylko jedna: specyficzne warunki amerykańskie spowodowały opóźnienie, nie mniej jednak partia robotnicza będzie musiała powstać i powstanie.

Osmańczyk tę konwencję ortodoksyjnego marksizmu musi przyjąć. Czy — trzeźwy i inteligentny obserwator — robi to z przekonaniem czy bez, jest rzeczą bez znaczenia. Jest zbyt uczciwy na to, by niepowodzenia amerykańskiego komunizmu zwalić wyłącznie na karb prześladowań policyjnych. Ostatecznie prześladowania w innych krajach nie przeszkodziły powstaniu w nich silnych partii socjalistycznych i — później — komunistycznych. Osmańczyk, starając się nie zejść z ortodoksyjnej platformy, zachowuje jednak godną pochwały przezorność w swych przewidywaniach. Powiada on: ,,Przy całej słuszności tezy o historycznie i cywilizacyjnie uzasadnionej odmienności amerykańskiego człowieka pracy istnieją jednak pewne dane z roku 1958 i z przygotowań do roku 1960, że ten tak różny od europejskiego robotnik amerykański nie zamierza pozostawać

bez wpływu na amerykański system partyjny". Dowodem tego ma być zapowiedź George'a Meany, że jeżeli Partia Demokratyczna nie zechce reprezentować świata pracy, to ludzie pracy stworzą własną partię.

Ale Osmańczyk doskonale wie, że amerykański zorganizowany świat pracy nigdy nie zamierzał pozostawać bez wpływu na amerykański system partyjny. I to na długo przed rokiem 1958. Już za Gompersa związki zawodowe — wtedy jeszcze słabe — starały się wywierać nacisk na partie polityczne. W okresie *New Deal*'u wytworzył się sojusz między związkami a Partią Demokratyczną i sojusz ten trwa aż dotąd. CIO powołało do życia *Political Action Committee*, który faktycznie był instytucją wywierania zorganizowanego nacisku na rząd i na partie. Analogiczne instytucje powstały zarówno przy AFL jak i przy połączonym AFL-CIO. W praktyce mieści się to w ramach tradycyjnego *lobbying*'u i działania *pressure groups*. Wcale to jednak nie oznaczało tworzenia samodzielnej klasowej partii robotniczej. Przywódcy amerykańskich związków zawodowych są ludźmi zbyt rozważnymi i znającymi masy, by mieli się puszczać na politykę awanturniczą, która musi doprowadzić do klęski.

Zwycięstwo Kennedy'ego wzmocniło pozycję *Big Labor* i zdezaktualizowało groźbę Meany'ego, groźbę, której w Ameryce nikt nie brał poważnie. Poważnie jej nie brał i sam Meany. W rządzie Kennedy'ego jako Sekretarz Pracy zasiada Arthur Goldberg, człowiek niezmiernie bliski amerykańskiemu ruchowi robotniczemu, i rola Goldberga w rządzie jest — jak dotąd — bardzo wielka. Jest to zresztą niewątpliwie człowiek o nieprzeciętnych zdolnościach.

Jak jednak patrzeć na dalszą przyszłość? Czy rzeczywiście w jakimś jej momencie będzie musiała powstać samodzielna partia robotnicza? Osmańczyk w innych miejscach swej książki mówi o rzeczach, które świadczą, jak nikłe są szanse powstania takiej partii. Albowiem jak może partia robotnicza powstać w kraju, w którym robotnik — taki, jaki jest znany w Europie — staje się zjawiskiem zanikającym? Druga rewolucja przemysłowa, z jej krańcową mechanizacją i automatyzacją, robi z „robociarza" postać historyczną. Osmańczyk słusznie wykazuje, że już w chwili obecnej *white collar workers* liczebnie przewyższają *blue collar workers*. Co więcej, różnica między jedną kategorią a drugą faktycznie zanika. Niewykwalifikowany i półwykwalifikowany robotnik przechodzi do przeszłości. Dzisiejszy robotnik w coraz większym stopniu staje się wysoce wykwalifikowanym specjalistą. Ani też rodzajem pracy, ani skalą zarobków, ani stylem życia, ani — co szczególnie ważne — pozycją społeczną nie różni się od człowieka innego zawodu w tej samej kategorii zarobkowej. I jak tu mówić o proletariuszu, gdy się ma na myśli człowieka, mieszkającego we własnym domu, jadącego do pracy własnym autem, żyjącego na poziomie, który w Polsce uważany jest za właściwy tylko ludziom bardzo dobrze zarabiającym.

Osmańczyk bardzo słusznie wykazał kolosalną ewolucję, przez jaką w wyniku ,,drugiej rewolucji przemysłowej'' przechodzi amerykański świat pracy. Niewątpliwie przez taką ewolucję przejdzie świat pracy i w krajach innych. Jakie to tam będzie miało skutki polityczne, dziś mówić byłoby przedwczesne. W Ameryce jednak ewolucja ta czyni czymś wysoce nieprawdopodobnym, by mogła tu powstać samodzielna partia robotnicza.

Oczywiście Osmańczyk był skrępowany rozmiarami swej książki, którą potraktował publicystycznie. Stąd niejedno zagadnienie pominął, nad niejednym zatrzymał się bardzo krótko. Bardzo np. marginesowo potraktował sprawę przemian w obrębie *Big Business*'u. Zaznaczył, że era ,,królów'' się skończyła, ale nie poświęcił zbyt wiele uwagi *managerial class* i roli wielkiej biurokracji przemysłowej. A szkoda. Dokładniejsza analiza wykazałaby, że odpowiedniki zjawisk amerykańskich doskonale dadzą się zauważyć i w krajach ,,socjalistycznych''. Mogłoby to nawet ilustrować, jak dalece konwencjonalny staje się podział na ustroje kapitalistyczne i socjalistyczne.

Z poszczególnymi poglądami Osmańczyka można polemizować. Sama książka zresztą pobudza do polemiki, bo zmusza do myślenia. I to jest bodaj największy komplement, jaki pod adresem książki i jej autora można powiedzieć. Jest też świetnie napisana. Używając wyrażenia angielskiego, jest *readable* — czytelna, napisana w sposób taki, że czyta się ją łatwo, z zainteresowaniem, bez znużenia. O niewielu książkach, wychodzących w Polsce, da się to powiedzieć.

Aleksander HERTZ

Żeromski żywy

Świeżo ukazały się dwie książki, które należy czytać razem, równolegle i na przemian: ,,Wspomnienia o Stefanie Żeromskim''*) oraz ,,Stefan Żeromski, kalendarz życia i twórczości''**). Wzajemnie uzupełniającą się zawartość tych opracowań poświadcza osoba ich autora czy raczej redaktora — Stanisława Eilego. ,,Kalendarz'' pomyślał i zaczął młody badacz Stanisław Kasztelowicz; Eile dokończył jego dzieła przerwanego przez śmierć, dokładając do niego dwie trzecie materiału i nadając

*) *Wspomnienia o Stefanie Żeromskim*, zebrał Stanisław Eile, przedmowę napisał Henryk Markiewicz. Warszawa 1961. Stron 248, ilustracje.

**) *Stefan Żeromski — kalendarz życia i twórczości*, opracowali Stanisław Kasztelowicz i Stanisław Eile. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1961. Stron 572, ilustracje.

mu kształt ostateczny. Zbiór wspomnień o Żeromskim — zapewne produkt uboczny tamtej pracy — stanowi wyłączną własność Eilego.

Obie książki mają charakter materiałowy. Na pierwszy rzut oka wydają się książkami dla specjalistów. Temat i dynamika w nim zawarta, jakość materiału i sposób jego podania sprawiają, że są to książki do czytania o wielkiej sile sugestywnej i wywoławczej. Zastępują one biografię, na którą jest bodaj jeszcze za wcześnie. Torują jej drogę.

Antologia wspomnień (bo nie są to wszystkie zachowane wspomnienia) przejęła od kalendarza układ chronologiczny. Być może, narzucił się on sam z siebie. W ten sposób otrzymaliśmy jakby zbiorowy szkic życiorysu stworzony przez 30 z górą świadków wydarzeń, które rozegrały się w rozmaitych czasach, miejscach i okolicznościach, świadków różnej wagi, różnej bystrości spostrzegawczej, zdolności pamiętania, umiejętności formułowania.

Pewne okresy zaznaczają się w tym zarysie bardzo bogato i wypukło. Inne kryją się w półcieniu. Niektóre sprawy, np. sprawa nieprzyznanej nagrody Nobla ukazują się w całym bogactwie szczegółów, inne równej ważności są tylko napomknięte. Czasem są to szczegóły błahe, czasem najistotniejsze. Niekiedy rysy znajome, niekiedy całkiem niespodziane.

Największą wartość tego zbioru stanowi to, że po raz pierwszy skupił wspomnienia rozproszone po niedostępnych czasopismach, rzadkich wydawnictwach zbiorowych. Wydawca szukał ich nie tylko na tych szlakach niedostępnych przeciętnemu czytelnikowi. Szukał ich również u żywych ludzi. Pewna część świadectw znalazła się w tym zbiorze po raz pierwszy. Są wśród nich świadectwa kapitalne i złożone w ostatniej chwili, jak Andrzeja Pronaszki i Janiny Mortkowiczowej, choć są też dotknięte deformacją i skażone koniunkturalnością (Kozikowski i Strumph-Wojtkiewicz). Ponadto Eile wydobył drobne co prawda, a mimo wszystko cenne zapiski Gorkiego i Jesienina ze spotkań z Żeromskim. Odnotował też kilka anegdot.

,,Kalendarz'' wypełnia prawie jednolicie luki ,,Wspomnień'', chociaż i on nie jest jeszcze pełną biografią, ale jej szkieletem, jej wewnętrzną armaturą. W pierwszej części posługuje się obficie własnymi ,,Dziennikami'' Żeromskiego, które ukazały się w druku po wojnie. W dalszych obficie przytacza jego korespondencję z pierwszą żoną Oktawią i listy do innych osób, zebrane przez prof. Pigonia, ale jeszcze niewydane. W sprawach złożonych, np. stosunku pisarza do Legionów Piłsudskiego, Eile ucieka się do pamięci jeszcze żyjących osób, przytacza m.in. informacje uzyskane od gen. Mariana Kukiela.

Kalendarz życia i twórczości jest formą, którą u nas zapoczątkował bodaj Julian Krzyżanowski. Jego calendarium Sienkiewiczowskie ukazało się w dwóch wydaniach, ma potomstwo w podobnym opracowaniu dotyczącym Słowackiego i drugim, którego przedmiotem będzie Wyspiański (wejdzie ono jako

t. XVI do edycji ,,Dzieł zebranych'' wreszcie dobiegającej do końca).

Eile idzie utartym a przyrodzonym torem. Zestawia po kronikarsku, rok po roku, możliwie wiele szczegółów biograficznych: o pochodzeniu pisarza, jego kształtowaniu się umysłowym, miejscach pobytu, działalności społecznej i politycznej. Na podstawie ,,Dzienników'' udaje mu się określić szczegółowo lekturę młodzieńczego okresu. Wyławia też jej bezpośrednie echa jak i reakcje Żeromskiego na inne zjawiska, opinie o ludziach, refleksje o życiu i sobie.

Z niemniejszą skrzętnością zestawia wszystko co dotyczy poszczególnych dzieł, bodźców, którym zawdzięczały swoje powstanie i źródeł, z których się żywiły. Śledzi ich losy materialne, druk w czasopismach i książkach, przeprawy z cenzurą i przygody z wydawcami.

Opracowanie Eilego obok rysów typowych ma również znamiona odrębne. Przede wszystkim szerzej niż inne książki tego rodzaju uwzględnia bibliografię, w szczególności bibliografię przekładów na języki obce i cudzoziemskich prac o Żeromskim. W tym świetle okazuje się, że dzieło rzekomo nieprzetłumaczalne było prawie od początku tłumaczone i budziło duże echo. Pierwsze przekłady na język rosyjski (m.in. ,,Doktor Piotr'' i ,,Tabu'') ukazały się już w r. 1897, na język francuski (,,Do mego Boga'' i ,,Po Sedanie'') w r. 1902. Zestawienie danych z tego zakresu jest najobszerniejsze ze wszystkiego co dotąd wiedziano, choć dalekie od kompletności.

Jeszcze ważniejszy w ,,Kalendarzu'' i bliższy pełni jest dział dotyczący ,,recepcji'', odbioru dzieła Żeromskiego. Ta książka jest nie tylko kroniką życia i twórczości. Umieszcza życie i twórczość w rezonatorze współczesnym, śledzi ich odbicie w otaczającym świecie, z którego rosły i do którego się zwracały.

W tym zakresie uwzględniono materiał różnorodny i nieraz fascynująco ciekawy. Składają się nań echa bezpośrednie, poufne, nieprzeznaczone do ogłoszenia np. znamienna korespondencyjna wymiana opinii o ,,Dziejach grzechu'' między Orzeszkową a Reymontem czy taka dedykacja przesłana z zesłania w Wierchojańsku: ,,Za ,,Bezdomnych'' od bezdomnych podziękowanie i pozdrowienia''. (,,Była to w moim życiu pisarskim — powie sam Żeromski — najzaszczytniejsza ,,recenzja'' i najważniejsza nagroda''). Na przeciwnym krańcu stoją stwierdzenia retrospektywne. Oto dwa dotyczące ,,Ludzi bezdomnych'': ,,O właściwą interpretację działalności doktora Judyma — wspomina Walery Goetel — skakaliśmy sobie do oczu''. ,,Każdy z nas kochał Joasię — wtóruje mu Stanisław Posner. — I wszystkie Joasie pisać zaczęły pamiętniki na temat swojego każda Judyma. Przeczytanie tej książki było wprost czynem ,,partyjnym''.

Między tymi dwoma biegunami mieszczą się recenzje, oceny krytyczne. Eile odnotowuje, streszcza i przytacza w istotnych wyjątkach każdy ważniejszy odzew. Spotykamy tu Kasprowicza jako recenzenta ,,Syzyfowych prac'', wczesną opinię Struga o

Żeromskim, która jest jednako ważna i instruktywna dla obu pisarzy, entuzjastyczną ocenę ,,Popiołów'' przez Rittnera, uwagi oczywiście negatywne Weyssenhoffa o ,,Dziejach grzechu''. Ten ostatni utwór wywołał szczególnie rozległy rezonans: odbywano nad nim i jego bohaterką publiczne ,,sądy'', już w r. 1911 doczekał się przeróbki filmowej, ale z powodu ataków prasy trzeba ją było na pewien czas zdjąć z ekranu. Ciekawy jest także powrót do rzeczywistości szczegółów zaczerpniętych z życia, utrwalenia się szczegółów fikcji artystycznej w żywej legendzie: rzeka Łośna (Łosośna), która posłużyła za model do ,,Wiernej rzeki'' nosi dziś obok dawnej równorzędną nazwę Wierna. Eile słusznie uważa, że dokumentem recepcji są nie tylko głosy krytyczne, ale i odzewy liryczne. Chyba żadnemu pisarzowi polskiemu — poza Mickiewiczem — nie poświęcono tyle wierszy co Żeromskiemu. Są wśród nich przedrukowane in extenso utwory Staffa, Wierzyńskiego, Pawlikowskiej, Lechonia, Wittlina, Słonimskiego, Broniewskiego i in.

Tak rozległe uwzględnienie tego kręgu dokumentacji rozszerzyło książkę do bezmała 600 stron dużego formatu, ale niezwykle ją wzbogaciło, nadało jej odrębny charakter, wyostrzający profil pisarza, któremu jest poświęcona.

,,Wspomnienia o Żeromskim'' i ,,Kalendarz'' dopełniają się nawzajem. Ważne świadectwo Michała Sokolnickiego ,,Czternaście lat'' (1936) pominięte — właściwie trudno zgadnąć z jakiego powodu — w zbiorze wspomnieniowym, jest obszernie uwzględnione w odpowiednich rubrykach ,,Kalendarza''. Frapującą sprawę muzyki do ,,Sułkowskiego'', którą miał pisać Szymanowski, ukazaną w jego własnym wspomnieniu, ,,Kalendarz'' dopełnia korespondencją Szymanowskiego z Żeromskim.

Oba opracowania uzupełniają się również pod względem aparatu pomocniczego. ,,Wspomnienia'' są opatrzone notami o ich autorach, objaśnieniami i sprostowaniami rzeczowymi, ale nie mają żadnego skorowidza. ,,Kalendarz'' zawiera ich aż pięć: skorowidz nazwisk, utworów Żeromskiego, czasopism, instytucji i organizacji, nazw geograficznych. Zbiór wspomnień pozostawia pewne szczegóły niewyjaśnione (np. spotkanie Żeromskiego z Apollinairem, o którym Stanisław Rzecki napomyka w sposób dwuznaczny). ,,Kalendarz'' zdradza dążność do wszechstronnego oświetlania spraw, do możliwej w tym momencie precyzji. Podważa również i obala wiele malowniczych legend: o spotkaniu Żeromskiego z Leninem i interwencji w jego sprawie, o powieści ,,Iskry'' z czasów powstania listopadowego rzekomo pisanej jednocześnie z ,,Popiołami'', o tym, że ,,Wiatr od morza'' powstał w latarni morskiej w Rozewiu. W ogóle ,,Kalendarz'' góruje starannością nad ,,Wspomnieniami'' (prawdziwe nazwisko Lechonia występuje w nich stale w formie ,,Serafimowicz'' zamiast Serafinowicz, Derain figuruje jako ,,Deraine'').

W mozaikowej składance ,,Wspomnień'' i kronikarskich zapiskach ,,Kalendarza'' zaznaczają się jakby ze zdwojoną

ostrością dwa znamienne rysy Żeromskiego. Widać naocznie do jakiego stopnia jego dzieło jest — według określenia Zygmunta Markiewicza — ,,utajoną autobiografią'', ile elementów rzeczywistych, osobistych, intymnych przeniknęło w skład tego dzieła. Z niemniejszą siłą rzuca się w oczy podjęta przez Żeromskiego próba identyfikacji działania artystycznego z działaniem praktycznym, twórczości z życiem.

Tę drugą sprawę ilustruje zwłaszcza okres nałęczowski szeroko uwzględniony we ,,Wspomnieniach''. W tym czasie Żeromski nosił się z myślą żeby zostać nauczycielem na wsi, był czynnym działaczem oświatowym, za pieniądze uzyskane z ,,Dziejów grzechu'' zbudował ochronkę w Nałęczowie, zabiegał o założenie szkoły, organizował wykłady popularne. Widzimy go jak usługuje robotnikom na zbiorowej wilii, jak w r. 1905 roznosi zapomogi strajkującym. W późniejszych latach choroba, wojna, przeżycia osobiste ograniczyły ten patetyczny wysiłek stawiania znaku równości między dziełem i życiem. Ale ta dążność nigdy nie znikła. Do końca rozgrywała się w nim walka Jakuba z Aniołem, artysta zmagał się ze społecznikiem.

Było od dawna wiadomo, że Kleryków w ,,Syzyfowych pracach'' to Kielce z lat szkolnych Żeromskiego, że Cisy w ,,Ludziach bezdomnych'' to naraz Nałęczów i Raperswil. W zestawionych teraz materiałach te ogólne kontury wzbogacają się zadziwiającymi niekiedy szczegółami, które pozwalają śledzić funkcjonowanie wyobraźni i uczuciowości Żeromskiego. Najbardziej sensacyjne jest oświetlenie rzeczywistego podłoża ,,Przedwiośnia'' przez Strumpha-Wojtkiewicza, choć jego relacja nakazuje maksymalną ostrożność krytyczną.

Te dwa rysy (nawiasem mówiąc par excellence romantyczne) — przetwarzanie życia osobistego w sztukę i dążność do utożsamienia artyzmu z działaniem praktycznym — stawiają na porządku dziennym sprawę zasadniczą: sensu i uprawnień biografistyki. Była ona przedmiotem wielkiej europejskiej dyskusji przed wojną, ale koniec końców nic lub niewiele się w niej zmieniło. Biografistyka nie dała się bez reszty usunąć z wiedzy o literaturze, gdzie przez swoje wybujałości i skrajności skompromitowała się najoczywiściej. Obroniła też swoją samodzielną rację istnienia. Na Zachodzie rozrasta się w stopniu odwrotnie proporcjonalnym do tendencji usiłujących zniwelować jednostkę i osobowość ludzką, zgubić ją w bezimiennej masie, ukazać jako mechaniczny produkt warunków społeczno-gospodarczych. U podłoża tego rozrostu literatury biograficznej tai się również motyw głębszy: człowieka ze wszystkiego najbardziej obchodzi człowiek, obchodzi bardziej, niż przestrzenie międzygwiezdne, niż wnętrze atomu. Zresztą strukturę atomu przeniknął człowiek i człowiek wdarł się w stratosferę. Zbudował swoją wielkość i zawiesił nad sobą grozę zagłady. Jest i nie przestanie być bohaterem kosmicznego dramatu.

,,Wspomnienia o Żeromskim'' i kronika jego życia, twórczości i społecznego odbioru spełniają dobrze zadanie, które

Hanna Mortkowiczówna, autorka jednego z cenniejszych świadectw, zawarła w słowach: ,,Przywołać do pamięci i utrwalić dla potomności cechy najbardziej osobiste, to co wymyka się spod oceny krytyka, i co niszczeje wraz z żywym człowiekiem''.

W tych książkach Żeromski jest żywy, bliski czytelnikom, dostępny badaczom. Wzbogaca obraz dzieła swoją żywą obecnością.

Tymon TERLECKI

Szyfmanowska odyseja

Czytaliśmy już tyle wspomnień z ostatniej wojny, a mimo to niemal każdy nowy przyczynek do tego zbiorowego zapisu zaskakuje nas czymś niespodzianym. Rzecz Arnolda Szyfmana pt. ,,Moja tułaczka wojenna''*) jest interesująca ze względu na osobę autora, ze względu na materiał, który przynosi, ze względu na sposób jego ujęcia.

Można rozmaicie oceniać działalność Szyfmana; sam nie jeden raz się z nią nie zgadzałem, w dramatycznych sporach Schiller-Szyfman stałem po stronie Schillera. Ale jest to fakt niesporny i trwały, że Teatr Polski w Warszawie zawdzięcza powstanie Szyfmanowi, że data jego otwarcia — rok 1913 — liczy się do dat epokowych w historii naszej sceny, że jego rozwój związany przez ćwierć wieku z osobą założyciela należy do świetniejszych rozdziałów tej historii. Jest to wzruszające, prawie symboliczne, że Teatr Polski otwiera i zamyka także relację wojenną Szyfmana.

Na początku wspomnień widzimy go jak podczas oblężenia Warszawy przez wojska hitlerowskie walczy, by uratować od zagłady dzieło swego życia. Na końcu rozstajemy się z nim wśród zabiegów o zabezpieczenie budynku, który prawie cudem ocalał w mieście obróconym w księżycową pustynię. We wrześniu 1939 r. dosięgły Teatr Polski dwie bomby, magazyn dekoracji znajdujący się obok niego poszedł z dymem. Po powstaniu 1944 r. był on jedynym teatrem, jedną z nielicznych budowli reprezentacyjnych, które ostały się w totalnym zniszczeniu stolicy. Dzięki Szyfmanowi najprędzej też wrócił do służby.

Między tymi dwiema klamrami mieści się osobista historia Szyfmana, jego dziwna, właściwie jedyna w swoim rodzaju odyseja wojenna trwająca bezmała sześć lat. Nie wiąże się ona z Teatrem Polskim. Przedstawienia ,,Genewy'' Shawa zawieszono już w czwartym dniu wojny, ,,gdyż frekwencja tak zmalała, że na widowni było mniej osób niż na scenie''. Po zajęciu Warszawy z typową dla niego energią zaczął Szyfman organizować spółkę samopomocową ,,Bazar w Teatrze Polskim'', z równie typową niezachwianą pedanterią uporządkował jego archiwum. Ale losy oderwały go od tej placówki na cały czas trwania wojny. Teatr Polski stał się niemieckim

*) Arnold Szyfman: *Moja tułaczka wojenne.* Wyd. M.O.N., Warszawa 1960. Str. 368.

„Theater der Stadt Warschau", jego zbiory padły ofiarą wandalizmu, jego twórca i dyrektor poszedł za kratki z powodu „niearyjskiego" pochodzenia.

Już sześciomiesięczny epizod więzienny, stosunkowo niejaskrawy w porównaniu z tym co się działo gdzie indziej i później, zdradza w Szyfmanie to co zawsze było jego siłą — odporność nerwów. Ona wraz z tzw. łutem szczęścia pozwoliła mu przetrzymać w ukryciu całą wojnę. Pod fałszywym nazwiskiem Adama Spławskiego, a później Adama Sławińskiego spędził ją w Sandomierskim i Miechowskim. Gościny udzieliły mu dwa ziemiańskie dwory. Odbył między nimi tylko dwie większe podróże (jedną zgoła fantastyczną). Kilka razy chyłkiem odwiedził Kraków, siedzibę haniebnej pamięci „gubernatora" Franka.

To fizyczne unieruchomienie bynajmniej nie oznaczało bezwładu umysłowego. Przeciwnie, było wędrówką na samo dno codziennej rzeczywistości. Człowiek przyczajony w poszyciu, czujny bo żyjący w stanie ciągłego zagrożenia, zatajony pod przybraną tożsamością jakby jeszcze wyostrzył swój dar obserwacji, ciekawie, badawczo patrzył na toczące się wokół niego życie, przyglądał się ludziom, obyczajom, reakcjom uczuciowym, starciom, objawom przystosowania i oporu. Z tych drobiazgowych dostrzeżeń urósł obraz niezwykły: wieś polska, powszednia, przyziemna egzystencja cywilna odbita w oczach przybysza z miasta.

Szyfman odczuwa obcość klasową wobec środowiska, z którym związała go wojna. Jest to zrozumiałe i o to trudno mieć do niego pretensję. Mniej sympatyczne jest tłumaczenie się z tego, że przeżył lata wojenne „we dworach"; gdyby nie one, prawdopodobnie nie wydałby tego cennego dokumentu. Jeszcze mniej sympatyczne są uogólniające sądy ujemne. Jestem daleki, najdalszy od idealizowania warstwy ziemiańskiej, ale do wczoraj była ona u nas czymś bardzo zróżnicowanym. Ostatecznie za naszych czasów wyszli z niej Żeromski i Strug, Iłłakowiczówna i Dąbrowska, żeby tylko mówić o pisarzach. I na koniec jest to formacja społeczna „leżąca na deskach", już historyczna, bezpowrotnie zamknięta. Każde uogólnienie potępiające jest dziś rzeczą raczej tanią i niezupełnie rycerską u kogoś, kto ludziom należącym do tej formacji zawdzięcza ocalenie.

Zresztą Szyfman sam sobie przeczy. Świadectwo, które wystawia Pławowicom, kiedyś majątkowi rodzinnemu Ludwika Hieronima Morstina, jest świadectwem najchlubniejszym. Szyfman-Sławiński przeżył tam 23 miesiące. Oprócz niego pod gościnnym dachem znalazło schronienie blisko 20 osób rozmaitej kondycji i wieku; wśród nich trzech pisarzy: Piechal. Swinarski i pod koniec wojny Staff. Prowadzono tam tajne, systematyczne nauczanie, zwane żartobliwie „Akademią Pławowską". Podejmowano rozmaite akcje dobroczynne, jak fundusz na pomoc inteligencji, jak paczki żywnościowe dla głodujących, jak przede wszystkim ochronka dla dzieci z Krakowa (jej opis należy do najpiękniejszych i najbardziej wzruszających stronic „Mojej tułaczki wojennej" Szyfmana). W r. 1943 zorganizowano obchód 30-lecia Teatru Polskiego, oczywiście konspiracyjny, na który Szyfman przygotował fragment „Penelopy" Morstina. Jeśli przykładu Pławowic nie można uogólnić na całe ziemiaństwo polskie w czasie ostatniej wojny, ten przykład staje wpoprzek uogólnieniom negatywnym, które w tej chwili mają posmak koniunkturalny.

Poza tym książka jest rzeczowa, ścisła, bezstronna. Szyfman pisze przede wszystkim o tym co przeżył i czego doświadczył. Materiał prze-

życia i doświadczenia wyraźnie oddziela od tego co zasłyszał, co poznał z drugiej ręki. Najsłuszniej uważa, że „jednostronność i ograniczoność zasięgu obserwacji" jest słabą stroną prac tego rodzaju, ale jest również ich fortą i sensem.

„Tułaczka wojenna" ma podwójny charakter: w połowie jest pamiętnikiem obejmującym dokładnie trzy lata od września 1939 do września 1942, w drugiej połowie dziennikiem prowadzonym sporadycznie aż do końca wojny. Obie części są, jak się zdaje, redakcjami wtórnymi. W partii pamiętnikowej miesza się czas przeszły z teraźniejszym. W dzienniku zaznaczają się wkładki wyraźnie dodane później (np. cenna skądinąd charakterystyka Morstina).

Całość napisana jest stylem bezpretensjonalnym, ujmuje prostotą, naturalnością, płynnością. Tu i ówdzie zabrzmi ton samochwalstwa, gdy autor stwierdza, że „przewidział wojnę", gdy sam o sobie mówi, że „przyszła mu pewna zbawienna myśl", gdy zwłaszcza na początku nazywa aktorów Teatru Polskiego „swoimi" (bez cudzysłowu a dosyć feudalnie, w stylu: „moi chłopi" i „moi poddani"). W tym na wskroś rzeczowym, poza drobiazgami, sposobie ujęcia zdarzają się niespodziane błyski uśmiechu, delikatnej ironii, nawet humoru. Osiąga on też niekiedy przejmującą dramatyczność np. w opisie Teatru Polskiego opasanego morzem ognia. Przebija się w nim również ton powściągliwego męskiego liryzmu, jak w tej zapisce z 23 stycznia 1945: „Dla mnie wojna na razie skończona. Mogę ujawnić się i po czterech latach bezimienności wrócić nareszcie do mego nazwiska. Teraz mogę już swobodnie stąd iść — tylko gdzie? Warszawy nie ma, domu mego nie ma, żona nie żyje. Gorzka jest dla mnie radość wyzwolenia. Życie moje zostało uratowane, lecz czuję się osamotniony, a właściwie wyrzucony za burtę...".

„Moja tułaczka wojenna" Szyfmana jest rozdziałem jego autobiografii, jest świadectwem historycznym z rodzaju tych, które mówią nie o tzw. „wielkich" wydarzeniach, ale o drobnicy codziennego życia, składającej się na wielkość i małość, jest książką, którą się czyta tu i ówdzie nie bez sprzeciwu a zawsze z uwagą i zainteresowaniem.

Tymon TERLECKI

Obsesja socjologów

Kingsley Amis pisze w niedawno ogłoszonym eseju, że spostrzeżenie, iż obecność badacza oddziaływa na badane pole stało się już banalną prawdą. Gdy w niektórych polach badania — w astronomii na przykład — perturbacja wywołana przez badacza, może nie być wzięta pod uwagę, dziedzina socjologii jest bardziej wrażliwa.

Jest równie banalną prawdą, że być „zanalizowanym" stało się bardzo popularną rozrywką masową. Może się przeto łatwo zdarzyć, wskutek złośliwej ironii losu, że ci, którzy rzekomo są odpowiedzialni za odkrycie zjawiska „myślenia grupowego", okażą się współwinni powołania go do życia; podobnie — twierdzi Kingsley Amis — Marks (może raczej Adam Smith?) w równej mierze stworzył jak odkrył „człowieka gospodarczego"; podobnie Freud stworzył z neurozy fakt socjalny, badając ją jako objaw kliniczny.

Niewątpliwie na czoło tych specjalistów od „myślenia grupowego" wśród popularnych amerykańskich socjologów, jak Riesman, Whyte, Wright Mills, Spectorsky, wysuwa się na pierwszy plan Vance Packard, autor „Potajemnej Perswazji" („The Hidden Persuaders"), „Marnotrawców" („The Wastemakers") i „Obsesji rangi społecznej". („The Status Seekers"; tytuł francuskiego przekładu „Les Obsédes du Standing"), trzech wielkich bestsellerów amerykańskich. Jeśli na przykładzie tych książek zastanowić się nad słusznością tezy Kingsley Amis'a ma się wielką ochotę przyznać jej rację.

W „Obsesji rangi społecznej" Vance Packard wykazuje dużo ambicji i książce tej warto poświęcić szczególną uwagę, ponieważ jest ona charakterystyczna dla całego kierunku „popularnej" socjologii. Na łamach tej 300 stronicowej książki łatwej do czytania, czasem nawet zbyt łatwej, Vance Packard poucza nas, że cała nasza wiedza o Ameryce i Amerykanach jest fałszywa. Zdaniem Packarda, Ameryka nie jest demokracją i Amerykanie nie są demokratami.

Packard twierdzi, że mimo mitu o równości wszystkich w Ameryce jest coraz trudniej czyścicielowi butów stać się milionerem a właścicielowi sklepu z konfekcją męską w Missouri (jakim był Harry Truman) dostać się do Białego Domu. Jest to wysoce prawdopodobne. W drugiej połowie XIX wieku dla czyścicieli butów i właścicieli sklepów z koszulami męskimi, były w Ameryce szczególnie pomyślne możliwości do zrobienia kariery zarówno majątkowej jak politycznej. Te wyjątkowe warunki zwolna wygasały w pierwszej połowie naszego wieku, pozwalając tylko tu i ówdzie jednostkom na szybkie przebiegnięcie całej drabiny społecznej. Z natury rzeczy wyjątkowe warunki nie trwają w nieskończoność. Nie ma powodu do załamywania rąk z tego powodu, zwłaszcza że, jak Packard sam stwierdza, droga do zdobycia luksusowych samochodów i płaszczów z nurków jest otwarta dla coraz to większej ilości ludzi po prostu dlatego, że ogólny standard życiowy wzrasta w Stanach Zjedn. z dnia na dzień w szybszym tempie, osiągając poziom, o którym jeszcze kilkadziesiąt lat temu najśmielsi marzyciele nie mogli myśleć (suma dóbr i usług zaofiarowanych do konsumpcji wewnętrznej wyniosła w 1959 r. 500 miliardów dolarów).

Podstawową tezą książki Packarda jest spostrzeżenie, że gdy wysoki standard życiowy niweczy dawne różnice pomiędzy

warstwami społecznymi, jednocześnie wytwarzają się nowe standardy i nowe bariery.

Packard z pseudonaukową dokładnością omawia historie różnych wypadków, mających świadczyć, jak nie do przebycia są owe bariery i jak bezwzględne są nowe standardy.

Oto jeden przykład: Sławny dziś aktor hollywoodski, ujawnia swe plebejskie pochodzenie za każdym razem gdy siada na krześle: mianowicie podciąga spodnie, by nie zepsuć zaprasowanej fałdy. To jest nie do wybaczenia i aktor zamyka sobie karierę towarzyską. Oto inny z bardzo wielu przykładów: Szesnatoletni chłopiec został zaproszony na Bal Młodych, wydany przez miejscowy Yacht-Klub. Wzruszona tym wydarzeniem matka kupiła mu nowe granatowe ubranie. Biedny chłopiec spędził żałosny wieczór. Wszyscy prócz niego nosili stare spodnie i stare tweedowe marynarki. To był oficjalny klubowy ubiór.

Packard, powołując się na autorytet niejakiego pana Pierre Martineau, którego nazywa ,,być może najwyższym autorytetem w kraju w przedmiocie symbolicznego znaczenia automobili'' (zabawne jest jak socjologowie nowego chowu wzajemnie się komplementują), twierdzi np. że prawdziwie bogaci ludzie nie jeżdżą Cadillac'iem, lecz małym, niepozornym samochodem.

Są to wysubtelnione przykłady, jak wśród powszechnego bogactwa ludzie dokładają wysiłków by wynieść się ponad innych. Nie ma rzeczywiście powodu byśmy nie wierzyli Packardowi, że czynią to skutecznie i że ludzka przedsiębiorczość pokonała tu wszystkie trudności. Wszystko może służyć do podkreślenia ,,standingu'' tj. rangi społecznej — zawód, ubiór, samochód, dzielnica którą się zamieszkuje, dom... i tyle, tyle innych rzeczy. Książka Packarda obfituje w szereg pikantnych szczegółów w tym względzie.

Jeden z rodziałów książki nosi niepoważną nazwę ,,Socjologia Sex Appealu''. Wolno przypuszczać, że rozdział ten przyczynił się do wielkiego nakładu książki Packarda, ale trudno powiedzieć, czy autor zamieścił go właśnie w tym celu, czy chciał uszczknąć dla siebie listek z wieńca wawrzynowego nieboszczyka dra Kinseya. Jest to w każdym razie rozdział jak na książkę socjologiczną, bardzo frywolny. Pilny czytelnik dowie się z niego np., że mężczyźni ,,z wyższej sfery'' specjalnie interesują się piersiami kobiecymi, lub że mężczyźni i kobiety mają predylekcję do stosunków płciowych nago i przy niezgaszonym świetle. Są to niewątpliwie fakty ważne, lecz ponieważ nawet w naszych czasach ludzie nie afiszują się nimi w towarzystwie, wydaje się, że Packard daleko odbiegł od swego tematu. Nikt jeszcze, o ile mi wiadomo, nie szuka potwierdzania ,,statusu'' socjalnego dzięki swym upodobaniom sypialnianym.

Dużo łatwiej przyjdzie zgodzić się z autorem, że stosunek do Żydów wiąże się z problemem ,,rangi''.Motto w nagłówku tego rozdziału brzmi: ,,Czy Pan zna Levinsonów? My

ich bardzo lubimy. Oni są czarujący, ale to Żydzi, więc nie można ich zapraszać razem ze wszystkimi. (Pani domu, organizując przyjęcie w mieście w północno-wschodnich Stanach)''. Mimo niezbyt poważnego wrażenia, jakie sprawia to motto, daje ono dość wierny obraz problemu antysemityzmu w Stanach Zjednoczonych. A zatem Packard prawdopodobnie słusznie kładzie nacisk na ,,antysemityzm po 5-tej popołudniu'', to jest na antysemityzm w stosunkach towarzyskich. W małym sklepie, w drobnym handlu, w warsztacie, jest on mało odczuwalny. Można stąd dojść do wniosku, że tendencja do ciągłego, wszystko ogarniającego wzrostu organizacji nie jest korzystna dla Żydów. Jak wiadomo, organizacja pochłania ,,całego'' człowieka i kładzie wielki nacisk na to, by jej pracownicy byli lubiani i prowadzili ożywione życie towarzyskie. Socjolog C. Wright Mills w swym studium o ,,Ludziach w białych kołnierzykach'' przedstawił to najzwięźlej, pisząc: ,,Gdy ludzie w białych kołnierzykach otrzymują posady, sprzedają nie tylko swój czas i energię. Sprzedają za wynagrodzeniem tygodniowym lub miesięcznym swoje uśmiechy i swoje przyjazne gesty''. Dlatego Żydzi, którzy są upośledzeni w życiu towarzyskim, stają się bardzo *vulnérable* gdy chodzi o otrzymanie pracy w wielkiej organizacji, nawet gdy jej dyrekcja ma w zasadzie życzliwy do nich stosunek. Nie należy się więc dziwić, że niejaki pan Kelly, dyrektor wielkiej firmy, powiedział Packardowi: ,,Żydzi nie chcą pracować w wielkich organizacjach. Chcą się usamodzielnić. My otrzymujemy bardzo mało podań o pracę od Żydów''. Oczywiście powodem tej wstrzemięźliwości żydowskiej jest słuszna ocena małych szans na pomyślne załatwienie podań.

Sposób w jaki Packard przeprowadza badania, nie jest dość przekonywujący, ale problem dlaczego bezustanny wzrost wielkich korporacji pogarsza sytuację gospodarczą amerykańskiego Żyda, niewątpliwie zasługuje na dokładne zbadanie.

Najciekawszym rozdziałem książki jest rozdział pt. ,,Socjolog podgląda wnętrze skrzynki wyborczej'', może dlatego, że jest to właściwie obszerna dygresja na temat zupełnie inny niż obsesja szukania wyższej rangi socjalnej, którą zajmuje się reszta książki. Omawiany rozdział opisuje współczesną technikę wyborczą w Stanach Zjednoczonych.

Packard stwierdza, że sposób głosowania coraz bardziej jest determinowany troską o utrzymanie ,,standingu''. Ludzie głosują tak jak ich przyjaciele, sąsiedzi, spólnicy i koledzy biurowi. (,,Nastawienie na innych'' Riesman'a prześladuje nas wszędzie, jak ów duch wywołany przez czarnoksiężnika).

Najtrudniejszym więc problemem dla kandydata jest zdobycie grupy niezdecydowanych na jaką partię głosować w zgodzie ze swym ,,standingiem'' i pozycją socjalną. To tłumaczy dlaczego, według Packarda, coraz więcej ekspertów w naukach politycznych, dobrze wiedzących co jest dziś potrzebne by zostać wybranym, stawia swoje kandydatury na urzędy i zostają wybrani.

Niewątpliwie słuszna jest dalsza przesłanka, że obie partie — Demokraci i Republikanie — stają się coraz bardziej podobne do siebie w oczach głosującego. Wiąże się to z kompleksem zjawisk, które Packard nazywa „czynnikiem frustracji — nudy". Martwa równowaga zbrojeń atomowych jest głównie odpowiedzialna za element frustracji w tym kompleksie. Amerykańskie społeczeństwo i prasa uskarżają się na „wieczne niezdecydowanie na polu polityki zagranicznej". Amerykanie byli przyzwyczajeni do rozwiązywania przykrych sytuacji w sposób zdecydowany i szybki. Ponieważ to nie jest już możliwe, ludzie odpowiedzialni za amerykańską politykę zagraniczną, kimkolwiek by nie byli, mają wszelką szansę aby stać się kozłem ofiarnym, na którym skupi się niezadowolenie i irytacja obywateli. Rezultatem tego jest wzrastająca chęć „czystek" i tęsknota za „nowymi twarzami".

Tak więc „neutralni głosujący" (to znaczy ta decydująca c wyborach mniejszość, względem której status socjalny nie przesądza z góry przynależności partyjnej) wykazują tendencję głosowania na „twarze", które ich pociągają oraz przeciw partii, która dotychczas sprawowała administrację, o ile „twarze" są jednakowo pociągające.

Dokąd ten pościg za „pociągającymi twarzami" prowadzi, opowiada nam Packard, powołując się na gazety i periodyki o wielkiej popularności. Chodzi o to, że ze względu na głosujące kobiety, musi być wzięty pod uwagę *sex-appeal* kandydata (kandydaci ukazują się wciąż na ekranie telewizyjnym!). Magazyn „Life", dając komentarz o walnym zwycięstwie Demokratów w 1958 r., twierdził, że tak się stało dzięki młodzieńczemu wyglądowi i *sex-appeal*'owi ich kandydatów. „Life" pisze, że jeden ze zwycięzców demokratycznych wyglądał jak „grecki bóg słońca". „The New-York Times" napisał po wyborach z 1958 r., że zawodowi politycy zaczynają okazywać „prawie patologiczną fascynację" każdym kandydatem, który jest „dobry" w telewizji. A „News-Week" doniósł, że Biały Dom ma plan, jak zrekonstruować partię republikańską: „pokazać na telewizji jak najwięcej młodych, atrakcyjnie wyglądających dygnitarzy partyjnych".

Zakończymy sprawozdanie z tej politycznej dygresji Packarda jego powołaniem się na autorytet socjologa Wimmera, który — zdaniem Packarda — zdobył w Stanach Zjednoczonych reputację politycznego „cudotwórcy". Poglądy tego eksperta, dotyczące tendencji w polityce Stanów Zjednoczonych, są naprawdę pouczające. Stwierdza on, że nowy typ osobowości zdobywa sobie przodujące miejsce wśród młodych przywódców politycznych: „osobowość ta jest bardzo zimna i wyrachowana". Ci ludzie nie są płomiennymi, porywającymi wodzami... ale znakomitymi technikami". Czytając powyższe po wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych w r. 1960, gdy stało się komunałem twierdzenie, że Kennedy i Nixon są jako osobowości do siebie podobni i że są mistrzami-tech-

nikami w użyciu nowoczesnej propagandy i organizacji, dojść można by do wniosku, że socjologia stała się nauką ścisłą i że postulat pozytywizmu, *savoir — c'est prévoir*, spełnił się w odniesieniu do tej dyscypliny naukowej. W każdym razie Wimmer który prowadził dla Demokratów kampanię wyborczą o stanowisko gubernatora Winsconsin — znakomicie ją wygrał (kandydat był, jak trzeba, młodym, przystojnym ojcem rodziny).

Podobnie jak w dziedzinie techniki wyborczej, tak i w wielu innych problemach, które rozważa, Packard zadziwia nieraz trafnością sądu. Nie równoważy to zasadniczej wady jego książki, polegającej na tym, że wciąż stara się nas przekonać, że Stany Zjednoczone nie są społecznością bezklasową i że budowane dziś bariery klasowe są groźne dla przyszłości tego kraju. Wiadomo, że St. Zjedn. nie są społecznością bezklasową i wiadomo, że bariery klasowe istnieją i są zmienne. Że snobistyczna ekskluzywność stanowi jedną z najtrudniejszych barier klasowych i że jest często bardzo śmieszna, wiedział najlepiej stary Thorstein Veblen jeszcze w końcu ubiegłego stulecia poświęcając jej swą najwnikliwszą książkę. Zadziwiające jest, że w kraju gdzie ,,The Theory of the Leisure Class'' jest do dziś podstawową lekturą każdego ekonomisty i socjologa, Vance Packard mógł sobie zdobyć sławę odkrywcy nowych prawd.

Packard pisze swą książkę tak jakby dzisiejsza ,,obsesja rangi społecznej'' była najważniejszym zagadnieniem społecznym, co jest o tyle szkodliwe, że odwraca uwagę od faktów i zagadnień socjalnych dużo ważniejszych niż ukrócenie, w wielu wypadkach dość niewinnej, zabawy w snobizm. W dzisiejszych Stanach Zjednoczonych, tym pierwszym w dziejach świata ,,bogatym społeczeństwie'', mają miejsce olbrzymie przemiany społeczne i z dnia na dzień rodzą się nowe zagadnienia, związane z automatyzacją pracy, z niemożnością w niedalekiej przyszłości utrzymania zatrudnienia na obecnym poziomie, z coraz wzrastającym wolnym czasem, który nie wiadomo czym wypełnić, z koniecznością zmiany podstawowych pojęć moralnych, gdy przyjdzie powiedzieć ludziom, że gorliwość w pracy przestała być błogosławieństwem bożym.

Nie wspominając o nich, socjologowie typu Packarda, wprowadzają nas na błędny tor.

Henryk ZYLBERLAST

Nadesłane nowości wydawnicze

MIEROSZEWSKI (Juliusz). *Kehrt Deutschland in den Osten zurück?* Polen — Deutschland — Europa. Str. 111. (Wyd. Colloquium Verlag, Berlin, 1961, cena DM 6,80).

ŁOBODOWSKI (Józef) *Droga powrotna*. Str. 375. (Nakł. GRYF Publications, Ltd., Londyn, 1960.

Conférence Internationale sur la situation des Juifs en Union Soviétique. Str. 112. (Wyd. Secrétariat de la Conférence, Paris, 1960).

GRONOWICZ (Antoni). *Hitler's Woman*. Str. 174. (Belmont Books Edition, New York 1961, cena 0,35 cent.).

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *The Organisation of the Communist Camp*. Str. 175-209. (Odbitka z „World Politics, N° 2, Vol. XIII, styczeń, 1961).

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *The Challenge of Change in the Soviet Bloc*. Str. 14. Odbitka z „Foreign Affairs", Nr April 1961, New York).

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Communist Ideology and International Affairs*. Str. 266-291. (Odbitka z „Conflict Resolution", Vol. IV., N° 3, Wrzesień 1960).

ZIEJA (Jan, Ks.). *Zasady Życia Chrześcijańskiego*. Str. 288. (Tom XIII serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej". Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, styczeń 1961, cena 20 sh.).

LOWENTHAL (Richard). *Dialectique de la querelle sino-soviétique*. Str. 20. (Supplément de „Preuves" N° 122, Paryż, kwiecień 1961).

GOMBROWICZ (Witold) *Ferdydurke*. Translated by Eric Mosbacher. Str. 272. (Ed. Macgibbon & Kee, Londyn, 1961, cena 21 sh.).

Le Principe de la Légalité dans une Société Libre. Rapport sur les travaux du Congrès International de Juristes tenu à New Delhi (Janvier 1959). Str. 370. (Wyd. Commission Internationale des Juristes, Genewa, cena 10 NF.).

ROMANOWICZ (Zofia). *Le passage de la mer Rouge*. Str. 165. Przełożył z polskiego Georges Lisowski. (Wyd. Aux Editions du Seuil, Paryż, 1961, cena NF 6,50)

PANKOWSKI (M.). *La révolte de Bolesław Leśmian contre les limites*. Str. 289-318. (Extrait de „Annuaire de l'Institut de Philologie et d'Histoire Orientales et Slaves T. XV (1958-1960), Bruxelles, 1960).

WOJCIECHOWSKI (J.A.). *Philosophy in the Science Curriculum*. Str. 55-61. (Odbitka z „Culture", 1961 XXII, Quebec).

MICHALSKI (Konstanty, ks.) *Brat Albert*. Str. 208. (Tom XV serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej", nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, styczeń 1961, cena 15 sh.).

Archipenko fifty creative years 1908-1958, by Alexander ARCHIPENKO and fifty art historians. Wstęp Sviatoslawa Hordynsky'ego. Wydawnictwo formatu 22x31 cm. 109 stron tekstu i 292 plansz w tym 30 kolorowych. (Wyd. Tekhne, Inc. New York 1960).

Komunikaty

NAGRODY LITERACKIE

W dniu 4 maja 1961 odbyło się w Londynie zebranie jury nagród literackich Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W skład jury wchodzili z ramienia Związku: Stanisław Baliński, Władysław Günther, Tymon Terlecki, Wiesław Wohnout, Karol Zbyszewski — oraz w imieniu fundatorów nagród pp: Krystyn Ostrowski i Bohdan Podowski („Ognisko Polskie" w Londynie), Władysław Nadratowski (Samopomoc Marynarki Wojennej) i Paweł Hęciak (Koło A.K.). Przewodniczył Wiesław Woknout.

Przyznano następujące nagrody:

1. Nagrodę Związku Pisarzy — *Ignacemu Wieniewskiemu* za przekład Illiady; (50 gwinei, fundator — „Ognisko Polskie").

2. Nagrodę im. Herminii Naglerowej — *Józefowi Mackiewiczowi* za twórczość powieściową na emigracji; (50 funtów).

3. Nagrodę A.K. za utwór związany z walką podziemną — *Józefowi Garlińskiemu,* za książkę pt. „Dramat i Opatrzność"; (100 dolarów, fundator — Koło A.K. w Detroit).

4. Nagrodę młodych im. Stanisława Strońskiego — *Bolesławowi Sulikowi* za działalność w dziedzinie krytyki filmowej (25 funtów, fundator — Samopomoc Marynarki Wojennej).

Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się w Londynie w czerwcu br.



GŁOS Z ZIEMI ŚWIĘTEJ

Rodacy!

Nie po raz pierwszy zwracam się do Was, Drodzy Bracia Polacy, z gorącą prośbą o składanie ofiar na dokończenie prac odbudowy kaplicy III-ej i IV-ej Stacji, jako polskich sanktuariów w Ziemi świętej.

Apel mój trafił do wielu serc, a złożone ofiary dopomogły mi odbudować te dwa piękne starożytne pomniki na Bolesnej Drodze Chrystusowej w Jerozolimie. Pozostały jednak jeszcze do ostatecznego wykończenia kaplic następujące prace:

W kaplicy III-ej Stacji: *Wielki ołtarz* ze statuą I-go Upadku z białego marmuru karraryjskiego: *Obrazy a fresco* — „Droga na Kalwarię", „Każdy swój krzyż niesie", oraz *główne drzwi wejściowe* z brązu — co upoważnia mnie do ponownego jak najserdeczniejszego apelu do wszystkich czytelników pisma oraz do moich dawnych przyjaciół z prośbą o składanie darów.

Każdy Ofiarodawca oraz drogie mu osoby, obok pięknego pamiątkowego obrazka z fotografią i relikwią z kaplicy III-ej Stacji, jako dowód złożonej ofiary, będzie uczestniczył w codziennej modlitwie w czasie Mszy św. odprawianej w Bazylice Grobu Bożego.

Praca nad odbudową tych sanktuariów nabiera szczególniejsze znaczenie w związku z zbliżającym się TYSIĄCLECIA CHRZTU POLSKI.

Ofiary przesyłać można pod adresem Szanownej Redakcji, wzgl. bezpośrednio czekiem bankowym lub personalnym w liście poleconym (Registered) i lotniczym (Air Mail) pod adresem

Rev. Stephan Pietruszka
Dom Polski — Old City JERUSALEM — Jordan

Listy do Redakcji

Londyn, N.W.6. 20.I.1961

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jako jeden ze świadków wydarzeń z lat 1918-1919, o których mowa w artykule p. Mariana Romeyki „Pierwsze dni Niepodległości i zamach stanu. (Wspomnienia zamachowca)", ogłoszonym w „Kulturze" nr 12/158. z 1960, uprzejmie proszę Szanownego Pana Redaktora o ogłoszenie niniejszego listu.

Na podstawie znajomości ówczesnej sytuacji wydaje mi się, iż wspomnienia te są wiernym odtworzeniem opinii i poglądów tych kół społeczeństwa, z którymi wówczas stykał się Autor i z których informacji korzystał.

Przedstawia on więc opinię tylko *jednego* kierunku politycznego.

Czytelnik jednak dzisiaj winien mieć możność zapoznania się z innymi opiniami, by wytworzyć sobie obraz całości.

Dzięki Redakcji „Tygodnia Polskiego" i „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" (a mianowicie „Tydzień Polski" z dnia 14, 21 i 28.2; 14 i 28.3; 20 i 27.6; 3 i 18.7; 1, 8 i 22.8; 19.9 1959 oraz 18 i 30.1. 1960; „Dziennik Polski" 27.2. 1959. — Jeśli coś opuściłem, przepraszam) dość obszerny materiał został już ogłoszony. Pozostają jednak nowe ważne szczegóły, które pragnę uzupełnić.

Autorowi winniśmy wdzięczność za dokładność w podaniu argumentów, jakimi przedstawiciele tej akcji politycznej przekonywali młodych oficerów zaledwie organizującej się Armii Polskiej, której oddziały już walczyły z nieprzyjacielem, by ich namówić do zamachu na naczelne władze Rzeczypospolitej. Umożliwia nam to — poza oceną tego zjawiska od strony moralnej — porównanie obecnie ich argumentów z faktami i stwierdzenie, jak dalece były one niezgodne — z prawdą.

A więc zebranie konspiracyjne w lokalu przy ul. Żurawiej.

Już sam adres wskazuje, kto był mówcą generalnym, który przedstawiał sytuację. Był nim więc dr Dymowski, członek kierownictwa zamachu, który znał wszystkie szczegóły zamierzonej akcji, lub też jeden z jego współpracowników według jego dyrektyw.

Pomijam takie argumenty, że „Piłsudski znalazł się w sidłach socjalistów... sam jest bezsilny... potrzebuje pomocy..." itd.

„Całe wojsko jest po naszej stronie" twierdzi mówca. Czyżby i 36 pp., złożony prawie wyłącznie z dawnych POW-iaków, będący pod dowództwem mjr. Zygmunta Bobrowskiego, uprzednio oficera I. Brygady, lub szwadron 5 p. ul., będący pod dowództwem rtm. Janusza Głuchowskiego (z pułku Beliny z I. Brygady Legionów, obecnie gen. bryg.) lub batalion por Moniuszki (obecnie płk.) z 21 pp., albo batalion wartowniczy, który likwidował zamach. Obaj dcy: rtm. Głuchowski i por. Moniuszko zgłosili się w czasie zamachu u Naczelnego Wodza w Belwederze. Pisze o tym marsz. Miedziński w swych artykułach i listach w „Tygodniu Polskim".

„Jedynym bardzo poważnym przeciwnikiem jest Milicja Ludowa" — twierdzi dalej mówca. Słuchacze, młodsi oficerowie, są już częściowo przygotowani przez propagandę. Mówca więc nie potrzebuje podawać szczegółów, co mu jest bardzo na rękę. Bo przecież wie, iż zastępcą kierownika zamachu jest mjr. Hellman, który tak samo, jak kpt. Boerner, komendant Milicji Ludowej jest rewolucjonistą z 1905 r. Wie również, że Milicja Ludowa powstała jako przeciwwaga dla rozmaitych „Straży Narodowych" opozycji, a dobrą organizację swą zawdzięcza swoim dobrym oficerom, których „Straże" nie miały. Wyposażenie należało do resortu ministra Spr. Wojsk., płk. Wroczyńskiego (dowborczyk). Milicja Ludowa nie podlegała dowództwu wojskowemu, nie salutowała oficerów, miała inne odznaki na umundurowaniu niż wojsko itd. gdyż nie była formacją wojskową podobnie jak Warszawska Milicja Miejska (będąca częścią policji państwowej, która się właśnie tworzyła) lub Straż Kolejowa (komendant, jeden z działaczy „Sckoła" dzielnicy mazowieckiej), albo — „Straż Narodowa", która była „wojskiem" prywatnym partyjnym prawicowej opozycji podczas gdy tamte formacje podlegały władzom państwowym (resortowym ministrom), i spełniały swe zadania w służbie bezpieczeństwa publicznego jako organa państwowe.

O tym wszystkim wiedział ten mówca.

Wzajemne tytułowanie się w Milicji Ludowej per „obywatelu" — to kontynuacja zwyczaju z Powstania 1863 r., która została przejęta przez Związek Strzelecki (Strzelca) przed 1914 r., a potem przez I. Brygadę Legionów.

O tym mówca, a przynajmniej jego przywódca, winien był wiedzieć. W przeciwnym wypadku mógł się był o tym dowiedzieć choćby od swego przyjaciela partyjnego, red. Stanisława Strońskiego, którego rodzina mieszkała w Nisku na trasie konspiracyjnego szlaku Powstania Styczniowego.

Milicja Ludowa była wrogo ustosunkowana do wojska — głosiła to ówczesna propaganda opozycji. Oto przykład: Na wiosnę 1919 r. całe bataliony Milicji Ludowej odchodziły do oddziałów wojska na froncie (każdy oficer i szeregowy Milicji Ludowej zgłaszał się indywidualnie na ochotnika). Jeden z tych batalionów przejeżdżał przez Siedlce do grupy operacyjnej gen. Listowskiego (Terespol). Byłem wtedy p.o. komendanta okręgu wojskowego Siedlce. Mogłem obserwować zorganizowaną akcję: przez szereg godzin alarmowano wszystkie władze na trasie tego transportu, ostrzegając przed wszelkiego rodzaju przestępstwami, jakie żołnierze tego transportu mogą rzekomo popełnić i żądając silnego wojskowego kordonu dla obstawienia stacji. Tego samego zażądał ode mnie miejscowy starosta powiatowy. Posłałem na stację — siebie i nikogo więcej. Mogłem się przekonać o wzorowej dyscyplinie tego batalionu. Później od gen. Listowskiego (oficer pochodzący z jednego z korpusów wschodnich) usłyszałem jak najlepszą opinię o tym oddziale.

Natomiast nie słyszałem, by cały oddział „Straży Narodowej" zgłosił się ochotniczo do wojska. Trzeba jednak zanotować inne wydarzenie: Wobec odmowy „Straży Narodowej" oddział wojska (pluton z 36 pp.) wymusił — na żądanie władz administracji ogólnej — uwolnienie pałacu Staszica

w Warszawie. Oddział „Straży Narodowej", zajmujący ten pałac, bronił się (granaty ręczne i ogień karabinowy). Wojsko nie użyło broni palnej. Strat w ludziach nie było.

Takie ujęcie sprawy, jak na str. 85 wspomnień: „Warszawa zmieniła swój stosunek do legionistów od r. 1916, gdy do Warszawy, wraz z „socjałkami" I brygady wkroczyli inni legioniści, bardziej „konserwatywni" z II brygady Hallera" — zaprowadziło informatorów Autora i jego samego na manowce. Nic dziwnego, że nie rozumieli legionistów. Albowiem wtedy problemem było: współpraca z Niemcami, czy nie. Właściwie nikt w Polsce nie chciał współpracy z Niemcami; była jednak grupa, nie mająca zresztą większego zasięgu, która uważała, że za wszelką cenę należy stworzyć silne wojsko, by potem, gdy przyjdzie chwila rozstrzygająca, mieć w ręce argument siły. Tym przewodził płk. Władysław Sikorski. Natomiast komendant I. Brygady Legionów, Józef Piłsudski współpracę z Niemcami odrzucał i dlatego wraz z szefem sztabu płk. Sosnkowskim został przez Niemców uwięziony, a cztery piąte oddziałów legionowych odmówiło złożenia przysięgi na braterstwo broni z Niemcami i zostało internowane przez Niemców. Do pozostałych (jedna piąta) należał 3 pp., który należał do II Brygady płk. Hallera. Tylko ten pułk z II Brygady wkroczył do Warszawy (16.12.1916) i przebywał tam przez ok. 7 miesięcy. To, ci bardziej konserwatywni, według określenia wspomnień.

Dla ścisłości historycznej należy przypomnieć o tej serdecznej manifestacji, jaką legionistom urządzili uczestnicy pochodu 3 Maja w 1916 r. Wtedy przemówiła Warszawa.

Również konieczne jest sprostowanie informacji, dotyczących Kieleckiego.

Jako adiutant batalionu wymaszerowałem z Krakowa 8.8.1914. Przez Krzeszowice — Racławice — Miechów, po paru potyczkach z nieprzyjacielem, przybyliśmy do Kielc — stale marszem pieszym. Byliśmy wszędzie witani serdecznie przez ludność i obficie goszczeni po drodze mimo iż wycofujące się władze rosyjskie groziły za to represjami. Groźby te dotyczyły tylko nas, Strzelców J. Piłsudskiego, a nie armii austriackiej. Miechów powitał nas pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła".

W Kielcach zostałem wyznaczony na dowódcę batalionu kieleckiego, nazwanego tak, gdyż składał się z ochotników z Kielc i Kieleckiego. Stan liczbowy jego: 800.

Mimo woli narzuca się pytanie, ilu ochotników zgłosiło się dzięki wejściu do Warszawy 3 pp, który zresztą pozostawał tam przez ok. 7 miesięcy?

Mogę odpowiedzieć: jednostki tylko. Miałem bowiem wtedy wszelkie możliwości, by wiedzieć, jako odkomenderowany do szkolenia wojskowego w organizacjach cywilno-wojskowych przez te same 7 miesięcy.

W czasie marszu oficer żywnościowy batalionu płacił początkowo gotówką, a potem kwitami rekwizycyjnymi tak, jak we wszystkich oddziałach wojskowych w czasie wojny. W Kielcach było tak samo. Reklamacji ani zażaleń czy skarg ze strony ludności nie było. Zresztą stosunki nasze z ludnością przez cały czas były serdeczne. Najlepszym dowodem — to tych 800 ochotników w moim batalionie. To była pierwsza „reprezentacja" Kieleckiego!

Fakt, iż Autor w akcji rozbrajania Niemców nie spostrzegł P.O.W., wskazuje, jak luźne były stosunki Autora z mieszkańcami Warszawy, tak bardzo związanymi z wielotysięczną organizacją P.O.W. Wskazówką, jak liczną była P.O.W. w Warszawie, może być, iż w lipcu 1917 r. sama tylko Szkoła Podchorążych (czyli szkoła oficerska) liczyła ok. 600 podchorążych POW, słuchaczy. (Wykładałem w tej szkole).

Zdziwiło mnie opowiadanie o Inspektoracie P.S.Z., Krakowskie Przedmieście 36 w Warszawie; ja też musiałem prosić o przyjęcie, gdy powróciłem z Włoch po Huszt. Spotkałem się tam z serdecznością i gotowością udzielenia pomocy, której — w odróżnieniu od Autora — potrzebowałem, gdyż pochodziłem z krakowskiego. By być przyjęty, „musiałem urodzić się" na terenie Królestwa. W 24 godzin moja sprawa została załatwiona.

I jeszcze jeden ważny szczegół, pominięty przez wszystkich informatorów Autora i na tym zebraniu konspiracyjnym i w rozmowach prywatnych: Premier Moraczewski, na którego przygotowywano zamach, był jednym z niewielu, którzy cierpieli za swoje negatywne stanowisko w stosunku do współpracy z Niemcami i za swoją po tej linii akcję. W lecie 1917 r. wytoczono mu sprawę przed sądem polowym jako porucznikowi Legionów (I. Brygada). Został wydany rozkaz aresztowania go. I tylko nietykalność poselska jako członka parlamentu w Wiedniu osłoniła go.

A teraz sprawa szkół:

Ze Szkoły Podoficerskiej jedna kompania por. Wiesława Januszajtisa pod pozorem ćwiczeń nocnych została przez swego dowódcę przyprowadzona pod Komendę Miasta, nie poinformowana o celu tej wyprawy. Była to prawdopodobnie ta kompania, o której wspomina Autor, a nie kompania 22 pp., który formował się wtedy w Siedlcach, a jeden jego batalion był już w grupie gen. Listowskiego (Terespol).

Szkoła Podchorążych — jak w moim liście do Redakcji „Tygodnia Polskiego", ogłoszonym 18.1.1960, gdzie podałem listę wydarzeń w ciągu tych krytycznych godzin. Szkoła Podchorążych nie należała do zamachu, lecz przeciwnie pełniąc swą służbę ochraniała Belweder zgodnie z instrukcją alarmową Komendy Miasta z grudnia 1918 r.

Do tego listu konieczne jest dodanie teraz tego ustępu, który na żądanie Redakcji „Tygodnia Polskiego", by nie przedłużać dyskusji zgodziłem się skreślić. Ustęp ten brzmiał:

„Na podstawie obserwacji wydarzeń tej nocy doszliśmy w Szkole Podchorążych do wniosku, iż zamach był skierowany przeciwko Rzadowi, a nie przeciwko Naczelnikowi Państwa. Napad na Belweder, czy misja dwóch „pułkowników" były tak niecelowo zaprojektowane i wykonane, iż nie mogły, jak sądziliśmy, być wynikiem rozkazu płk. Januszajtisa (długoletniego dowódcy pułku w czasie wojny na froncie, a przed wojną 1914 r wieloletniego działacza niepodległościowego, komendanta głównego Drużyn Strzeleckich), ani mjr Hellmana (rewolucjonisty 1905 r.). atoNmiast widzieliśmy w tym „rękę cywilną" dr. Dymowskiego.

Skąd dr Dymowski miał wiadomości, że Szkoła Podchorążych stanie po stronie zamachu, można się jedynie domyślać: tym informatorem mógł np. być ppor. Bolesław Zawadzki, którego brat był w kierownictwie zamachu. To były jednak „nadzieje" bezpodstawne; w Szkole Podchorążych bowiem nie było fermentu na tle politycznym, o którym wspomina w swej relacji p. gen. Januszajtis. Znaczny procent podchorążych (uczniów szkoły) stanowili podoficerowie legionowi z cenzusem oraz ochotnicy, byli członkowie POW; oficerowie z Legionów, także i z I. Brygady".

Te części artykułu prof. Kukiela („Tydzień Polski" z 30.I. 1960), które dotyczą wydarzeń ze stycznia 1919 r., wnoszą bardzo ważne i nowe dane. Mianowicie:

1. Ppłk Kukiel „od dawna" wiedział, że „zamach wisi w powietrzu", że są w nim jego „starzy towarzysze broni". „Nie byłem wtajemniczony" — pisze. Nocy krytycznej otrzymał ważne informacje o rozpoczęciu akcji i o składzie osobowym kierownictwa zamachu. Nie zawiadomił o tym przełożonych, nie poinformował swoich podkomendnych, także i mnie, który po mjr. Hellmanie byłem najstarszym oficerem w Szkole, a — co najważ-

niejsze — w czasie samego zamachu nie przekazał tych wiadomości Adiutanturze Generalnej w Belwederze.

2. W czasie rozmowy telefonicznej z mjr. Hellmanem zamiast wezwać swego zastępcę do wykonania jego żołnierskiego obowiązku ppłk. Kukiel pertraktuje z nim co do kompanii zamachowych i w rezultacie ma zamiar odesłać je z powrotem... Na szczęście kompanie te nie przyszły. Gdyby przyszły zostałyby — po rozbrojeniu — zatrzymane, podobnie, jak ten oddział „Straży Narodowej" o godz. 2 rano (jak w moim liście). — Mimowoli nasuwa się pytanie, jak to się stało, że taki dobry żołnierz, jak mjr. Hellman, uważał za możliwe zawiadomienie ppłk. Kukiela o zamachu i wysłaniu zamachowych kompanii „dla zabezpieczenia Belwederu".

Powyższe dane są tak poważne, że można opuścić resztę szczegółów, podanych w tym artykule. Kierownictwo zamachu bowiem — jak wynika ze wspomnień gen. Januszajtisa — chciało przez zaalarmowanie Szkoły Podchorążych unieruchomić *całą* Szkołę pod Belwederem. Gdyby o godz. 2 po północy była nam znana sytuacja, dla ochrony Belwederu wystarczyłaby jedna kompania podchorążych (poradziłaby sobie nawet z tymi 2-3 kompaniami zamachowymi, gdyby się one zmaterializowały), a reszta Szkoły mogła być użyta n.p. pod Komendą Miasta. Wtedy zamach byłby zlikwidowany już około godz. 3 rano.

Brak więc u nas, pod Belwederem, tych wiadomości około godz. 2 rano miał kapitalne znaczenie. Była to okoliczność bardzo korzystna dla kierownictwa zamachu.

Co do innych szczegółów z tego artykułu:

Przy spotkaniu przełożonego musiałem — zgodnie z regulaminem — zameldować stan faktyczny, a więc, że Szkoła Podchorążych została zaalarmowana i w jakich okolicznościach, że w zastępstwie ja nią dowodzę, i że za chwilę alarm będzie odwołany i że oddaję p. ppłk. Kukielowi komendę Szkoły — właśnie dlatego, że było już „po wszystkim". Gdyby bowiem alarm nie był jeszcze odwołany, nie mógłbym tego uczynić w ówczesnej sytuacji.

O godz. 7 rano nie było powodu ani do „emocji" ani do „przemęczenia" i nic się już nie mogło „pomylić"; znaliśmy już wtedy sytuację, podaną mi przez gen. Szeptyckiego (jak w moim liście). Nie było nikogo, komu „mistyfikacja" taka była potrzebna. Dowodzenia przez dwóch dowódców jednym batalionem równocześnie — trudno sobie wyobrazić.

Oficerem, który w towarzystwie drugiego młodszego oficera przyjechał samochodem, a przedstawił się mnie jako „płk. Żółtowski", był, jak stwierdza Autor wspomnień, kpt. Wężyk, który tę misię aresztowania Naczelnika Państwa otrzymał na Żurawiej, a nie od płk. Januszajtisa, który był przekonany, że kpt. Wężyk dowodzi baterią artylerii polowej, wycelowaną w Belweder. Wspomniany w artykule prof. Kukiela „płk. Żółkiewski", mnie nieznany, może był więc jeszcze jednym więcej z zamachowców.

Jeszcze raz z całym naciskiem muszę podkreślić, że w ciągu tych kilku krytycznych godzin byłem kilkakrotnie w Belwederze, mniej więcej co pół godziny; nastrój tam był pogodny, bez śladu zdenerwowania. Nie tylko nie żądano żadnego wzmocnienia osłony czy ubezpieczenia, ale wnioski moje odrzucono. Zgłaszający się dowódcy (szwadron 5 p. uł. i batalion II 21 pp.) zostali skierowani przez Naczelnego Wodza do wykonania innych zadań lub odesłani do koszar. — Płk. Fabrycego ani w Belwederze ani w Szkole Podchorążych nie widziałem. Inspektorem szkół wówczas był płk. Berbecki, który był naszym przełożonym.

O nastrojach w Belwederze pisze marsz. Miedziński, podając oświadczenia gen. Głuchowskiego i płk. Moniuszki.

Fakty zaprzeczają, jakoby — jak przypuszcza Autor — był to zamach „na rozkaz". „Przeszedł podówczas bez echa", gdyż taka była decyzja Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. Pisze o tym marsz. Miedziński.

Oprócz wymienionych przez Autora — płk. Jaźwiński awansował na generała, a mjr Hellman i kpt. Wężyk — na podpułkowników. Gen. Januszajtis długo dowodził dywizją piechoty.

Łączę wyrazy poważania.

K. FLOREK, ppłk. dypl.

◆

Londyn, 10.4.1961

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

We wstępie swego listu w nr. 4/162 „Kultury", p. Bolesław Pomian-Piątkowski pisze, że gen. Zając w artykule o przygotowaniach naszych do wojny „wykazał niestety całą swoją nieznajomość spraw lotniczych, za które był przecież odpowiedzialny". Autor listu wykazał niestety nieznajomość historii lotnictwa wojskowego i powiązań taktyczno-technicznych.

Do marca 1939 r. odpowiedzialność za stan lotnictwa i przygotowanie do wojny ponosili: Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, Szef Sztabu Głównego, Minister Spraw Wojskowych i Dowódca Lotnictwa M.S. Wojsk; ten ostatni, jako wykonawca wytycznych trzech pierwszych, miał łącznie osiem władz, które w różny sposób mieszały się do spraw lotniczych. Pisze o tym w swej książce gen. Rayski. Ten chaos organizacyjno-kompetencyjny, stwierdzony również w opracowaniu komisji historycznej lotnictwa (Londyn, 1947 r.), trwał do samej mobilizacji w sierpniu 1939 r. Gen. Zając jako Inspektor Obrony Powietrznej Państwa miał początkowo tylko uprawnienie do inspekcjonowania trzech pułków lotniczych; nie wiązała się z tym żadna odpowiedzialność za sprawy lotnicze. Gdy uprawnienia gen. Zająca w stosunku do lotnictwa zostały bliżej określone i zwiększone, proponował on trzykrotnie stworzenie jednej centralnej władzy odpowiedzialnej za sprawy lotnicze. Spotkał się ze stanowczą odmową, podobnie jak gen. Rayski w poprzednich latach. Dopiero na czas wojny został gen. Zając dowódcą naczelnym lotnictwa i od tej chwili ponosił odpowiedzialność za dowodzenie lotnictwem; za użycie lotnictwa odpowiadał Naczelny Wódz, który przed wojną wydał wytyczne użycia lotnictwa.

Określenie „sprawy lotnicze" jest ogólnikowe i w powszechnym zrozumieniu oznacza całokształt spraw lotnictwa jako części sił zbrojnych, a więc organizację lotnictwa, jego wyposażenie i przygotowanie do wojny. Gen. Zając został inspektorem trzech pułków lotniczych w 1936 r., a uprawnienia większe otrzymał w 1937 r. Nie miał żadnego głosu w sprawie organizacji lotnictwa do 1939 r., nie miał żadnego wpływu na jego wyposażenie i na przygotowanie do wojny.

Lotnictwa nie przygotowuje się do wojny w ciągu sześciu miesięcy, a tyle czasu mieli generałowie: Zając, Ujejski i śp. Kalkus od marca 1939 r. po odejściu gen. Rayskiego ze stanowiska dowódcy lotnictwa.

Tak zwana w historii paniczna rozbudowa R.A.F. (*the panic expansion of the Royal Air Force*) zapoczątkowana została wiosną 1934 r., lecz gdy latem 1940 r. całość naszego lotnictwa znalazła się na wyspie, było jeszcze daleko do zakończenia realizacji planu rozbudowy R.A.F. Lotnictwo bombowe miało połowę planowanych dywizjonów, a *cały jego sprzęt był przesta-*

rzały. Lotnictwo myśliwskie miało 42 dywizjony zdolne do działań, za miast 52, lecz w jednostkach brak było do pełnego etatu dwustu pilotów. Wielkie znaczenie stu polskich pilotów w *Battle of Britain* leżało głównie w tym, że wypełnili luki w przerzedzonych po krótkiej kampanii francuskiej szeregach *Fighter Command*. Zapas samolotów był bardzo mały, produkcja Hurricane'ów wynosiła zaledwie cztery dziennie, co wystarczało z biedą na pokrycie strat. O tym stanie lotnictwa pisze Churchill, pisze Lord Beaverbrook (minister produkcji lotniczej), wspomina marszałek Dowding w swym raporcie o bitwie. Natomiast p. Pomian-Piątkowski twierdzi, że w Anglii ,,przygotowywano drugie samoloty''. Starano się, lecz do lata 1940 r. nie zdołano tego zrobić. Nasze dywizjony myśliwskie 306 i 308 czekały na samoloty i dlatego opóźniło się ich wejście do działań.

Skoro W. Brytania nie zdołała przygotować lotnictwa w pełni do wojny w ciągu sześciu lat, nie można dziwić się że Polska nie zrobiła tego w ciągu dwóch lat (plan rozbudowy został zatwierdzony wiosną 1937 r.).

I my nie posiadaliśmy zapasu samolotów; potwierdza to gen. Rayski w swej książce. Było 10 Karasi i 6 P-11. Oczywiście gen. Zając za to nie może odpowiadać. Dowódca Lotnictwa M.S. Wojsk wychodził z założenia, że magazynowanie samolotów przestarzałych typów było niecelowe i nieekonomiczne, a ponieważ władze przełożone — na równi z politykami wszystkich państw — nie spodziewały się wybuchu wojny przed wiosną 1941 r., przeto dowódca lotnictwa liczył na nowoczesny sprzęt, który miał wychodzić z wytwórni od jesieni 1939 r. do wiosny 1941 r. To właśnie liczenie na JASTRZĘBIA było główną przyczyną lub usprawiedliwieniem faktu sprzedawania do połowy 1938 r. doskonałych płatowców P-24 (szybszych o sto kilometrów i znacznie lepiej uzbrojonych od P-11); trudności zakupu silników były w latach 1936/37 możliwe do pokonania, a skoro nie było próby kupienia silników dla P-24 — nie wypada twierdzić, że było to niemożliwe. Stąd opinia p. Pomiana-Piątkowskiego, że zdanie wypowiedziane w tej sprawie przez gen. Zająca jest ,,demagogiczne'', wydaje się być nieprzemyślana.

Autor listu określa zarzut braku podwójnych sterów Łosia jako ,,zupełnie pozbawiony podstaw'', po czym dodaje: ,,Samoloty: Blenheim, Boston, Mosquito, Beaufighter odrobiły całą wojnę bez podwójnych sterów''. Czytelnikom nie znającym tych samolotów bliżej, a tylko z samych nazw, twierdzenie to może wydawać się poważnym argumentem, a tym samym jeszcze jednym dowodem ,,ignorancji'' gen. Zająca w sprawach lotniczych. W rzeczywistości jest to bardzo słaby argument, a częściowo po prostu nonsens, dlatego mianowicie, że ŁOŚ różnił się zasadniczo od wymienionych czterech samolotów pod względem założeń taktyczno-konstrukcyjnych.

BEAUFIGHTER był dwumiejscowym samolotem nocnym-*myśliwskim*. Kabina pilota była między silnikami, kabina nawigatora w tylnej części kadłuba, blisko ogona. Nie było więc dla kogo robić podwójnych sterów. Beaufighter był w linii dwa lata, wczesną wiosną 1943 r. wycofano go, aczkolwiek był używany operacyjnie jeszcze później na Dalekim Wschodzie (Japończycy nazywali go *the whispering death*). Był trudny w pilotażu i miał wadę powodującą skręcanie przy starcie i lądowaniu.

MOSQUITO był w trzech wersjach: nocny-myśliwski, bombowy (oraz myśliwsko-bombowy) i rozpoznawczy; różnice były tylko w uzbrojeniu i wyposażeniu w specjalny sprzęt. Samolot dwumiejscowy, w kabinie między silnikami siedzieli obok siebie pilot i nawigator. Założenie taktyczne tego samolotu wymagało dużej szybkości i zwrotności, co miało pozwolić w wersji bombowej na loty bez uzbrojenia zaczepnego (tylko bomby), a w wersji myśliwskiej na prowadzenie walki powietrznej. Oba warunki zostały spełnione doskonale. Słusznie nazwano Mosquito w świecie anglo-

saskim *the wooden wonder* — drewniane cudo. Rzecz jasna że nie było problemu podwójnych sterów dla tego typu samolotu.

A więc porównywanie Łosia z tymi dwoma samolotami na tle sprawy podwójnych sterów jest nonsensem.

BLENHEIM był brytyjską realizacją chybionej koncepcji uniwersalnego samolotu, której hołdowali przede wszystkim Francuzi. Wybuch wojny zastał Blenheimy w trzech rodzajach lotnictwa: *Bomber, Fighter* i *Coastal Command*. Jako bombowiec średni i samolot współdziałający z marynarką wojenną Blenheim miał załogę złożoną z 3 ludzi, jako nocny myśliwski miał załogę złożoną z pilota i radionawigatora. Stosunkowo lekki i łatwy w pilotażu, mający zapas paliwa na 3 do 4 godzin, nie nasuwał nikomu myśli o podwójnych sterach. Jako dzienny bombowiec Blenheim skończył się po kampanii francuskiej, w której dywizjony tych samolotów ponosiły niebywale duże straty, np. z wyprawy 24 samolotów na bombardowanie mostów wrócił jeden. (Przykład ten, mówiąc nawiasem, rzuca ciekawe światło na twierdzenie autora listu o ignorancji gen. Zająca w sprawie bombardowania mostów. Okazuje się, że w drugiej połowie 1940 r. wodzowie R.A.F. wykazali podobną ignorancję — mimo znajomości doświadczeń hiszpańskich — próbując zniszczyć mosty zwykłymi bombami 250 lbs, a więc odpowiednikami naszych stukilogramowówek. Gen. Zając w swcim artykule nie popisuje się obecnymi wiadomościami, lecz szczerze przedstawia ówczesne próby i rozumowanie. Doświadczenia i nauki, o których pisze p. Pomian-Piątkowski, przyszły kilka lat później). Po klęsce francuskiej Blenheim był używany głównie w nocy, a w 1943 r. wycofano go z linii.

Na tych trzech samolotach latałem, natomiast BOSTON znany mi jest tylko z literatury służbowej. Był to samolot amerykański zamówiony przez Francję; po klęsce Francji kontrakt przejęła W. Brytania. Były również dwie wersje tego samolotu: bombowa i nocno-myśliwska; jako myśliwiec ten sam samolot nazywał się jednak — HAVOC. Załoga była 3 względnie 2 ludzi. Problem podwójnych sterów i dwóch pilotów nie pojawił się w rozważaniach taktyczno-technicznych z tych samych zapewne względów co przy Blenheimie.

W przeciwieństwie do tych czterech samolotów nasz ŁOŚ był w założeniu taktycznym i w konstrukcji *czystym bombowcem*, według ówczesnych poglądów średnim, a w rzeczywistości ciężkim, gdyż w latach 1937/39 nie było w linii czterosilnikowych bombowców, a inne dwusilnikowe nie miały znacznie większego udźwigu bomb od Łosia; wyjątek stanowił doświadczalny dywizjon amerykańskich samolotów FORTECA *I* (*Flying Fortress* I). Angielskim odpowiednikiem Łosia był WELLINGTON, który to typ samolotu nasze dywizjony 300 i 301 dostały w grudniu 1940 r. w miejsce *Fairey Battle*. Autor listu pisze, że ,,każdy lotnik który latał na Łosiu, a następnie na *Fairey Battle* uważa, że Łoś był o niebo lepszą maszyną". O tym wiedziano przed wojną, nikt też nie porównywał Łosia z samolotem *Fairey Battle*, gdyż był to samolot *jednosilnikowy*. Odpowiednikiem *Fairey Battle*'a był oczywiście nasz KARAŚ i z nim też robiono słusznie porównania. O ile się nie mylę zdania były raczej podzielone, w każdym razie panowała zgodna opinia co do tego, że oba samoloty były niewiele warte.

WELLINGTON, angielski odpowiednik ŁOSIA, nie miał dwusteru, ale w załodze było dwóch pilotów. Zasady dwóch pilotów przestrzegano skrupulatnie do połowy 1943 r., gdy oszczędność w związku ze stratami była wskazana, a nowe samoloty były stosunkowo łatwiejsze (mniej wyczerpujące fizycznie) w prowadzeniu. Dywizjony Wellingtonów, między nimi nasze 300, 301, 304 i 305 (ten do połowy 1943 r. bo później miał Mosquita), miały wiele sposobności do błogosławienia zasady wożenia na

loty bojowe dwóch pilotów na Wellingtonach. Ranny lub zmęczony pilot ustępował miejsca drugiemu, a gdy pilot prowadzący został zabity, drugi pilot ratował samolot i załogę. Bez względu na stopień i starszeństwo każdy pilot musiał najpierw wykonać kilka lotów jako 'drugi pilot'. W charakterze drugiego pilota zginęli między innymi płk. Bolesław Stachoń i ppłk. Stanisław Skarżyński, zdobywca Atlantyku. Tego rodzaju właśnie przesłanki kierowały niektórymi naszymi bombowcami w Warszawie przed wojną gdy uważali, że przydałyby się podwójne stery na Łosiu.

Nie był to więc ani wymysł gen. Zająca, ani niczyja ignorancja. Moim zdaniem podwójne stery nie były potrzebne Łosiowi, a to dlatego że wytyczne użycia brygady bombowej i już przed jej powstaniem lotnictwa bombowego w ogóle, przewidywały bombardowanie celów jedynie na polu bitwy i wyłącznie na terenie Polski. Odpadał więc główny motyw — zmęczenie pilota — gdyż loty siłą rzeczy mogły trwać od 2 do 3 godzin, podczas gdy loty na Wellingtonach miały w założeniu trwać około 6, co też w rzeczywistości było.

Naturalnie że samoloty *Fairey Battle* miały być zapasem dla eskadr Karasi, a wstrzymanie, a raczej ograniczenie produkcji Łosi nie miało nic z tym wspólnego. Szefem misji zakupów zagranicznych był fachowiec, gen. Rayski, więc można przypuszczać, że znał wartość *Fairey Battle*. Istota rzeczy leży w tym, że Anglicy nie mieli nic lepszego do odstąpienia nam, a na pociechę ofiarowali *trzy* Hurricane'y.

P. Pomian-Piątkowski zakończył tyradę o ,,koronie ignorancji" zdaniem: ,,Na szczęście w Anglii przygotowywano nie 'drugie załogi', lecz 'drugie samoloty' ". Zobaczmy jak ten slogan wyglądał w życiu.

Wyjaśniłem już, że w 1940 roku nie tylko nie było drugich samolotów, ale nie było nawet pierwszych. Po *Battle of Britain*, głównie dzięki *lend-lease act*, pomocy amerykańskiej, przemysł brytyjski rozkręcił się na dobre i poprawiła się sprawa zaopatrywania w samoloty. Jednak i w późniejszych okresach zdarzały się przejściowe i bardzo przykre braki pewnych typów samolotów. Gen. Sikorski otrzymał w początkach 1943 r. przyrzeczenie prezydenta Roosevelta, że nasz 301 dywizjon (ściśle mówiąc eskadra 1586) otrzyma wprost z wytwórni 12 Liberatorów po ich odpowiednim przerobieniu; potrzebne były dla lotów do Polski. Po powrocie do Anglii gen. Sikorski został poinformowany grzecznie, ale stanowczo, że rząd brytyjski niestety nie może zgodzić się na oddanie Polakom dwunastu Liberatorów z pominięciem normalnej drogi *lend-lease* — wobec braku Liberatorów w jednostkach R.A.F. Trzeba więc było poczekać na kolejkę. Dalej w czasie Powstania Warszawskiego był notoryczny brak Liberatorów i Halifaxów (samolot angielski). Powinien o tym wiedzieć autor listu, gdyż wspomina o tym fakcie gen. Rayski w swej książce.

Z personelem natomiast było wręcz przeciwnie. Każdy dywizjon miał 12 samolotów czynnych i 4 zapasowe (a więc jedną czwartą, nie drugie samoloty!), lecz dla tych 12 samolotów miał etatowo 24 załogi — czyli drugie załogi. Nasze dywizjony myśliwskie miewały w pewnych okresach nawet ponad trzydziestu pilotów. Na tym jeszcze nie koniec sprawy personelu latającego.

Brytyjczycy przygotowywali nie *drugie* załogi, lecz *szóste*. Dowodem jest nasze lotnictwo, które mimo małych uzupełnień wyszkoliło od lipca 1940 r. do końca wojny następujące ilości pers. lat. różnych kategoryj: 1655 pilotów, 710 nawigatorów, 223 bombardierów, 816 radio-operatorów, 787 strzelców samolotowych, 233 mechaników pokładowych, razem 4424. Ponieważ mieliśmy w linii etatowo przeciętnie 228 samolotów (w niektórych okresach bywało mniej), a 700 osób personelu latającego, zatem wyszkolono nam *szóste* załogi. Nawet po stratach, które wyniosły 2258, mieliśmy w ostatnim dniu wojny jeszcze 2166 osób pers. lat., czyli *trzecie załogi*.

Ostatnie zdanie listu p. Pomiana-Piątkowskiego przytaczam w całości: ,,Za to później, gdy nam, lotnikom, dano właściwy sprzęt oraz fachowe dowodzenie, obroniliśmy i Londyn i Cairo".

Logika, której bynajmniej nie zawdzięczam nudnym godzinom matematyki w Dęblinie, oraz wrodzona skromność i ścisłość studenta historii każą mi zaproponować następujące drobne poprawki do tego pięknego zdania.

,,Mimo gwarancyj i umów wojskowych, Francja i Anglia nie zarządziły ani jednego lotu na bezpośrednią czy pośrednią pomoc dla Polski. Za to gdy później, nam lotnikom dano właściwy sprzęt i fachowe dowodzenie, a Opatrzność dała KANAŁ między nami a Niemcami, pomogliśmy obronić i Londyn i Cairo".

Może w tej redakcji zdanie nie brzmi tak ładnie, ale z pewnością jest w treści swej bliższe historycznej prawdy.

W *post scriptum* p. Pomian-Piątkowski gorąco poleca książkę gen. Rayskiego. Dla zachęty Czytelników dodam od siebie, że list p. Pomian-Piątkowskiego jest niezłą próbką tej książki pod względem stylu, języka, rozumowania i ścisłości historycznej.

Łączę wyrazy poważania.

Franciszek KALINOWSKI



Cleveland, 18.5.61 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ze zdziwieniem przeczytałem w numerze 161 ,,Kultury" list Nowojorczana, który występuje przeciw p. Mieroszewskiemu, a ,,Kulturze" grozi bojkotem.

Z treści i podpisu wnoszę, że ,,grożący" jest byłym Dpisem i jeżeli się podpisuje Nowojorczan, to jest on zadomowionym i naturalizowanym obywatelem amerykańskim. A jeżeli tak jest, to podczas ,,wybierania drugich papierów" wyrzekł się Polski. A przysięgając wierność i obronę nowej ojczyźnie, naraża się na deportację pisząc o ,,NASZYCH Ziemiach Wschodnich" i o potrzebie ,,uznania NASZYCH granic na Odrze i Nysie. Według amerykańskich praw naturalizacyjnych, nie można dwom Bogom służyć nawet wtedy, gdy się ma rodzinę w kraju.

Zaś co do zapowiedzi Nowojorczana, że ,,zwróci się do wszystkich pism polskich w Ameryce z apelem do czytelników ,,Kultury" o zbojkotowanie tego pisma (Kultury)". to jako współredaktor ,,Wiadomości Codziennych" w Cleveland mogę Nowojorczana zapewnić, że jego wezwanie do bojkotowania ,,Kultury" będzie umieszczone w poczesnym miejscu naszego dziennika... w koszu.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

S. Z. STACHOWICZ

Paryż, 8.4.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście do Redakcji „Kultury" (nr 4/162) pan Żochowski prostuje że imię jego brzmi „Stanisław" a nie „Samuel".

To jego dobre prawo.

Szkoda że udało mu się przemycić w tym sprostowaniu wybryk antysemicki w szczególnie niesmacznej, bo „dowcipnej", formie.

Pan Żochowski pisze: „(Imię Samuel) współcześnie stało się imieniem bankierów, poważnych kupców etc. Natomiast już literaci pochodzący z mniejszości uważali za wskazane używanie imion bardziej pospolitych np. Tuwim Juliusz, Słonimski Antoni, Rudnicki Adolf".

W czterech wierszach druku p. Żochowski pomieścił cztery stwierdzenia niezgodne z prawdą.

Po pierwsze, nie jest prawdą że współcześnie imię Samuel stało się imieniem bankierów, poważnych kupców etc. Było ono i imieniem biednych i poczciwych ludzi, współobywateli p. Żochowskiego, których wymordowali hitlerowcy na polskiej ziemi równie współcześnie.

Po drugie, określenie Tuwima i Słonimskiego jako „literatów pochodzących z mniejszości" jest śmieszne w swej zjadliwości. Równie dobrze można by określić Mickiewicza jako literata pochodzącego z mniejszości (litewskiej).

Po trzecie, ani Tuwim ani Słonimski nie uważali za wskazane używania imion bardziej pospolitych, lecz używali tych imion, jakie wybrali dla nich przy ich urodzeniu ich rodzice. Należy przypuszczać, że z tych samych powodów p. Żochowski używa imienia „Stanisław" i nikt nie insynuuje mu, że czyni tak bo uważa to za wskazane.

Po czwarte, p. Żochowski tak czuły na przeinaczenie własnego imienia, mógłby zaoszczędzić czytelnikom „Kultury" przykrości przeinaczenia imienia wielkiego polskiego poety, które brzmi „Julian" a nie „Juliusz" Tuwim.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku.

Henryk ZYLBERLAST



Los Angeles, 8.4.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zawsze z zainteresowaniem czytam wspomnienia umieszczane w dziale „Najnowsza Historia Polski" Pańskiego pisma i doceniam przejawiający się w nich wysiłek autorów w podawaniu faktów i zdarzeń obiektywnie, z pominięciem osobistych animozji, lub uprzedzeń.

Nie dotyczy to niestety wszystkich autorów. Mam na myśli artykuł p. gen. Józefa Zająca: „Nasze przygotowania do wojny" w nrze „Kultury" 1/159-2/160.

Z organizacją naszej wojskowości nie miałem więcej do czynienia od przeciętnego cywilnego obywatela, toteż ograniczam swoje uwagi do fragmentu.

Subiektywność w stosunku do osoby gen. Zwierzchowskiego uwidacznia się już gdy autor z pewnym jakby lekceważeniem wspomina, że „Szefem Departamentu Zdrowia był wówczas pułkownik, czy generał Zwierzchowski". Otóż wprost nie do pomyślenia jest, żeby Szef Oddziału I-go Sztabu nie pamiętał stopnia wojskowego wieloletniego szefa tak ważnego departamentu jak Służba Zdrowia, który w dodatku przez pewien czas był zwierzchnikiem autora jako Szef Administracji Wojskowej, tj. Wiceminister Wojny (w roku 1925-tym — jeśli mnie pamięć nie myli).

Jeszcze bardziej uwidacznia się dotychczas nurtująca autora chęć porachunku, gdy nie mogąc przeboleć konfuzji jakiej doznał od gen. Zwierzchowskiego w toku opisywanej konferencji, stwierdza, że gen. Zwierzchowski był lekarzem dentystą ze służby rosyjskiej".

Jeśli już autor chciał podać szczegół dot. specjalności lekarskiej gen. Zwierzchowskiego, co zresztą dla naświetlenia sprawy konferencji nie ma znaczenia, to powinien był uczynić to zgodnie z prawdą.

Doktor medycyny Franciszek Zwierzchowski był przed 1-szą wojną światową znanym w kołach lekarskich Rosji specjalistą chirurgii głowy, słynnym z rewolucyjnych na owe czasy operacji mózgu i trepanacji czaszki, tj. dziedziny uważanej dotychczas w chirurgii za jedną z najtrudniejszych. Fakt, że chirurgia głowy zahacza o dział dentystyki, podobnie jak i o dziedzinę laryngologii, nie usprawiedliwia wcale uproszczeń u autora.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej doktor Zwierzchowski powołany został do wojska rosyjskiego, gdzie początkowo pracował jako chirurg. Wkrótce jednak dał się poznać jako bardzo zdolny organizator i administrator, tak, że już w tym charakterze awansował szybko do stopnia generała i w hierarchii administracji sanitariatu wojsk rosyjskich zajmował przez znaczną część wojny bardzo wysokie stanowisko. Może ktoś z ówczesnych znajomych gen. Zwierzchowskiego mógłby ustalić dokładnie — jakie. Do swego pierwotnego zawodu chirurga gen. Zwierzchowski już nie wrócił, gdyż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości objął równie odpowiedzialną funkcję w administracji Służby Zdrowia w wojsku polskim.

Z czasów wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. pamiętam go już jako generała armii polskiej i wiem, że już wówczas był na bardzo odpowiedzialnym stanowisku (bodaj że szefa departamentu Służby Zdrowia), jakim — jako 12-letni wówczas chłopiec dokładnie nie pamiętam, lecz chyba nie trudno to ustalić.

O przeszłości gen. Zwierzchowskiego sprzed 1920 r. wiem z opowiadań ojca, prof. dra Edwarda Żebrowskiego, który był kolegą uniwersyteckim gen. Zwierzchowskiego i jego przyjacielem.

O tym wszystkim wspominam żeby również podkreślić, że autor przystępując do wspomnianej konferencji miał w osobie gen. Zwierzchowskiego przeciwnika co najmniej równorzędnego pod względem doświadczenia w administracji wojskowej i stanowiska, z tą różnicą, że gen. Zwierzchowski musiał z natury rzeczy znać swój departament, którym od szeregu lat kierował, dużo lepiej od specjalisty ogólnego sztabowca, jakim był autor. Czy wobec tego zignorowanie postulatów gen. Zwierzchowskiego i chęć narzucenia departamentowi Służby Zdrowia projektu re-organizacji, opracowanego przez samego autora, bez żadnej właściwie dyskusji, nie mogło wywołać oburzenia u gen. Zwierzchowskiego? — pozostawiam to osądowi czytelników.

A propos zwymyślania od Austriaków, które autor tak wziął do serca, może nie od rzeczy byłoby wyjaśnić czytelnikom, nie obznajmionym z utartymi powiedzeniami w Polsce przedwojennej, że będące wówczas w powszechnym użyciu określenie: „austriackie gadanie" było mniej więcej odpowiednikiem przyjętego obecnie w kraju określenia „mowa — trawa".

Trzeba jednak przyznać autorowi, że mimowoli może oddał on usługę swemu antagoniście podkreślając jego zmysł organizacyjny w przygotowaniu się do konferencji, na którą zgromadził on ok. 10 wyższych oficerów-fachowców poszczególnych działów, nie ograniczając się wyłącznie do maszynopisów, jak to uczynił autor. Nieprzyjęcie przez autora, jak on to określa: „walki", a przez co rozumieć można tylko — fachowej dyskusji z zespołem specjalistów jest właściwie niczym innym jak przyznaniem się do porażki (mimo postawienia przez autora na swoim, z tytułu przysługujących mu prerogatyw sztabowych) i trudno uwierzyć autorowi żeby potrafił *w kilku słowach*, jak pisze, odpowiedzieć „rzeczowo" całemu gremium fachowców.

Autor zapałał taką złością do gen. Zwierzchowskiego, że postanowił ukarać cały departament Służby Zdrowia przez ...włożenie projektu jego re-organizacji... „do biurka na spód", jak sam to pisze. Ot i ukarał gen. Zwierzchowskiego, a fakt, że przez to mógł ucierpieć cały departament Służby Zdrowia, tak ważny dla „przygotowań do wojny" — o tym nie wspomniał autor (a może nawet nie pomyślał).

Jakby dla podkreślenia, że cały departament Służby Zdrowia był odtąd w jego niełasce, autor z widoczną satysfakcją wspomina rzecz trudną do uwierzenia, a mianowicie, że nowo-mianowany dyrektor departamentu Służby Zdrowia, gen. Sławoj-Składkowski, czuł się w obowiązku przeprosić go za wystąpienie swego poprzednika, (czy nie nastąpiło to aż w parę lat po biurkowej zemście, już po przewrocie majowym w 1926 r.? jeśli się mylę, proszę o sprostowanie).

Dalszego ciągu łatwo się domyśleć: projekt re-organizacji departamentu wyjechał z dna biurka, został „rzeczowo" przedyskutowany i „nowa organizacja" ujrzała światło dzienne.

Nie wiem jak na innych czytelnikach, ale na mnie cały ten fragment pozostawił wrażenie bardzo smutne.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Henryk ŻEBROWSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : 2e trimestre 1961

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th ., Parkhurst, Johannesburg	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », rrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking ouse, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue seph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20. .	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** Italpava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Franciszek cha-Paprocki,** rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao iulo. Tel. : 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 msterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — o.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc, Holon, kolow Nr. 40	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., oronto 3, Ont. lub c/0 **Polish Voice,** 1089 Queen St. . Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. .D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Ra-mski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 0829; **Andrzej Manteuffel,** 797 Jessie Ave, Winnipeg, an.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, nt., Tél. : LE 1-2491; **Olgierd Kiersnowski,** 36 Bermuda ve., Toronto 18., Ont.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, ep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon-erstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, enève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV ockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U. S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, henectady, N.Y. ; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 21 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew ssetynski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. ziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, ass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, hio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,**2109 Robin-ood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford errace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey . Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 36 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 95 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 emphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book nporting C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. W. 2.0890; **R.J. Sas-Babczynski,** 1819 B.W. Common-ealth Ave, Alhambra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, attersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, int. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 3,50 NF